

Cabal - nocne plemie

Clive Barker



calibre 0.9.27

CLIVE BARKER

Cabal – nocne plemię

Część I

SZALENIEC

Urodziłam się żywa.

Czyż to nie wystarczająca kara?

MARY HENDRICKSON

na swoim procesie

o ojcobójstwo

Rozdział I

PRAWDA

Spośród wszystkich pochopnych, nocnych obietnic dawanych w imię

miłości, żadna - jak to wiedział teraz Boone - nie daje takiej gwarancji złamania,

jak: *Nigdy de nie opuszczę.*

Jeśli czas nie zabierze ci czegoś sprzed nosa, reszty dokonają

okoliczności. Bezelowe jest mieć nadzieję na coś innego: bezcelowe

marzenie, że w gruncie rzeczy świat chce dla ciebie dobrze. Wszystko, co ma

jakąś wartość, wszystko, czego kurczowo się trzymasz, by nie zwariować,

zgnije lub zostanie zabrane w ostatecznym rozrachunku, a pod tobą rozstąpi

się otchłań, tak jak teraz pod Boone'em, i nagle, bez wyjaśnienia - przepadłeś! -

Idź do diabła - albo gorzej: - zostanmy przyjaciółmi - i tyle.

Nie zawsze był takim pesymistą. Kiedyś - całkiem nie -tak dawno - czuł,

jak gdyby ciężar jego duchowej udręki się zmniejszył. Mniej rzutów

psychotycznych, mniej dni, kiedy wolałby sobie raczej podciąć żyły niż czekać

na następną dawkę leków. Wydawało się, że będzie szczęśliwy.

Ta nadzieja spowodowała właśnie jego wyznanie miłości, to: *Nigdy cię nie opuszczę*, wyszeptane do ucha Lori, gdy leżeli na wąskim łóżku. Ich życie miłosne, jak tyle innych spraw między nimi, obfitowało w problemy. Gdy jednak inne kobiety zrywały z nim, nie wybacząc mu jego klęski, ona, na przekór, mówiła, że mają dużo czasu, aby wszystko się ułożyło - cały czas świata. -

Jestem z tobą, dopóki chcesz, żebym była,- zdawała się mówić jej cierpliwość.

Nikt nigdy nie zaproponował mu takiego związku, toteż chciał ofiarować coś w zamian. To były słowa: *Nigdy cię nie opuszczę*. Tak było.

Wspomnienie jej skóry, niemal świecącej w mroku pokoju, i odgłosu jej oddechu, gdy wreszcie zasypiała u jego boku - wszystko to wciąż chwytalo go za serce i ścisłało aż do bólu.

Tęsknił za tym, by się od tego uwolnić - i od pamięci, i od słów, bo teraz okoliczności zabrały wszelką nadzieję na spełnienie. Nie dało się jednak zapomnieć. To trwało i zadręczało go jego własną słabością. Niewielką pociechę stanowił fakt, że ona - wiedząc to, co musiała o nim wiedzieć - będzie się starała wymazać wszystko z pamięci; i że z czasem uda się jej to. Miał tylko nadzieję, że zrozumie, jak bardzo nie znał samego siebie, czyniąc tę obietnicę.

Nigdy nie zaryzykowałby tego bólu, gdyby wątpił, iż w końcu wyzdrowienie znalazło się w zasięgu ręki!

Śnij dalej!

Decker zniszczył te złudzenia w dniu, kiedy zamknął na klucz drzwi gabinetu, zaciągnął żaluzje przed blaskiem wiosennego słońca w Albercie i, głosem ledwie donośniejszym niż szept, powiedział:

- Boone, myślę, że znaleźliśmy się w strasznym kłopotcie, ty i ja.

Drżał, i Boone to widział - fakt trudny do ukrycia przy tak potężnym ciebie.

Decker miał posturę człowieka, który podczas gimnastyki usuwa z potem cały

swój codzienny *Angst*. Nawet szyte na miarę garnitury, zawsze połyskliwe

czarne, nie mogły ujarzmić jego ogromu. To dlatego na początku ich

współpracy Boone nie mógł się powstrzymać od uszczypliwości; czuł się

onieśmielony fizyczną i umysłową przewagą doktora. Teraz widział słabe

punkty siły, której się bał. Decker był Opoką; był Rozumem; był Spokojem.

Jego niepokój kwestionował wszystko, co Boone wiedział o tym człowieku.

- Coś jest nie tak? - spytał Boone.

- Siadaj, dobrze? Siadaj, a ja ci opowiem. Boone zrobił, co mu kazano. W

tym gabinecie Decker był panem. Doktor odchylił się w tył w skórzanym fotelu i

oddychał przez nos, kąciki zaciśniętych ust opuścił.

- Proszę mi powiedzieć... - odezwał się Boone.

- Od czego zacząć?

- Od czegokolwiek.

- Sądziłem, że twój stan się polepsza - stwierdził Decker. - Naprawdę tak

sądziłem. Obaj tak sądziliśmy.

- Ja wciąż tak uważam - powiedział Boone.

Decker lekko potrząsnął głową. Umysł miał godny podziwu, lecz w

niewielkim stopniu uzewnętrzniały to jego ściśnięte rysy, może poza oczami,

które w tej chwili nie patrzyły na pacjenta, a na stół między nimi.

- Zacząłeś mówić podczas naszych sesji - ciągnął Decker - o zbrodniach,

które, twoim zdaniem, popełniłeś. Pamiętasz coś z tego?

- Wie pan, że nie.

Transy, w jakie wprawiał go Decker, były na to zbyt głębokie.

- Pamiętam tylko wtedy, gdy puszcza pan taśmy z sesji.

- Nie odtworzę ci żadnej z tych taśm - stwierdził Decker. - Skasowałem je.

- Dlaczego?

- Ponieważ... Boję się, Boone. O ciebie - przerwał. - Może o nas obu.

W Opoce zarysowała się szczelina i Decker nie mógł zrobić nic, aby ją ukryć.

- Co to za zbrodnie? - spytał Boone na próbę.

- Morderstwa. Opowiadałeś o nich obsesyjnie. Najpierw sądziłem, że to tylko zbrodnie urojone. Zawsze była w tobie jakaś gwałtowność.

- A teraz?

- Teraz obawiam się, że je naprawdę popełniłeś.

Zapadła długa cisza, kiedy Boone badał Deckera - bardziej zaintrygowany niż wściekły. Żaluzje nie zostały zaciągnięte do końca. Promień słońca padł na niego i na stół między nimi. Na szklanej powierzchni stała butelka wody destylowanej, dwa kubki i duża koperta. Decker pochylił się do przodu i podniósł ją.

- To, co teraz robię, jest prawdopodobnie samo w sobie przestępstwem - powiedział Boone'owi. - Tajemnica lekarska to jedna rzecz, ukrywanie zabójcy - druga. Ale jakaś część mojej osoby wciąż ma, na Boga, nadzieję, że to nieprawda. Były postępy w leczeniu. Razem to osiągnęliśmy. Chcę wierzyć, że jesteś zdrowy.

- Jestem zdrowy.

Zamiast odpowiedzi, Decker rozdarł kopertę.

- Chciałem, żebyś spojrział na to - mówił wsuwając dłoń do środka i wyciągając plik fotografii na światło dzienne. - Ostrzegam cię, nie są przyjemne.

Położył je po zastanowieniu tak, że Boone mógł na nie spojrzeć. Jego ostrzeżenie miało sens. Zdjęcie na wierzchu pliku podziało jak wstrząs. Na jego obliczu pojawił się strach, jakiego nie znał, odkąd znalazł się pod opieką Deckera. Sam widok na fotografii mógł doprowadzić do opętania. Mozolnie budował mur wokół siebie, by schronić się przed niebezpieczeństwem powrotu do szaleństwa, cegła za cegłą, ale teraz zatrząsł się on i groził zawaleniem.

- To tylko zdjęcie.

- Zgadza się - odparł Decker. - To tylko zdjęcie. Co widzisz?

- Zmarłego człowieka.

- Zamordowanego człowieka

- Tak. Zamordowanego człowieka.

Nie po prostu zamordowanego; zaszlachtowanego. W furii cięć i pchnięć wyrąbano z niego życie; krew wyciekała na ostrze, które zdruzgotało mu szyję, zniszczyło twarz; wyciekła na ściany. Miał na sobie tylko szorty, więc rany na ciele dawały się łatwo policzyć, mimo krwi. Boone to teraz zrobił, aby jakoś bronić się przed ogarniającą go *zgrozą*. Nawet tu, w tym pokoju, gdzie doktor wyrzeźbił inne „ja” swego pacjenta, Boone nigdy nie dusił się ze strachu tak,, jak w tej chwili.- Poczul jak śniadanie, albo I kolacja, podnoszą mu się do gardła wbrew jego woli. Gówno w ustach, jak brud jego czynu.

Licz rany, mówił do siebie, udawaj, że to koraliki na liczydło. Trzy, cztery,

pięć w brzuch i pierś; jedna szczególnie postrzępiona, bardziej rozdarcie niż rana, tak szeroka, że wnętrzności mężczyzny wydostały się na zewnątrz. Jedna na ramieniu, jeszcze dwie. I potem twarz, zniszczona przez cięcia. Tak wiele, że ich liczbę trudno było ustalić, nawet gdyby obserwator bardzo się starał.

Sprawiły, że ofiary nie dawało się rozpoznać: oczy wydłubane, wargi wydarte, nos posiekany.

- Dosyć? - odezwał się Decker, jak gdyby to wymagało pytania.

- Tak.

- Jest tu o wiele więcej do oglądania.

Odsłonił drugie zdjęcie, pierwsze kładąc obok. Tym razem kobieta, rozwalona na sofie, a górna i dolna część jej ciała skrócone były pod kątem, jakiego się nie spotyka. Chociaż przypuszczalnie nie miała nic wspólnego z pierwszą ofiarą, to rzeźnik postarał się o to, by było między nimi jakieś ohydne podobieństwo. Ten sam brak warg, ten sam brak oczu. Zrodzeni z różnych rodziców, stali się rodzeństwem w śmierci, zdruzgotani tą samą ręką.

I ja jestem ich ojcem? - zapytał siebie niemo Boone. Nie - odpowiedziało jego wnętrze. - Ja tego nie zrobiłem. Dwie rzeczy powstrzymały go przed głośnym zaprzeczeniem. Po pierwsze wiedział, że Decker nie narażałby na niebezpieczeństwo zakłócenia równowagi psychicznej pacjenta, gdyby nie miał ku temu poważnych powodów. Po drugie - zaprzeczenie było bezwartościowe, skoro obaj wiedzieli, jak łatwo umysł Boone'a oszukiwał sam siebie w przeszłości. Jeśli był odpowiedzialny za te okropności, nie mógł mieć pewności, że o tym wie.

Milczał zatem, nie ośmielając się podnieść wzroku na Deckera ze

strachu, że zobaczy Opokę roztrzaskaną.

- Następne? - zaproponował Decker.

- Jeśli musimy.

- Musimy.

Odsłonił trzecią fotografię i czwartą, wykładając zdjęcia na stole, jak

karty we wróżbie tarota, tyle że każda z nich była kartą śmierci. W kuchni na tle otwartych drzwi lodówki. W sypialni, obok lampy i budzika.

Na szczycie schodów; przy oknie. Ofiary w różnym wieku, różnych ras;

mężczyźni, kobiety i dzieci. Jakikolwiek maniak to zrobił - nie przebierał. Po

prostu ścinał życia, tam, gdzie je znalazł. Nie szybko, nie metodycznie. Pokoje,

w których umarli ci ludzie, wyraźnie przekazywały testament, w jaki sposób

zabójca, w dobrym humorze, igrał z nimi. Poprzesuwane meble, jak gdyby

potykali się, by uniknąć *coup de grace*, krwawe odciski zostawione na

ścianach. Jeden stracił palce, być może chwytając za ostrze; większość

straciła oczy. Nikt jednak nie uciekał, bez względu na opór, jaki stawiał.

Wszyscy wreszcie padali, zaplątani w swoją bieliznę lub szukając schronienia

za zasłoną. Padali szlochając, padali wymiotując.

W sumie obejrzał jedenaście fotografii. Każda inna - pokoje duże i małe,

ofiary nagie i ubrane. Istniały też elementy wspólne: wszystkie zdjęcia tego

odprawionego na scenie szaleństwa zrobiono, gdy aktor już opuścił scenę.

Boże wszechmocny, czy to on był tym człowiekiem?

Nie znając odpowiedzi, zadał to pytanie Opoce, mówiąc bez podnoszenia

wzroku znad błyszczących kart.

- Czy to ja zrobiłem?

Usłyszał westchnienie doktora, lecz Odpowiedź nie nadchodziła, więc zdobył się na spojrzenie na swego oskarżyciela. Gdy rozłożono przed nim fotografię poczuł, że badanie tej sprawy będzie jak pelzający pod czaszką ból. Teraz stwierdził znowu, że Decker odwrócił wzrok.

- Proszę mi powiedzieć - spytał. - Czy ja to zrobiłem?

Decker wytarł wilgotne fałdy skóry pod szarymi oczami. Już nie drżał.

- Mam nadzieję, że nie - odparł.

Odpowiedź wydała się absurdalnie łagodna. To przecież nie było jakieś

pomniejsze

przekroczenie

prawa,

nad którym dyskutowali, to była

jedenastokrotna śmierć; a ileż jeszcze mogło zdarzyć się oprócz tego, poza

wzrokiem, poza umysłem?

- Proszę mi powiedzieć, o czym mówiłem - prosił. - Słowa...

- Przeważnie mówiłeś bez ładu i składu.

- To dlaczego pan uważa, że ja jestem za to odpowiedzialny? Musi pan mieć jakieś powody.

- Trochę to trwało - stwierdził Decker - zanim ułożyłem jakąś całość -

opuścił wzrok na fotografii śmierci na stole i środkowym palcem wyprostował zdjęcie, które leżało nieco krzywo.

-; Co miesiąc muszę pisać sprawozdanie z wyników twojego leczenia.

Wiesz o tym. kolejno odtworzyłem zatem taśmy z naszych poprzednich sesji,

aby uchwycić sens w tym, co robiliśmy... - mówił powoli, znużony -

...zauważyłem, że pewne zwroty powtarzają się stale w twoich odpowiedziach.

Skryte przez długi czas w innym materiale, ale obecne. Tak jakbyś przyznawał się do czegoś, co jest tak nie do przyjęcia przez ciebie, nawet w transie, że nie mogłeś zdecydować się, by to bezpośrednio powiedzieć. I to się ujawniło w pewnym kodzie.

Boone znał kody. Otaczały go w chwilach ataku choroby. Sygnały skryte w szumie radiowym, a nadawane przez wyimaginowanego wroga, albo w szmerze ruchu ulicznego przed świtem. Znał tę sztukę sam, więc nic go teraz nie zdumiało.

- Zasięgnąłem nieco informacji - ciągnął Decker - wśród oficerów policji, których leczę. Nic szczególnego. Powiedzieli mi o zabójstwach. O niektórych szczegółach dowiedziałem się oczywiście z prasy. Wydaje się, że to trwa od dwóch i pół roku. Kilka zabójstw tutaj w Calgary, reszta w promieniu godziny jazdy samochodem. Dzieło jednego człowieka.

- Moje dzieło.

- Nie wiem - powiedział Decker, wreszcie podnosząc wzrok na Boone'a. -

Gdybym był pewien, doniósłbym o wszystkim.

- Ale pan nie jest.

- Nie mogę w to uwierzyć, tak samo jak ty. Gdyby to się okazało prawdą, miałbym duże kłopoty - pojawił się w nim źle skrywany gniew. - Dlatego właśnie czekałem. Mając nadzieję, że będziesz ze mną, kiedy wydarzy się następne zabójstwo.

- To znaczy, że niektórzy z tych ludzi zmarli za pana wiedzą?

- Tak - Decker stwierdził kategorycznie.

- Jezu!

Ta myśl poderwała Boone'a z krzesła, aż zawadził nogą o stół. Sceny morderstw rozpięzchły się.

- Mów ciszej - zażądał Decker.

- Ludzie umierali, a pan czekał?

- Robiłem to dla ciebie, Boone. Doceń to! Boone odwrócił się od niego.

Na plecach poczuł chłód potu.

- Usiądź - odezwał się Decker. - Proszę usiądź i opowiedz, co kojarzy ci się, gdy patrzysz na te fotografie.

Mimowolnie Boone przeciągnął dłonią po twarzy. Wiedział od Deckera, jakie to miało znaczenie w konkretnym języku ciała. Umysł używał ciała, aby powstrzymać wyjawienie czegoś, albo nawet całkowicie wyciszyć jakąś sprawę.

- Boone. Muszę znać odpowiedź.

- Nic nie kojarzę - stwierdził Boone, nie odwracając się.

- W ogóle?

- W ogóle.

- Obejrzyj je jeszcze raz.

- Nie - odparł Boone. - Nie mogę.

Słyszał oddech doktora i już oczekiwał ponowienia żądania, aby na nowo stanął w obliczu tej zgrozy. Zamiast tego - ton głosu Deckera zabrzmiał pojednawczo.

- W porządku, Aaron - powiedział. - W porządku. Odłożę je.

Boone przycisnął pięści do zamkniętych oczu. Były gorące i wilgotne.

- Już ich nie ma, Aaron - odezwał się Decker.

- Nie, wciąż są.

Były z nim, świetnie zapamiętane. Jedenaście pokoi i jedenaście ciał, utrwalonych oczami duszy, poza wszelkim egzorcyzmem. Mur, którego budowanie zajęło Deckerowi pięć lat, został zburzony w ciągu paru minut, i to przez swojego architekta. Boone znów był zdany na łaskę i niełaskę swojego szaleństwa. Słyszał, jak kwili w głowie z jedenastu pękniętych tchawic, z jedenastu przebitych brzuchów. Oddech i gazy w jelitach śpiewały starą piosenkę szaleńca.

Dlaczego jego fortyfikacje runęły tak łatwo, po wykonaniu tak wielkiej pracy? Jego oczy • znały odpowiedź, a płynące łzy wyznawały to, czego język nie mógł wyrazić. Był winny. Nie inaczej. Ręce, które teraz wycierał o spodnie, torturowały i szlachtowały. Gdyby nie zaakceptował tego, skusilby je tylko do dalszych zbrodni. Lepiej, żeby się przyznał, chociaż nic nie pamiętał.

Odrzucenie tego, to propozycja, by jego ręce raz jeszcze wymknęły się spod jego kontroli.

Odwrócił się i spojrzal w twarz Deckerowi, który zebrął fotografie i położył na stole.

- Pamiętasz coś? - powiedział doktor, widząc zmianę na twarzy Boone'a.

- Tak - odparł.

- Co?

- Ja to zrobiłem - po prostu stwierdził Boone. - Zrobiłem to wszystko.

Rozdział II

NAUKI

Decker był najzyczliwszym prokuratorem, jakiego mógł sobie życzyć każdy oskarżony. Godziny spędzane przez niego z Boone'em po tamtym pierwszym dniu zostały starannie wypełnione pytaniami, gdy morderstwo po morderstwie badali razem ewidencję tajemnego życia Boone'a. Mimo iż pacjent upierał się, że dokonał tych zbrodni, Decker zalecał ostrożność. Przyjęcie winy nie oznaczało wyroku skazującego. Musieli być pewni, że przyznanie się nie było po prostu dążeniem Boone'a do samozniszczenia, a zbrodnia - chęcią otrzymania kary.

Boone nie podejmował z Deckerem dyskusji. Lekarz znał go lepiej niż on sam. Nie zapomniał też stwierdzenia Deckera, że jeśli to wszystko okaże się prawdą, to opinię o nim jako o zdolnym lekarzu psychiatrze, wyrzucić będzie można na śmietnik. Żadnego z nich nie stać teraz było na pomyłkę. Jedyne sposoby, by uzyskać pewność - to prześledzić każdy szczegół zabójstwa - daty, nazwiska, miejsca - w nadziei, że Boone zacznie sobie przypominać szczegóły. Albo ustalą, że w czasie popełnienia danego morderstwa Boone bezspornie znajdował się gdzie indziej.

Jedynym przed czym uchylał się Boone, to ponowne obejrzenie fotografii. Opierał się delikatnym naciskom Deckera przez czterdzieści osiem godzin, ustępując dopiero, gdy dobre maniery lekarza zaczynały się psuć i gdy przystąpił do obłąkania, oskarżając Boone'a o tchórzostwo i oszustwo. Czy zachowanie Boone'a to - dopytywał się Decker - tylko gra; czy ćwiczenie w samo-umartwieniu, które żadnemu z nich nie przyniosło w efekcie nic? Jeśli

tak, Boone mógł sobie pójść do diabła z jego gabinetu i znów kogoś uszkodzić.

W końcu Boone zgodził się przestudiować fotografie.

To, co zobaczył, nie wydawało się pobudzać jego pamięci. Wiele detali urzędnika pokoju rozmyło się w błysku flesza; to, co zostało, to banalne szczegóły. Jedyne widoki zdolne wywołać u niego jakąś reakcję - twarze ofiar - został zamazany przez zabójcę, posiekane, nie do rozpoznania; większość specjalistów z zakładów pogrzebowych nie byłaby w stanie poskładać tych poszatkowanych kawałków. Cóż to znaczyło wobec drobiazgowego dochodzenia, gdzie Boone spędził tę czy tamtą noc, z kim i co robiąc. Nigdy nie prowadził dziennika, więc weryfikowanie faktów przychodziło z trudnością, bo przez większość czasu - oprócz godzin spędzonych z Lori lub Deckerem - był sam, nie mając alibi. Pod koniec czwartego dnia jego sprawa zaczęła wyglądać bardzo przekonująco.

- Dostyc - oznajmił Deckerowi. - Zrobiliśmy dostyc.

- Chciałbym jeszcze raz to wszystko przelecieć.

- Po co? - spytał Boone. - Chcę już z tym skończyć.

W ciągu poprzednich dni i nocy powróciło wiele starych objawów, oznak choroby, których, jak sądził, już prawie się pozbył. Udawało mu się zasnąć zaledwie na kilka minut, a przerażające wizje natychmiast wprowadzały go w stan tępego czuwania. Nie mógł jeść i przez cały dzień dygotał od środka.

Chciał temu położyć kres, chciał o wszystkim opowiedzieć i zostać ukarany.

- Daj mi jeszcze trochę czasu - mówił Decker. - Jeśli teraz pójdziemy na policję, zabiorą mi cię z rąk. Prawdopodobnie nie zezwolą na to, żebyś miał do ciebie dostęp. Będziesz sam.

- Już jestem - odrzekł Boone. Odkąd pierwszy raz zobaczył te fotografie, zerwał wszelkie kontakty, nawet z Lori, obawiając się, że mógłby kogoś skrzywdzić.

- Jestem potworem - stwierdził. - Obaj to wiemy. Zebraliśmy już cały materiał, którego potrzebowaliśmy.

- To nie jest kwestia materiału.

- Wobec tego, czego?

Decker oparł się o ramę okienną; ostatnio ogrom ciała mu ciążył.

- Nie rozumiem cię, Boone - powiedział.

Wzrok Boone'a przeniósł się z mężczyzny na niebo. Dziś wiał wiatr z południowego wschodu, gonił przed sobą strzępy chmur. Dobrze tam żyć - pomyślał Boone - wysoko, być lżejszym od powietrza. Tu wszystko wydawało się ciężkie; ciało i poczucie winy zginały kark.

- Spędziłem cztery lata próbując zrozumieć twoją chorobę i mając nadzieję, że mogę cię z niej wyleczyć. Sądziłem, że mi się to uda. Że istnieje szansa, aby wszystko zrozumieć...

Umilkł, jakby przygnieciony własną porażką. Boone nie był na tyle pogrążony we własnym cierpieniu, by nie widzieć, jak głęboko cierpi ten człowiek. Nie mógł jednak nic zrobić, by uśmierzyć jego ból. Patrzył tylko na przepływające chmury, na światło w górze i zdawał sobie sprawę, że nastają dla niego mroczne czasy.

- Kiedy policja cię zabierze... - odezwał się Decker półgłosem - nie tylko ty zostaniesz sam, Boone. Ja też będę sam. Będziesz pacjentem kogoś innego: jakiegoś psychologa penitencjarnego. Nie będę miał już do ciebie dostępu.

Dlatego proszę... Daj mi jeszcze trochę czasu. Pozwól zrozumieć tyle, ile zdołam, zanim między nami wszystko się skończy.

Boone czuł niewyraźnie, że Decker mówi jak kochanek, jak gdyby z jego punktu widzenia coś ich łączyło.

- Wiem, że cierpisz - ciągnął Decker. - Mam więc dla ciebie lekarstwo.

Proszki, które powstrzymają to, co najgorsze. Na czas, dopóki nie skończymy.

- Nie ufam sobie - powiedział Boone. - Mógłbym zrobić komuś krzywdę.

- Nie zrobisz - odparł pewnie Decker. - Narkotyk wyciszy cię na noc.

Resztę czasu spędzisz ze mną. Ze mną będziesz bezpieczny.

- Ile czasu pan jeszcze potrzebuje?

- Parę dni, co najwyżej. Nie proszę o wiele, prawda? Muszę wiedzieć, dlaczego ponieśliśmy klęskę.

Myśl o ponownym stąpieniu po krwawym gruncie przerażała go, ale miał dług do spłacenia. Z pomocą Deckera uwierzył w swoją przyszłość, zawdzięczał doktorowi szansę uchwycenia czegoś z ruin tej wizji.

- Tylko szybko - zgodził się.

- Dziękuję ci - odrzekł Decker. - To dla mnie dużo znaczy.

- I będę potrzebował tych proszków.

Miał proszki, Decker je zapewnił. Proszki tak silne, że chyba nie powiedziałby nawet, jak się nazywa, gdyby przerwano ich działanie. Proszki, które ułatwiały zasypianie, a przebudzenie dzięki nim stawało się wizytą w półżyciu, z którego kiedyś uciekł i gdzie kiedyś był szczęśliwy. Proszki, od których w ciągu dwudziestu czterech godzin się uzależnił.

Decker dotrzymywał słowa. Gdy poprosił o więcej, dostarczono mu większą ilość pigulek i dzięki ich nasennemu działaniu powrócili do sprawy porządkowania materiału, a doktor wciąż na nowo omawiał szczegóły zbrodni Boone'a w nadziei, że je zrozumie. Nic się jednak nie wydarzyło. Wszystko, co Boone i jego coraz bierniejszy umysł wynosili z tych sesji, to zlewające się obrazy drzwi, przez które przechodził, i schodów, na które się wspinał, aby dokonać morderstwa. W coraz mniejszym stopniu miał świadomość obecności Deckera, który walczył wciąż o to, by wydobyć coś z zamkniętego umysłu pacjenta. Dla Boone'a istniały tylko: sen, wina i nadzieja, coraz większa nadzieja.

Jedynie Lori, a raczej wspomnienia o niej, przebijały się przez działanie narkotyku. Czasem słyszał jej głos wewnętrznym uchem, wyraźny jak dzwonek, powtarzający słowa, które wypowiadała w jakichś przypadkowych rozmowach, teraz wyławianych z przeszłości. Zdania te nie miały żadnego sensu, może związane były z jakimś zapamiętanym widokiem albo dotykiem. Teraz nie był w stanie przypomnieć sobie żadnych widoków ani zblizeń - narkotyki nadwerężyły poważnie jego wyobraźnię. Zostały mu tylko te oderwane słowa,

zdania przygnębiające dla niego, bo wypowiedział je ktoś u jego boku, lecz on nie umiał przywołać ich znaczenia. I, co najgorsze, ich dźwięk przypominał o kobiecie, którą kochał i której już nie zobaczy, chociażby w sali sądowej. Kobieta, której obiecał coś, czego nie dotrzymał, a minęło zaledwie parę tygodni od złożenia obietnicy. W swoim nieszczęściu nie potrafił właściwie oceniać - ta złamana obietnica stała się monstrualnym wydarzeniem, na równi ze zbrodniami na fotografii. Przygotowała go do Piekła.

Albo do śmierci. Lepiej do śmierci. Nie był całkowicie pewien, ile czasu upłynęło, odkąd podjął współpracę z Deckerem, godząc się na otępienie, by skrócić o kilka dni śledztwo. Był jednak pewien, że doktor znajduje się wraz z nim po jego stronie przepaści.

Wyperswadował mu pewne rzeczy. Już nic nie zostało do powiedzenia, ani do usłyszenia. Pozostawało oddać się w ręce prawa i wyznać swoje zbrodnie albo zrobić coś, czego nie mogło już dokonać państwo, i zabić potwora.

Nie ośmielił się wtajemniczyć Deckera w swój plan; wiedział, że doktor zrobiłby co w jego mocy, aby zapobiec samobójstwu pacjenta. I tak jeszcze jeden dzień przerabiali swój niezmienny temat. Potem, obiecawszy Deckerowi, że będzie w gabinecie nazajutrz rano, wrócił do domu gotując się do samobójstwa.

Znalazł kolejny list od Lori, czwarty, odkąd zerwał z nią wszelkie kontakty. Wypytywała, co jest nie tak. Przeczytał uważnie, o ile pozwalał mu na to zamroczony umysł i próbował odpowiedzieć, ale słowa, które usiłował przelać na papier, nie miały sensu. Zamiast tego, włożył do kieszeni wezwanie,

które mu przysłała i wyszedł szukać śmierci.

Ciężarówka, pod którą rzucił się, nie była wyrozumiała. Zabrała mu oddech, ale nie życie. Potłuczony i krwawiący, pełen otarć i skaleczeń został odwieziony do szpitala. Dopiero potem zrozumiał, że nie dane mu było zginąć pod kołami ciężarówki, gdyż nie to było mu pisane. Siedząc na łóżku szpitalnym i czekając aż lekarze znajdą czas, aby się nim zająć, mógł tylko przekląć swego pecha. Ze straszliwą łatwością zabierał życie innym; własne stawiało opór. Nawet w tym przypadku wystąpił przeciwko sobie.

Ten pokój jednak - chociaż nie wiedział o tym, gdy został tu uroczyście wprowadzony, dał mu coś, czego się nie spodziewał. Usłyszał tu nazwę, która z czasem zrobiła z niego nowego człowieka. Przywołała go mocą do siebie, jak potwora, którym był przecież, i zderzyła z tym, co cudowne.

Midian.

Ona i on mieli wiele wspólnego, nie tylko to, że dawali obietnice. Była jednak różnica, bowiem o ile jego obietnica-wyznanie wiecznej miłości okazała się pusta w ciągu paru tygodni, to obietnicy danej przez Midian, a pochodzącej z nocy, z najciemniejszej nocy, takiej jak jego własna - nie mogła złamać nawet śmierć.

Rozdział III

WAJDELOTA

Lata choroby, wpisy i wypisy ze szpitali i zakładów psychiatrycznych, nauczyły Boone'a szacunku do talizmanu, znaku czy pamiątki, mającej stać na straży umysłu i serca. Szybko nauczył się nie gardzić takimi rzeczami. Nie

lekceważ tego, co pozwala ci przetrwać noc - oto dewiza, którą sprawdził w praktyce. Większość z tych zabezpieczeń przed chaosem znana była jedynie tym, co ich używali. Świedelka, klucze, książki i fotografie: pamiątki dobrych czasów, przechowywane troskliwie jako obrona przed złem. Niektóre z nich jednak należały do wszystkich. To słowa, które słyszał więcej niż raz: nonsensowne rymy, których rytm powstrzymywał ból; imiona Bogów.

A wśród nich - Midian.

Słyszał tę nazwę wymawianą może pół tuzina razy przez ludzi spotykanych na swojej drodze, zwykle przez tych, którzy stracili już siły, by walczyć z chorobą. Gdy przywoływali Midian, było to jak miejsce ucieczki; miejsce, do którego można zostać zabranym. I coś więcej: miejsce, gdzie wszelkie popełnione przez nich grzechy - rzeczywiste bądź wymaginowane - zostaną im przebaczone. Boone nie znał pochodzenia tej mitologii, ale nie był zainteresowany nią na tyle, by się dopytywać, gdzie ono leży. Nie czuł potrzeby przebaczenia, albo tak tylko myślał. Teraz wiedział lepiej. Teraz wiele spraw czekało na oczyszczenie. Były to okropieństwa, które umysł ukrywał przed nim, dopóki Decker nie wyciągnął ich na światło dzienne, a od których żadna instytucja znana Boone'owi nie mogła go uwolnić. Stał się istotą innej kategorii.

Midian wzywało.

Zamknięty w swoim nieszczęściu, nie był świadomy, że ktoś dzieli z nim ten biały szpitalny pokój, dopóki nie usłyszał ochryplego głosu.

- Midian...

Myślał najpierw, że to jeden z głosów z przeszłości, jak głos Lori. Ale gdy

znów do niego dobiegł, rozlegał się nie u jego boku, jak głos Lori, lecz z głębi pokoju. Otworzył oczy, podniósł lewą powiekę, klejącą się od krwi płynącej z rozcięcia na skroni i spojrzal w stronę mówiącego. Widocznie jeszcze jeden z tych rannych nocnych spacerowiczów, przywieziony do opatrunku i zostawiony samemu sobie, aż przyjdzie jego kolej na pozszywanie. Siedział w rogu pokoju położonym najdalej od drzwi, od których ani na chwilę nie odrywał dzikiego wzroku, jak gdyby myślał, że w każdej chwili pokaże się w nich jego wybawca. Nie dało się, zaiste, ustalić jego wieku czy rzeczywistego wyglądu: pokryły go brud i zlepiona krew. Muszę wyglądać równie źle albo i gorzej - pomyślał Boone. Nie zważał na to, ludzie i tak zawsze gapili się na niego. Na widok facetów w takim stanie, jak on i mężczyzna w rogu, ludzie woleli przejść na drugą stronę ulicy.

Podczas gdy jednak on, w swoich dżinsach, podkutych butach i czarnej koszulce był jeszcze jednym nikim, drugi mężczyzna posiadał cechy, które go wyróżniały. Długi płaszcz dodawał mu prawie religijnej powagi, szare włosy, ciasno związane z tyłu, zwisały do połowy pleców w splątanym końskim ogonie. Na szyi nosił biżuterię, prawie ukrytą pod wysokim kołnierzem, a na kciukach – dwa sztuczne paznokcie, wyglądające jakby były wykonane ze srebra, zwinięte w hak.

I wreszcie ta nazwa przezeń wypowiedziana.

- Zabierzesz mnie? -- spytał cicho. - Zabierzesz mnie do Midian?

Ani na chwilę nie spuszczał wzroku z drzwi. Wyglądało na to, że nie wie nic o obecności Boone'a, aż do momentu, gdy bez ostrzeżenia obrócił zranioną głowę i splunął przez pokój. Flegma z żyłkami krwi trafiła na podłogę u stóp

Boone'a.

- Spieprzaj stąd! - powiedział. - Przeszkadzasz im w dostępie do mnie.

Nie przyjdą, dopóki tu jesteś.

Boone był zbyt zmęczony na klótnie i zbyt potłuczony, by się podnieść.

Pozwolił mężczyźnie nawijać dalej.

- Wynoś się! - odezwał się znów. - Oni nie pokazują się takim jak ty. Nie rozumiesz?

Boone odwrócił głowę i starał się odsunąć od siebie agresywny ból tego człowieka.

- Cholera! - stwierdził tamten. - Minąłem się z nimi. Minąłem się z nimi!

Wstał i podszedł do okna. Na zewnątrz panowała nieprzenikniona ciemność.

- Przeszli obok - wymamrotał nagle płaczliwie. W następnej chwili znalazł się o jard od Boone'a, szczerząc zęby poprzez brud.

- Masz coś na bóle? - wypytywał.

- Pielęgniarka dała mi coś - odparł Boone. Mężczyzna znów splunął, tym razem nie na Boone'a, lecz na podłogę.

- Pić, człowieku - odezwał się. - Masz coś do picia?

- Nie.

Uśmiech natychmiast wyparował, a twarz zaczęła się marszczyć pod wpływem łez. Odwrócił się od Boone'a, szlochając i znów zaczął swoją litanię.

- Dlaczego mnie nie zabierają? Dlaczego po mnie nie przychodzą?

- Może przyjdą później? - powiedział Boone. - Kiedy mnie nie będzie.

Mężczyzna znów na niego spojrzał.

- Skąd wiesz? - spytał.

Niewiele miał do powiedzenia na ten temat, ale i to, co wiedział, przemilczał. Zebrał wystarczająco wiele fragmentów mitologii Midian, aby nabrać ochoty na więcej. Czyż to nie to miejsce, gdzie ci, którzy już nie mogą dalej uciekać, znajdują dom? I czy on sam nie znajdował się w takim położeniu? Nie pozostało mu już nic. Ani Decker, ani Lori, ani nawet śmierć. Chociaż Midian był jeszcze jednym talizmanem, to jednak chciał usłyszeć o nim coś jeszcze.

- Opowiedz mi - powiedział.

- Pytałem, co wiesz - odrzekł mężczyzna.

- Wiem, że uśmierza ból - stwierdził Boone.

- I?

- Wiem, że nie ma stamtąd powrotu.

- Nieprawda - brzmiała odpowiedź.

- Nie?

- Sądzisz, że gdyby nie było stamtąd powrotu, znajdowałbym się teraz

tutaj? Nie uważasz, że to największe miasto na ziemi? Oczywiście, że ludzie mogą wrócić...

Rozjaśnione łzami oczy utkwili w Boon'ie. Czy zdaje sobie sprawę, że nie

nie wiem? - zastanawiał się Boone. Chyba nie. Człowiek mówił dalej,

zadowolony, że rozprawia o tajemnicy. Albo, właściwie, o swoim lęku związanym z tą tajemnicą.

- Nie idę, bo może nie jestem godzien - powiedział. - A oni łatwo nie

przebaczają. Oni w ogóle nie przebaczają. Wiesz, co robią... z tymi, którzy nie

są godni?

Boone w mniejszym stopniu zainteresowany był rytami przejścia do

Midian niż przekonaniem tego człowieka, że Midian w ogóle istnieje. Nie mówił o Midian jak o swego rodzaju Shangrila szaleńców, lecz jak o miejscu, które można odszukać, wejść doń i pogodzić się z nim.

- Wiesz, jak tam się dostać? - zapytał.

Człowiek odwrócił nagle wzrok. Gdy utracili kontakt wzrokowy, Boone

wpadł nagle w panikę: bał się, że ten bękart zachowa resztę historii dla siebie.

- Muszę wiedzieć - stwierdził Boone. Człowiek znów podniósł wzrok.

- Rozumiem - powiedział i głos mu się załamał, jak gdyby bawił go widok rozpaczy Boone'a.

- To na północny zachód od Athabaski - odparł.

- Tak?

- Tak słyszałem.

- Nikt tam nie mieszka - odrzekł Boone. - Można wędrować wiecznie, nawet jeśli się ma mapę.

- Midian nie ma na żadnej mapie - powiedział mężczyzna. - Szukaj na wschód od Peace River, koło Shere Neck, na północ od Dwyer.

Nie zawahał się recytując te współrzędne. Wierzył w istnienie Midian równie silnie, a nawet silniej niż wierzył w istnienie czterech ścian, w których został zamknięty.

- Jak się nazywasz? - spytał Boone. To pytanie niemal zbiło go z nóg. Już dawno nikt nie zadawał sobie trudu, by zapytać go o jego imię.

- Narcyz - odezwał się w końcu. - A ty?

- Aaron Boone. Nikt nigdy nie nazywa mnie Aaron. Tylko Boone.

- Aaron - powiedział tamten..- Gdzie usłyszałeś o Midian?

- Tam, gdzie i ty - powiedział Boone. - Tam, gdzie dowiadują się wszyscy.

Od innych. Od pełnych cierpienia ludzi.

- Od potworów - stwierdził Narcyz.

Boone nie myślał tak o nich, ale może w czyichś beznamiętnych oczach tak się jawili. Gaduły i plaksy, niezdolni trzymać swoje koszmary pod kluczem.

- Tylko ci są dobrze widziani w Midian - wyjaśnił Narcyz. - Jeśli nie jesteś bestią, jesteś ofiarą. Prawda? Można być tylko tym albo tamtym. Dlatego nie śmiem iść tam sam. Czekam, żeby przyszli po mnie przyjaciele.

- Ludzie, którzy już tam poszli?

- Zgadza się - powiedział Narcyz. - Niektórzy żyją. Niektórzy zmarli i przychodzą potem. Boone nie był pewien, czy dobrze słyszy.

- Przychodzą potem? - spytał.

- Nie masz czegoś na ból, człowieku? - odezwał się Narcyz, znów zmienionym tonem, tym razem przymilnym.

- Mam jakieś proszki - odparł Boone, pamiętając pigułki z dostawy Deckera. - Chcesz?

- Co tylko masz.

Boone był zadowolony, że się ich pozbędzie. Proszki trzymały jego głowę w kleszczach, doprowadzając go do punktu, gdzie nie zależało mu na tym, czy żyje, czy już nie. A teraz mu zależało. Znalazł miejsce, do którego mógł pójść, gdzie przynajmniej znajdzie kogoś, kto zrozumie koszmary, które znosił. Nie potrzebuje proszków, by dotrzeć do Midian. Potrzebuje siły i chęci

przebaczenia. Tę drugą miał w sobie. Tę pierwszą jego poranione ciało będzie musiało znaleźć.

- Gdzie one są? - dopytywał się Narcyz, a apetyt zaostrzył jego rysy.

Skórzaną kurtkę ściągnięto Boone'owi z pleców zaraz po przyjęciu przy pobieżnym badaniu uszkodzeń ciała. Wisiała na oparciu krzesła, po dwakroć zbyt ciężka skóra. Wsunął dłoń do wewnętrznej kieszeni, lecz przeżył szok, gdy zauważył brak znajomej fiolki.

- Ktoś mi grzebał w kurtce.

Przetrzęsł resztę kieszeni. Wszystkie były puste. Liściki Lori, jego portfel, proszki: wszystko zniknęło. W sekundę pojął, dlaczego chcieli wiedzieć, kim jest i jakie mogą być tego konsekwencje. Usiłował popełnić samobójstwo; bez wątpienia sądzili, że znów podejmie próbę. W portfelu miał adres Deckera. Doktor prawdopodobnie już znajdował się w drodze, aby zabrać swego krnąbrnego pacjenta i dostarczyć go na policję. Znalazłszy się raz w rękach prawa, nigdy nie zobaczy Midian.

- Mówiłeś, że masz proszki! - ryknął Narcyz.

- Zabrali mi!

Narcyz wyrwał kurtkę z rąk Boone'a i zaczął ją szarpać.

- Gdzie? - ryczał. - Gdzie?

Twarz jeszcze raz mu się zmarszczyła, gdy zdał sobie sprawę, że nie zazna spokoju. Rzucił kurtkę i odwrócił się plecami do Boone'a, a łzy znów płynęły mu po twarzy, jednak zarazem uśmiechał się szeroko.

- Wiem, po co jesteś - stwierdził, wskazując na Boone'a. Wydawał na przemian szloch i śmiech. - Z Midian cię przysłali. Żeby zobaczyć, czy jestem

godzien.

Przyszedłeś zobaczyć, czy jestem jednym z was, czy nie!

Nie dał Boone'owi szansy zaprzeczenia, jego uniesienie przeszło w histerię.

- Siedzę tu i modłę się, żeby ktoś przyszedł; błagam, a ty tu jesteś cały czas i patrzysz, jak się udupiam! Patrzysz, jak się udupiam!

Zaśmiał się ciężko. Potem ciągnął śmiertelnie poważnie:

- Nigdy nie zwątpilem, ani razu. Zawsze wiedziałem, że ktoś przyjdzie.

Oczekiwałem jednak twarzy, którą rozpoznam. Może Marvinina. Powiniennem wiedzieć, że przyślą kogoś nowego. To oczywiste. A ty widziałeś, racja? Ty słyszałeś. Nie wstydzę się. Oni mnie nigdy nie zawstydzili. Zapytaj, kogo chcesz. Próbowali. Na okrągło. Dobrali się do mojej pieprzonej głowy i próbowali ją podzielić, próbowali wyrwać ze mnie Dzikich. Ale trzymałem się.

Wiedziałem, że przyjdiesz prędzej czy później, więc chciałem być gotów.

Dlatego to noszę.

- Mogę ci pokazać - wyciągnął przed siebie kciuki.

Obracał głową w lewo i w prawo.

- Chcesz zobaczyć? - spytał.

Nie czekał na odpowiedź. Już uniósł dłonie z obu stron twarzy, a haki dotknęły skóry u nasady uszu. Boone patrzył - słowa sprzeciwu czy prośby były zbyteczne. Tę chwilę Narcyz próbował niezliczoną ilość razy nie po to, by się teraz wycofać. Nie rozległ się żaden dźwięk, gdy- haki, ostre jak brzytwa, rozdarły skórę; krew popłynęła natychmiast po szyi i ramionach. Wyraz jego twarzy nie zmienił się, może trochę stężał: maska, w której połączyły się muza

komedii z muzą tragedii. Potem rozpostarł palce po obu stronach twarzy, mocno pociągnął ostre haki ku żuchwie. Działał z precyzją chirurga. Rany otworzyły się idealnie symetrycznie - aż bliźniacze haki spotkały się na podbródku.

Wtedy opuścił jedną dłoń, ociekającą krwią z haka i nadgarstka, podczas gdy druga ręka błędziła po twarzy w poszukiwaniu płata skóry, który został oderwany.

- Chcesz zobaczyć? - powiedział znów.

Boone odparł półgłosem:

- Nie rób tego.

Nie słyszał. Oстрыm szarpnięciem do góry Narcyz oderwał maskę skóry od mięśni pod spodem; zdzierał, aż odkrył swoją prawdziwą twarz.

Boone usłyszał czyjeś krzyki dobiegające zza niego. Drzwi otwarły się i jedna z pielęgniarek stanęła na progu. Widział ją kątem oka: twarz bielsza niż fartuch, usta szeroko otwarte; a za nią korytarz i wolność. Nie mógł jednak oderwać wzroku od Narcyza, dopóki krew wypełniająca przestrzeń między nimi wyparła ten drugi widok. Chciał zobaczyć tajemną twarz tego człowieka.

Dzikię pod skórą, Dzikię przygotowującego go do spokoju Midian.

Czerwony deszcz powoli się rozpraszał. Przestrzeń przejaśniała się. Znów ujrzał tę twarz, przez chwilę, ale nie rozumiał jej złożoności. Czy to anatomia bestii obnażyła się przed nim i warczała, czy też tkanka ludzka dogorywała w wyniku samookaleczenia? Jeszcze chwila, a zrozumie...

Potem ktoś go chwycił za ramiona i powłókł w stronę drzwi. W mgnieniu oka zobaczył Narcyza podnoszącego broń swoich rąk, by powstrzymać

„zbawiciele”, potem fartuchy otoczyły go i zasłoniły. Boone skorzystał z szansy w ułamku sekundy. Odepchnął pielęgniarkę, złapał kurtkę i wybiegł przez nie pilnowane drzwi. Potłuczone ciało nie było przygotowane do tak gwałtownego działania. Potknął się, mdłości i rwący ból kończyn usiłowały rzucić go na kolana, lecz widok Narcyza, otoczonego i spętanego, wystarczył, by dodać mu sił. Zanim ktokolwiek zdołał za nim pobiec, już znajdował się w hallu. Gdy wypadł przez drzwi w noc, usłyszał głos Narcyza, podniesiony w proteście: skowyt wściekłości, żalośnie ludzki.

Rozdział IV

NEKROPOLIA

Chociaż odległość z Calgary do Athabaski wynosiła nieco więcej niż trzysta mil, ta podróż przeniosła wędrowca do granic innego świata. Na północy autostrady były nieliczne, a ludzi jeszcze trudniej było spotkać. Na rozległych obszarach prerii rozciągały się lasy, moczary, gdzie zamieszkała dzikość. Kraina ta stanowiła granicę doświadczeń dla Boone'a. Wyznaczały ją Bonnyville na południowym wschodzie, dokąd dowiózł go kierowca ciężarówki, dwudziestolatek; Barrhead na południowym zachodzie i sama Athabaska. Terytoria leżące dalej pozostawały nieznane, ot, nazwy na mapie. Czy też ściślej - brak tych nazw. Olbrzymie połacie ziemi upstrzone gdzieś małymi osiedlami rolniczymi, z których jedno nosiło nazwę wymienioną przez Narcyza: Shere Neck.

Mapę, na której znalazł tę informację, zdobył razem z gotówką wystarczającą akurat na butelkę brandy, włamując się do trzech samochodów na podziemnym parkingu na przedmieściach Calgary. Uciekł, z mapą i z forszą, zanim strażnicy ustalili przyczynę alarmu.

Deszcz umył mu twarz; zakrwawioną koszulkę wyrzucił na śmietnik, szczęśliwy, że znów czuje na ciele swoją ukochaną kurtkę. Potem złapał okazję do Edmonton i następną do High Prairie. Poszło łatwo.

Łatwo? Szukać miejsca, o którym tylko słyszał plotki wśród lunatyków?

Może i niełatwo. Ale to było konieczne, nawet nieuniknione. Ta podróż zaczęła się w chwili, gdy ciężarówka, pod której kołami miał zginąć, odrzuciła go. A chyba nawet na długo przed tym, tylko nie odczytał poprawnie zaproszenia.

Przekonanie o racji swego działania uczyniło zeń niemal fatalistę. Jeśli Midian istniało i chciało wziąć go w swoje objęcia, to podróżował do miejsca, gdzie znajdzie wreszcie trochę zrozumienia i spokoju. Jeśli nie istniało, jeśli było tylko talizmanem dla przerażonych i zagubionych - to też miało sens. Chciał spotkać śmierć, jaka go oczekiwała w poszukiwaniu krainy nigdzie nie istniejącej. To lepsze niż proszki, lepsze niż bezowocna gonitwa Deckera w poszukiwaniu związków i przyczyn.

Próba doktora, by wykorzeń potwora z Boone'a, skazana była na niepowodzenie. To jasne jak słońce. Boone-człowiek i Boone-potwór nie dawali się od siebie oddzielić. Stanowili jedność; podróżowali tą samą drogą w tym samym ciele i umyśle. A cokolwiek znajdowało się na końcu tej drogi, śmierć czy chwała, było przeznaczeniem ich obu.

Na wschód od Peace River, mówił Narcyz, obok miasteczka Shere Neck, na północ od Dwyer.

Musiał się przespaciać pod gołym niebem na poboczu High Prairie, aż do następnego ranka, kiedy złapał okazję do Peace River. Samochód prowadziła kobieta, grubo po pięćdziesiątce, dumna z okolicy, którą znała od dzieciństwa i szczęśliwa, że może mu udzielić błyskawicznej lekcji geografii. Nie wspomniał o Midian, ale Dwyer i Shere Neck znała - to ostatnie, liczące sobie pięć tysięcy dusz, leżało na wschód od Autostrady numer 67. Zaoszczędziłby dobre dwieście mil, gdyby nie zapuścił się tak daleko w głąb High Prairie, jak mu kazano, lecz wcześniej skierował się na północ. Nie ma sprawy - stwierdziła, znała takie miejsca w Peace River, gdzie farmerzy zatrzymywali się na posilek przed powrotem do swoich gospodarstw. Złapie tam okazję, dokąd tylko sobie zażyczy.

- Znasz tam kogoś? - spytała.

Odparł, że zna.

Zbliżał się zmrok, gdy ostatni z kierowców wysadził go o milę czy coś koło tego od Dwyer. Patrzył, jak ciężarówka oddala się po żwirowej drodze w coraz ciemniejszą, niebieską przestrzeń, potem przeszedł krótki odcinek do miasta. Noc pod gołym niebem i podróżowanie samochodami farmerów po drogach, które najświetniejsze dni miały dawno za sobą, odbiły się na jego już i tak zdezelowanym zdrowiu. Godzinę zajęło mu, by niezauważenie dotrzeć na peryferia Dwyer, a w tym czasie zapadła noc. Jeszcze raz los uśmiechnął się do

niego. Gdyby nie ciemność, nie spostrzegłby może światel migających przed nim, nie na powitanie, lecz ostrzegawczo.

Policja przybyła tu przed nim, trzy lub cztery samochody, jak ocenił.

Możliwe, że ruszyli w pościg za kimś innym, ale w to wątpił. Prawdopodobnie Narcyz, zdany na siebie, powiedział przedstawicielom prawa to, co powiedział Boone'owi. W takim razie był to komitet powitalny. Chyba już go szukali, dom po domu. A jeśli tu, to w Shere Neck także. Oczekiwano go.

Dzięki zasłonie nocy, zszedł z drogi prosto na pole rzepaku, gdzie mógł się położyć i obmyślić następne posunięcie. Z pewnością niemądrze byłoby zjawić się w Dwyer. Lepiej skierować się teraz do Midian, zapominając o głodzie i zmęczeniu i ufając, że gwiazdy i instynkt go zaprowadzą.

Wstał, przesiąknięty zapachem ziemi i skierował, się tam, gdzie jego zdaniem była północ. Wiedział, że może chybić celu o kilka mil, mając tak ogólne zamiary, albo równie łatwo nie dostrzec go w ciemności. Nieważne; nie miał wyboru, co stanowiło jakieś pocieszenie.

W trakcie swej krótkiej, złodziejskiej akcji nie , zdobył zegarka, więc upływ czasu mógł ocenić obserwując tylko powolny ruch konstelacji nad głową. Powietrze stało się chłodne, potem lodowate, ale kroczył dalej pomimo bólu, unikając, jak tylko możliwe, dróg, chociaż łatwiej by się po nich szło niż po zaorany i obsiany gruncie. Było to rozsądne posunięcie. W pewnym momencie zobaczył dwa samochody policyjne, a za nimi czarną limuzynę, które po cichu ciągnęły drogą, którą przekroczył minutę wcześniej. Nie umiał wytłumaczyć dlaczego, ale był pewien, i to bardzo, że pasażerem limuzyny był Decker, dobry doktor, wciąż w pogoni za wiedzą.

I wtedy - Midian.

Znikąd - Midian. W jednej chwili noc, która była bezkształtną ciemnością, przeobraziła się w zgrupowanie budynków na horyzoncie, których malowane ściany słabo świeciły szaroniebieską poświatą pod gwiazdami. Boone stał tak przez kilka minut i napawał się widokiem. W żadnym z okien nie paliło się światło, ani na żadnym ganku. Musiało być już dobrze po północy, a mężczyźni i kobiety w miasteczku, wstający rano do pracy, powinni już spać. Ale ani jednego światła? To go zdziwiło. O małym Midian mogli zapomnieć kartografowie i ludzie ustawiający drogowskazy, ale czyż nie znalazł się tu ani jeden człowiek cierpiący na bezsenność? Czy dziecko, które bało się, gdy lampa nie świeciła przez całą noc? Bardziej prawdopodobne było to, że czekali na niego Decker i przedstawiciele prawa ukryci w cieniu, aż on głupi da się złapać w pułapkę. Najprostsze rozwiązanie - to dać nogę i pozwolić im dalej czuwać, ale na to nie miał już siły. Jeśli teraz się wycofa, ile będzie musiał czekać, żeby spróbować powrócić, co godzina przeprowadzając rozpoznanie? Postanowił posuwać się skrajem miasta i zorientować się nieco w jego położeniu. Jeśli nie znajdzie śladu obecności policji, wejdzie tam, zdecydowany na wszystko. Nie po to przebył całą drogę, aby teraz zawracać. Midian nie odkryło się przed nim, gdy zaczął je okrążyć od południowo-wschodniego krańca. Widział tylko pustkę. Nie tylko ani śladu samochodów policyjnych na ulicach czy między domami; w ogóle nie było tam żadnych pojazdów policyjnych, czy innych - żadnych ciężarówek, samochodów

terenowych. Zaczynał się zastanawiać, czy przypadkiem nie było to miasto zamieszkane przez jedną z tych wspólnot religijnych, których przekonania nie pozwalają na używanie elektryczności czy silnika spalinowego.

Gdy wspinał się na grzbiet niewielkiego wzgórza, gdzie leżało Midian, pojawiło się drugie, prostsze wyjaśnienie. Po prostu w Midian nikt nie mieszkał. Ta myśl kazała mu się zatrzymać. Gapił się na domy, szukając jakichś śladów rozpadu, ale nie znalazł ich. Dachy nienaruszone, o ile mógł dostrzec, żaden z budynków nie wydawał się rozpadać. Jednocześnie, przy takiej spokojnej nocy, słyszał szmer gwiazd, lecz nie słyszał żadnych odgłosów dochodzących z miasteczka. Jeśli ktoś w Midian jęczał przez sen, noc tłumiała ten dźwięk i pozostawała tylko cisza.

Midian to było miasto-widmo.

Nigdy w swoim życiu nie czuł się tak opuszczony. Stał jak pies, który wraca do domu i nie zastaje swoich właścicieli; nie wiedząc, co teraz oznacza życie albo co będzie oznaczało.

Tak trwał kilka minut, zanim wyrwał się z tego stanu i kontynuował swój obchód miasta. Dwadzieścia jardów dalej ujrzał jednak widok o wiele bardziej tajemniczy nawet jak na opustoszałe Midian.

Po przeciwległej stronie miasta leżał cmentarz. Ze swego punktu widokowego widział go doskonale, chociaż otaczały go wysokie mury.

Prawdopodobnie wybudowano go, aby służył całemu regionowi, bo zajmował teren znacznie rozległej szy niż tego wymagały potrzeby Midian. Wiele grobowców imponowało swoimi rozmiarami, a nawet z odległości było widać, że układ alejek, drzew i grobów nadawał cmentarzowi wygląd małego miasta.

Boone ruszył w kierunku cmentarza schodząc po zboczu wzgórza, cały czas dobrze widząc samo miasto. Przyływ adrenaliny, związany z odnalezieniem i bliskością miasta, szybko minął, a ból i wyczerpanie, dotychczas stłumione oczekiwaniem, powróciły i mściły się na nim. Wiedział, że długo to nie potrwa, zanim mięśnie zawiodą całkowicie i padnie. Może za murami cmentarza znajdzie jakiś kącik? Tam ukryje się przed prześladowcami i da odpocząć kościom.

Prowadziły tam dwa wejścia. Mała furtka w bocznym murze i wielkie podwójne wrota, wychodzące wprost na miasto. Wybrał pierwsze wejście. Było zamknięte na klamkę, lecz nie na klucz. Delikatnie pchnął furtkę i wszedł.

Wrażenie, jakie odniósł na wzgórzu, znalazło tu potwierdzenie - cmentarz był miastem, grobowce wznosiły się wysoko wokół. Ich wielkość i, co teraz oceniał z bliska, staranność ich wykonania, zadziwiały. Jakież wspaniałe rodziny zamieszkiwały tutaj, zamożne na tyle, by chować zmarłych w takim przepychu? Małe wspólnoty żyjące na prerii trzymały się kurczowo ziemi, jedyne źródła utrzymania, lecz rzadko się bogaciły; a jeśli już, to tylko odkrywając ropę lub złoto, ale nigdy szczęśliwców nie było tak wielu. A tu: wspaniałe nagrobki, całe aleje zbudowane w różnorodnych stylach, od klasycznego do barokowego, i ozdobione - aczkolwiek nie miał pewności, czy znużone zmysły mówią prawdę - motywami z rozmaitych, zwalczających się religii.

Wszystko już za nim. Potrzebował snu. Nagrobki stały tu od, lub dłużej.

Obejrzy je sobie o świcie.

Znalazł legowisko ukryte między dwoma grobami i położył się. Wiosenna

trawa pachniała słodko. Spał już na o wiele mniej wygodnym posłaniu.

Rozdział V

DZIWADŁO

Obudziły go odgłosy wydawane przez jakieś zwierzę, którego powarkiwanie wdarło się w jego sny i ściągnęło go na ziemię. Otworzył oczy i usiadł. Nie widział psa, ale wciąż go słyszał. Może był za nim; groby odbijały echo na wszystkie strony. Bardzo wolno odwrócił się i spojrzął przez ramię. Panowała głęboka ciemność, ale nie całkiem skrywała wielką bestię, z gatunku trudnego do zidentyfikowania. Nie można się było jednak pomylić - z jej gardła płynęła groźba. Sądząc z tonu powarkiwania, nie podobały jej się jego odwiedziny.

- Hej, chłopcze - powiedział cicho. - Wszystko dobrze.

Trzeszczało mu w kościach, gdy zaczął się podnosić, wiedząc, że jeśli zostanie na ziemi, zwierzę będzie miało łatwy dostęp do jego gardła. Nogi mu zeszywniały od leżenia na zimnej ziemi i poruszał się jak paralytyk. Może to właśnie powstrzymywało zwierzę od zaatakowania, bo tylko po prostu obserwowało go, wytrzeszczając białka oczu (jedyne widoczne szczegóły), gdy przyjmował wyprostowaną postawę. Już stojąc, zwrócił twarz ku stworzeniu, a ono zaczęło zbliżać się w jego stronę. Coś w jego sposobie poruszania się mówiło mu, że zwierzę jest ranne. Słyszał, jak wlecze za sobą jedną z kończyn; pochylało głowę i kuśtykało.

Miał już na ustach słowa pocieszenia, kiedy czyjeś ramię zacisnęło się wokół jego szyi, aż dech mu zaparło.

- Rusz się tylko, a cię wypatroszę!

Jednocześnie z tą groźbą drugie ramię przejechało po jego ciele, a palce zagłębiły się w brzuchu z taką siłą, że bez wątpienia ten człowiek mógł spełnić swoją groźbę gołymi rękami.

Boone odetchnął płytko. Nawet najmniejszy ruch wywoływał zaciskanie śmiertelnego uchwytu na szyi i brzuchu. Czuł krew płynącą po brzuchu do dzinsów.

- Kim jesteś, do cholery? - dopytywał się głos. Nie umiał kłamać, bezpieczniej było powiedzieć prawdę.

- Nazywam się Boone. Przyszedłem tu... Przyszedłem znaleźć Midian.

Czyżby uchwyt na brzuchu zelżał trochę, gdy wymienił swój cel?

- Po co? - dopytywał się teraz drugi głos. W ułam-, ku sekundzie Boone zdał sobie sprawę, że głos wychodził z cienia naprzeciw niego, gdzie stała ranna bestia. Naprawdę pochodził od bestii.

- Mój przyjaciel zadał ci pytanie - powiedział głos przy jego uchu. -

Odpowiedz mu!

Boone, zdezorientowany tym atakiem, utkwił spojrzenie znów w tym czymś, co ukrywało się w cieniu i nie wierzył własnym oczom. Głowa rozmówcy nie była ciałem stałym; wydawała się niemal pochłaniać swoje zbędne kontury, a materia głowy ciemniała i przepływała przez oczodoły i nozdrza oraz usta z powrotem w głąb siebie.

Zniknęły myśli o niebezpieczeństwie; teraz ogarnęło go uniesienie.

Narczyz nie kłamał. Oto transformacja tej prawdy.

- Przyszedłem do was - powiedział, odpowiadając na pytanie cudactwa. -

Przyszedłem, bo należę do was.

- Jak on wygląda, Peloquin?

To coś pochłonęło swoją twarz bestii. Pod spodem znajdowały się rysy ludzkie, osadzone na ciele bardziej przypominającym gada niż ssaka.

Kończyna, którą włókł za sobą, to był ogon, a jego rana sprawiała, że sposobem poruszania się przypominał wyprostowaną jaszczurkę. Widział to teraz, gdy drgawki przemiany targnęły jego sterczącym grzbietem.

- Wygląda jak Pierwotny - odparł Peloquin. - Nic to nie znaczy.

Boone dziwił się, dlaczego jego napastnik nie widzi go. Zerknął na rękę na swoim brzuchu. Miała sześć palców zakończonych nie paznokciami, lecz pazurami, teraz zagłębionymi na pół cala w jego mięśniach.

- Nie zabijaj mnie - powiedział. - Przebyłem długą drogę, żeby tu przybyć.

- Słyszysz, Jackie? - spytał Peloquin, odpychając się od ziemi czterema nogami, by stanąć prosto naprzeciw Boone'a. Oddech miał gorący jak podmuch z otwartego pieca hutniczego.

- A zatem jakiego gatunku jesteś bestią? - chciał wiedzieć. Transformacja zakończyła się. Człowiek pod płaszczem potwora nie wyróżniał się niczym szczególnym. Czterdzieści lat, chudy, żółtawa skóra.

- Powinniśmy zabrać go na dół - stwierdził Jackie. - Lylesburg będzie chciał go zobaczyć.

- Prawdopodobnie - odrzekł Peloquin. - Ale sądzę, że to strata czasu. To Pierwotny, Jackie. Umiem ich wy wachać.

- Przełamałem krew - odezwał się Boone półgłosem. - Zabiłem jedenastu ludzi.

Niebieskie oczy obejrzały go badawczo. Igrało w nich rozbawienie.

-r- Chyba nie - powiedział Pelloquin.

- To nie od nas zależy - wtrącił się Jackie. - Nie możesz go osądzać.

- Mam chyba oczy, no nie? - odparł Pelloquin. - Poznaję człowieka, kiedy go widzę. Pokiwał palcem na Boone'a.

- Nie jesteś z Nocnego Plemienia - stwierdził. - Jesteś mięsem. I tyle.

Mięsem dla bestii.

Gdy mówił to, z jego twarzy zniknęło rozbawienie, a pojawił się głód.

- Nie możemy tego zrobić - zaprotestował drugi stwór.

- Kto wie? - spytał Pelloquin. - Kto się o tym dowie?

- Łamiemy prawo.

Pelloquin nie zareagował na to. Obnażył zęby, a ze szczelin zaczął sączyć się ciemny dym i unosić wokół jego twarzy. Boone wiedział, co teraz nastąpi.

Wydychał to, co przed chwilą wchłonał: swoje jaszczurcze „ja”. Proporcje głowy już się zmieniły ledwo uchwytnie, jak gdyby deformował czaszkę i przeobrażał się na nowo pod powłoką ciała.

- Nie możecie mnie zabić - odezwał się. - Należę do was.

Czy dym naprzeciwno wyrażał zaprzeczenie? Jeśli tak, to przesuwał się stracił swe znaczenie. Nie przewidziano dalszej dyskusji. Bestia zamierzała go zjeść...

Poczuł ostry ból w brzuchu, zerknął w dół i zobaczył, jak ręka stworza zakończona pazurami oddzieliła się od jego ciała. Uścisk na szyi rozluźnił się, a stwór za jego plecami powiedział: - Idź!

Nie

potrzebował

zachęty.

Zanim

Peloquin

zakończył

swoje

przeobrażenie, Boone wysliznął się z objęć Jackiego i pobiegł. Stracił wszelkie poczucie kierunku, a sytuację pogorszył jeszcze ryk pełen furii głodnej bestii i odgłosy, niemal natychmiastowe, pogoni.

Nekropolia była labiryntem. Biegł na oślep, nurkując raz w lewo, raz w prawo, gdzie tylko widział wolną przestrzeń. Nie musiał spoglądać przez ramię, by zauważyć, że prześladowca się zbliża. Kiedy biegł, w głowie rozbrzmiewały mu jego słowa, pełne oskarżenia:

- Nie należysz do Nocnego Plemienia. Jesteś mięsem. Mięsem dla bestii.

Te słowa bardziej go osłabiły niż ból nóg czy płuc. Nawet tu, pośród potworów Midian, nie należał do nich. A jeśli nie do nich, to do kogo? Goniono go, ale tego wyścigu nie mógł wygrać.

Zatrzymał się. Odwrócił.

Peloquin znajdował się pięć, sześć jardów od niego. Ciało wciąż miał ludzkie, nagie i bezbronne, ale głowę miał całkowicie bestii. Szerokie usta i zęby jak ciernie. On też się zatrzymał, być może oczekując, że Boone rzuci broń. Gdy to nie nastąpiło, wyciągnął ramiona w stronę swojej ofiary i Za nim pojawił się Jackie i na pierwszy rzut oka wydał się Boone'owi człowiekiem. A może jego wielokrotnością. Na jego bryłowatej głowie były dwie twarze, obie strasznie wykrzywione; oczy wybaluszone tak, że mogły patrzeć wszędzie, lecz

nie przed siebie, usta zrosnięte w pojedynczą szparę, dziurki w nosach pozbawionych kości. Twarz płodu ludzkiego na pokazach dziwolągów.

Jackie próbował zawołać jeszcze raz, ale wyciągnięte ramiona Peloquina już zmieniały się od koniuszków palców do łokci, delikatność ustępowała miejsca nadzwyczajnej sile.

Zanim skończył przemianę mięśni, podszedł do Boone'a i skoczył, by powalić swoją ofiarę. Boone upadł pod jego ciężarem. Za późno, by żałować, że nie zdobył się na ucieczkę. Poczul, jak pazury rozrywają mu kurtkę, by obnażyć smakowite mięso klatki piersiowej. Peloquin podniósł głowę i wyszczerzył zęby. Jego usta nie do takiego wyrazu były stworzone. Potem ugryzł. Zęby nie były długie, za to liczne. Nie bolało tak, jak tego oczekiwał Boone, Peloquin odsunął się, wrywając zębami kawał mięśni, razem ze skórą i brodawką.

Ból wyrwał go ze stanu rezygnacji; zaczął się miotać pod Peloquinem.

Bestia wypluła kęs z gęby i przymierzała się do czegoś lepszego, zionąc wonią krwi w twarz swojej ofiary. Był ku temu powód - następnym razem miała wygryźć serce i płuca z klatki piersiowej Boone'a. Zawołał o pomoc, a pomoc nadeszła. Zanim nastąpił zgubny atak, Jackie chwycił Peloquina i odciągnął go od pożywienia. Boone poczul, jak stworzenie unosi się, i już prawie w zamroczeniu dostrzegł, jak jego obrońca zmaga się z Peloquinem. Ich wierzgające kończyny splatały się. Nie czekał na zwycięzcę. Przycisnął dłoń do rany i podniósł się.

Tu nie było dla niego bezpiecznie; Peloquin z pewnością nie był tu

jedynym mieszkańcem lubiącym ludzkie mięso. Czul, jak inni patrzą na niego, gdy włókl się przez nekropolię i czekają, aż potknie się i upadnie, a oni dobiorą

się do niego bezkarnie. Jego organizm, który doznał tak wiele urazów, nie poddał się jednak. Czuł moc swoich mięśni, jak jeszcze nigdy od czasu, gdy zdecydował skończyć ze sobą, a myśl ta była teraz dla niego zupełnie obca. Nawet rana pulsująca pod dłonią, żyła swoim życiem i manifestowała to. Ból mijał, a zastąpiło go nie odrętwienie, lecz wrażliwość, niemal erotyczna, każąca Boone'owi sięgnąć do piersi i głaskać swoje serce. Ubawiony takimi nonsensami pozwolił, by instynkt go poprowadził, a on powiódł go do wielkich, podwójnych wrót. Klamka stawiała opór śliskim od krwi rękóm, więc wspiał się, pokonując wrota z łatwością, która wywołała jego uśmiech. Potem ruszył do Midian, biegnąc nie ze strachu przed pogonią, lecz z przyjemności tkwiącej w szybkości jego nóg i doznań swych zmysłów.

Rozdział VI

ROZBITA ILUZJA

Miasto było rzeczywiście opuszczone, tak jak przypuszczał. Chociaż z odległości pół mili domy sprawiały solidne wrażenie, to jednak bliższe oględziny wykazały, że opuszczenie przez mieszkańców nie wyszło im na dobre. Wciąż miał świetne samopoczucie, jakkolwiek obawiał się, że może dać znać o sobie znaczna utrata krwi. Potrzebował czegoś, choćby prymitywnego środka do zabandażowania rany. Szukając skrawka zasłony albo kawałka pościeli, otworzył drzwi jednego z domów i wkroczył do ciemnego wnętrza. Nie zdawał sobie sprawy, dopóki nie znalazł się w środku, w jakże dziwny sposób jego zmysły uległy wyostrzeniu. Oczy z łatwością przenikały ciemność, odkrywając żalosne rumowisko, które kiedyś zostawili po sobie lokatorzy, wszystko pokryte kurzem naniesionym z prerii przez wybite okno i

wypaczone drzwi. Znalazł jakiś obrus; pas wilgotnego, poplamionego płótna, który-podarł na węższe paski, trzymając zębami i prawą ręką, podczas gdy lewa zakrywała ranę.

Kiedy to robił, usłyszał skrzypienie desek na werandzie. Na progu ujrzał sylwetkę mężczyzny, którego nazwisko Boone znał, chociaż twarz skrywała ciemność. Wyczuł zapach wody kolońskiej używanej przez Deckera; słyszał bicie serca Deckera; w powietrzu poznał woń potu Deckera.

- Więc to tak - odezwał się doktor. - Tu jesteś.

Na oświetlonej gwiazdami ulicy gromadzili się policjanci. Nadnaturalnie wyostrzonym słuchem Boone wylapywał odgłosy nerwowych szeptów, powietrza wciąganego do płuc i szczęk odbezpieczanych pistoletów, gotowych ściąć szaleńca z nóg, gdyby tylko próbował się wysliznąć.

- Jak mnie znaleźliście? - spytał.

- Narcyz, tak się nazywał? - powiedział Decker. - Twój przyjaciel ze szpitala?

- Czy on nie żyje?

- Niestety, nie. Umarł w walce.

Decker posunął się o krok w stronę domu.

- Jesteś ranny - zauważył. - Co sobie zrobiłeś?

Coś powstrzymywało Boone'a od odpowiedzi. Czy tajemnica Midian nie była na tyle dziwaczna, aby tamten w nią uwierzył? A może nie warto było zwierzać się Deckerowi? Z pewnością nie o to chodziło. Zaangażowanie Deckera w zrozumienie potwornych wydarzeń nie ulegało wątpliwości. Z kimże innym mógłby się podzielić swoimi rewelacjami? A jednak zawahał się.

- Powiedz - znów odezwał się Decker - jak doszło do zranienia?

- Potem - odparł Boone.

- Nie będzie żadnego potem. Sądzę, że o tym wiesz.

- Przeżyję - stwierdził Boone. - Nie jest tak źle, jak wygląda. A przynajmniej nie czuję się najgorzej.

- Nie mówię o ranie. Mam na myśli policję. Czeka ją na ciebie.

- Wiem.

- I nie zamierzasz wyjść po dobroci, prawda?

Boone

nie

miał

pewności.

Głos

Deckera

przypominał

mu

bezpieczeństwo, jakie zapewniał mu lekarz i prawie uwierzył, że jeśli doktor tylko tego zapragnie, to na powrót je odnajdzie.

Teraz jednak ze strony Deckera nie było mowy o bezpieczeństwie. Tylko o śmierci.

- Jesteś wielokrotnym mordercą, Boone. Desperatem. Niebezpiecznym.

Uparcie prosiłem ich o to, by pozwolili mi do ciebie podejść.

- Cieszę się, że pan to zrobił.

- Też się cieszę - odrzekł Decker. - Chciałem mieć szansę pożegnania się

z tobą.

- A dlaczego w ten sposób?

- Wiesz, dlaczego.

Nie wiedział, naprawdę. Wiedział tylko, z coraz większą pewnością, że

Peloquin mówił prawdę. Powiedział:

- Nie należysz do Nocnego Plemienia. I nie należał; był niewinny.

- Nikogo nie zabiłem - powiedział półgłosem.

- Wiem o tym - odparł Decker.

- Dlatego nie pamiętałem żadnego z tych pokoi. Nigdy tam nie byłem.

- Ale teraz już pamiętasz - stwierdził Decker.

- Tylko dlatego - Boone przerwał i gapił się na połyskliwie czarny garnitur doktora - że pan mi pokazał.

- Nauczyłem cię - poprawił go Decker.

Boone gapił się dalej, czekając na wyjaśnienie, którego nie znał

zawczasu. To nie mógł być Decker. Decker był Rozumem, Decker był

Spokojem.

- Dziś wieczorem zginęło dwoje dzieci w Westlock - mówił doktor. -

Obwiniają ciebie.

- Nigdy nie byłem w Westlock - zaprotestował - Boone.

- Ale ja byłem - odrzekł Decker. - Upewniłem się, że tutejsi ludzie widzieli

zdjęcia; mordercy dzieci - są najgorsi. Lepiej, żebyś zmarł tutaj, niż miał się z nimi spotkać.

- Pan? - spytał Boone. - Pan to zrobił?

- Tak.

- Wszystkich?

- I jeszcze więcej.

- Dlaczego?

Decker zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- Bo to lubię - odpowiedział obojętnym tonem.

Dalej wyglądał tak zrównoważony w swoim dobrze skrojonym garniturze.

Nawet twarz, którą Boone widział teraz wyraźnie, nie zdradzała żadnego tropu

wiodącego do ukrytego szaleństwa. Któż by wątpił, widząc zakrwawionego i

czystego mężczyznę, który z nich jest obłąkany, a który jest jego

uzdrowicielem? Ale wygląd zewnętrzny myli. To doktor był potworem,

dzieckiem Midian, który właśnie zmienił ciało, by ukryć prawdziwe „ja”. Reszta

przyczaiła się pod maską spokoju i planowała zabójstwa dzieci.

Decker wyciągnął rewolwer z wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Ubroili mnie - powiedział. - Na wypadek, gdybyś stracił kontrolę nad

sobą.

Ręka mu drżała, ale z takiej odległości trudno było chybić. Za chwilę

wszystko się skończy. Przyleci kula, a on umrze i tyle tajemnic pozostanie nie

wyjaśnionych. Rana, Midian, Decker, tak wiele pytań, na które nigdy nie

odpowie.

Teraz albo nigdy. Cisnął obrus, który wciąż trzymał, w Deckera, a sam

rzucił się w bok. Decker wypalił, a strzał wypełnił pokój hukiem i światłem.

Zanim obrus spadł na ziemię, Boone znalazł się przy drzwiach. Gdy pozostawił

je za sobą o jard, rewolwer znów wypalił. Błysk i natychmiast po nim huk. A

potem podmuch w plecy Boone'a, który pchnął go do przodu, przygarbił.

Jednocześnie rozległ się krzyk Deckera.

- On ma broń!

Boone słyszał, jak cienie postaci przygotowują się, by go osaczyć.

Podniósł ramiona w geście poddania się, otworzył usta, by ogłosić swą niewinność.

Ludzie zebrani za samochodami zobaczyli tylko jego zakrwawioną rękę, wystarczający dowód winy. Wystrzelili.

Boone usłyszał, jak kule mkną po swoich torach - dwie z lewej, trzy z prawej i jedna prosto z naprzeciwka, wymierzona w serce. Starczyło mu czasu, by zdziwić się, jak wolno i jak muzykalnie podążają. Potem trafiły w niego: udo, pachwina, śledziona, ramię, policzek i serce. Stał wyprostowany przez kilka sekund, potem ktoś znów wystrzelił i nerwowe palce na spustach wydały drugą salwę. Dwa z tych strzałów przeszły bokiem. Reszta dosięgnęła celu: brzuch, kolano, dwa w piersi, jeden w skroń. Tym razem upadł.

Gdy uderzył o ziemię, poczuł, że rana zadana przez Peloquina wstrząsnęła nim, jak drgnienie drugiego serca - i jej obecność stanowiła dziwne pocieszenie w tych ostatnich chwilach.

Gdzieś obok usłyszał głos Deckera i jego kroki, zbliżające się od strony domu - chciał obejrzeć ciało.

- Mamy tego bękarta - stwierdził ktoś.

- Nie żyje - powiedział Decker.

- Nie, ja żyję - pomyślał Boone. A potem już nie myślał o niczym.

Część II

ŚMIERĆ TO SUKA

To, co cudowne, także rodzi się,

przeżywa swój najlepszy czas

i umiera...

CARMEL SANDS

Orthodoxies

Rozdział VII

KRĘTE ŚCIEŻKI

Świadomość, że Boone odszedł od niej była już sama w sobie przygnębiająca, ale to, co nastąpiło później, było jeszcze gorsze. Oczywiście, po pierwsze, ta rozmowa telefoniczna. Spotkała doktora Deckera tylko raz i nie poznała jego głosu, dopóki się nie przedstawił.

- Obawiam się, że mam złe wiadomości.

- Znalazł pan Boone'a?

- Tak.

- Jest ranny?

Nastąpiła pauza. Wiedziała już, zanim skończyła się ta cisza, co teraz usłyszy.

- Obawiam się, że on nie żyje, Lori.

Oto ta wiadomość, którą na wpol przeczuwała. Nadeszła, bo była zbyt szczęśliwa, i to nie mogło dłużej - trwać. Boone zmienił jej życie nie do poznania. Jego śmierć uczyni to także.

Podziękowała doktorowi, że był tak dobry i powiedział jej o tym osobiście, nie pozostawiając tego obowiązku policji. Potem odłożyła słuchawkę i czekała, aż wiadomość dotrze do niej.

Niektórzy spośród jej rówieśników twierdzili, że nie odpowiedziałaby nigdy na zaloty mężczyzny takiego jak Boone, gdyby był zdrowy. Mieli tu na myśli nie fakt, że choroba kierowała jego ślepym wyborem, lecz to, że piękno twarzy takiej jak jego, zachęcającej ludzi wrażliwych na urodę do pochlebstw, idzie zwykle w parze z niezrównoważonym umysłem. Takie uwagi głęboko ją

dotykały, ponieważ w głębi serca uważała je za słuszne. Boone niewiele rzeczy posiadał na własność, lecz twarz była jego chwałą i skłaniała do uważnego przypatrywania się. Wprawiało go to w zakłopotanie i zbijało z tropu. Fakt, że ktoś się na niego gapi nie sprawiał mu przyjemności. Lori też nieraz bała się, że go urazi postępując na odwrót: próbując okazać całkowity brak zainteresowania jego wyglądem. Widziała, jak po kilka dni się nie kąpie, jak tygodniami się nie goli i przez pół roku nie chodzi do fryzjera. To nie zniechęcało w większym stopniu jego entuzjastek. Rzucał na nie urok, bo sam był nawiedzony, po prostu.

Nie marnowała czasu na tłumaczenie wszystkiego swoim przyjaciółom.

W zasadzie ograniczała rozmowy na jego temat do minimum, zwłaszcza gdy rozmowa schodziła na seks. Spała z Boone'em zaledwie trzy razy i za każdym razem była to katastrofa. Wiedziała; co mogą wyrządzić plotki. Ale jego czuły, żarliwy sposób, w jaki ją traktował, świadczył o tym, że chciał spełnić jej wymagania. Po prostu nie udawało mu się, a to go wpędzało we wściekłość i depresję, z której ona usiłowała go wydobyć, ograniczając ich kontakt, aby nie dać pretekstu do dalszych niepowodzeń.

Mimo wszystko, często o nim śniła, a scenariusz tych snów zawsze miał niedwuznacznie seksualną wymowę. Bez żadnej symboliki. Po prostu ona i Boone w pustych pokojach, pieprzący się. Czasem do drzwi dobijali się jacyś ludzie - chcieli wejść i popatrzeć, ale nigdy nie wchodzili. Należał do niej bez reszty, w całym swoim pięknie i nieszczęściu.

Jednak tylko w snach. Bardziej teraz niż kiedykolwiek, tylko w snach.

Ich wspólna historia zakończyła się. Nie będzie już mrocznych dni, kiedy

rozmowa nie wychodziła z zaklętego kręgu choroby; nie będzie chwili, gdy nagle rozbłyśka słońce, bo ona uczepiła się jakiegoś zdania i dała mu nadzieję. Nie była całkiem nie przygotowana na nagły koniec. Choć nie na taki: Boone zdemaskowany jako zabójca i zastrzelony w mieście, o którym nigdy nie słyszała. To złe zakończenie.

Złe, a jeszcze gorsze miało nastąpić.

Po tamtej rozmowie nastąpiło nieuniknione przesłuchanie na policji: czy podejrzewała go o działalność przestępczą? Czy kiedykolwiek wobec niej zachowywał się gwałtownie? Powtarzała tuzin razy, że nigdy jej nie dotknął poza chwilami zbliżeń, a wtedy też ograniczał się do pieszczot. Wydawało się, że w jej zapewnieniach o czułości Boone'a policja znajduje milczące potwierdzenie swoich tez. Wymieniono znaczące spojrzenia, gdy rumieniąc się, opowiadała o tym, jak się kochali. Gdy skończono przesłuchanie, spytano, czy zidentyfikuje ciało. Zgodziła się na ten obowiązek. Chociaż ostrzegano, że to nie będzie przyjemne, to jednak chciała się pożegnać.

Miały jednak nastąpić jeszcze dziwniejsze rzeczy.

Ciało Boone'a zniknęło.

Najpierw nikt nie umiał jej powiedzieć, dlaczego odłożono identyfikację zwłok. Zbywano ją tłumaczeniami, które nie brzmiały prawdziwie. Wreszcie nie mieli wyboru i powiedzieli jej. Zwłoki złożone w kostnicy policyjnej poprzedniego wieczora po prostu zniknęły. Nikt nie wiedział, jak je wykradziono, czy też dlaczego - kostnica była zamknięta na klucz, a zamek nie nosił śladów włamania. Prowadzono poszukiwania, ale wyraz twarzy ludzi, którzy przyszli z tą wiadomością, zdradzał, że nie robili sobie nadziei na

znalezienie porywaczy ciała. Dochodzenie w sprawie Aarona Boone'a musiało toczyć się dalej bez udziału zwłok.

Dręczyła ją teraz myśl, że Boone nigdy nie zazna spokoju. Jego ciało stało się igraszką zboczeńca; ten okropny obraz nawiedzał ją w dzień i w nocy. Sama była zaszokowana swoją zdolnością do wyobrażenia sobie, do czego mogło posłużyć jego biedne ciało. Jej umysł działał jak rozkręcona spirala patologii, co napawało ją lękiem (po raz pierwszy w życiu) przed własnymi procesami psychicznymi.

Boone, gdy żył, stanowił tajemnicę, a jego uczucie było cudem, który dał jej poczucie własnej wartości, jakiego nigdy dotąd nie miała. Teraz, poprzez śmierć, tajemnica ta jeszcze się pogłębiła. Wydawało się jej, że go wcale nie знаła, nawet w chwilach bolesnej szczerości między nimi, gdy gotów był otworzyć swoją czaszkę, by zabrała całe przygnębienie mieszczące się w nim - nawet wtedy ukrywał przed nią tajemnicę swego życia jako mordercy. Jak to możliwe! Gdy teraz go sobie wyobrażała, robiącego głupie miny czy wyplakującego się na jej łonie - myśl, że tak naprawdę nigdy go nie znała, wprost fizycznie ją raniła. I jakoś musiała uleczyć tę ranę albo przygotować się na wieczne obcowanie ze świadomością jego zdrady. Musiała wiedzieć, dlaczego drugie życie zawróciło go w przeszłość. Może najlepszym rozwiązaniem byłoby podjęcie poszukiwań tam, gdzie go znaleziono: w Midian. Może tam znajdzie wyjaśnienie tajemnicy.

Policja poleciła jej nie opuszczać Calgary aż do zakończenia dochodzenia, ale ona, jak i jej matka, kierowała się impulsami. Obudziła się o trzeciej nad ranem owładnięta ideą jazdy do Midian. Do piątej się spakowała i

godzinę po świtaniu sunęła autostradą numer 2 na północ.

Najpierw rzeczy szły nieźle. Dobrze było znaleźć się z dala od biura (opuściła pracę, ale do diabła z tym) i od mieszkania, gdzie wszystko przypominało jej znajomość z Boone'em. Jechała na oślep. Na żadnej z map, które miała w rękach, nie oznaczono miasta o nazwie Midian. W rozmowach z policjantami występowały jednak i inne miasta. Jedno z nich - Shere Neck zapamiętała, a ono było oznaczone na mapie. Skierowała się tam.

Wiedziała bardzo mało, a właściwie nic, o okolicy, przez którą jechała. Jej rodzina pochodziła z Toronto - cywilizowanego wschodu, jak zwykła mawiać aż do śmierci jej matka, obrażona na ojca za przeprowadzkę w głąb kraju. To już nie miało znaczenia. Widok pól pszenicy, rozpościerających się jak okiem sięgnąć, nie robił na Lori żadnego wrażenia, nie zwracała uwagi na krajobraz jadąc przed siebie. Ziarno posiano, żeby rosło - niech plantatorzy i żniwiarze robią, co do nich należy. Monotonia krajobrazu nużyła ją bardziej, niż mogła przypuszczać. Przerwała podróż w McLennan, o godzinę jazdy w prostej linii do Peace River, i przespala całą noc bez przerwy na łóżku metalowym, aby obudzić się wypoczęta wcześniej rano, i ruszyła dalej. Szacowała, że do południa osiągnie Shere Neck. Rzeczy jednak nie całkiem potoczyły się według planu. Gdzieś na wschód od Peace River straciła orientację i musiała przejechać czterdzieści mil w złym, jak przypuszczała, kierunku, aż znalazła jakąś stację benzynową i kogoś, kto mógł jej pomóc.

W kurzu, na schodach biura, chłopcy-bliźniacy bawili się plastikowymi żołnierzami. Ich ojciec, po którym odziedziczyli włosy blond, wyciągnął

papierosa gdzieś pomiędzy batalionów i podszedł do samochodu.

- Czym mogę służyć?

- Proszę o benzynę. I pewne informacje.

- To będzie panią kosztowało - powiedział bez uśmiechu.

- Szukam miejsca o nazwie Shere Neck. Zna je pan?

Za jego plecami nasiliły się działania wojenne. Odwrócił się do dzieci.

- Zamknijcie się! - krzyknął.

Chłopcy rzucili sobie spojrzenia spod oka i ucichli, dopóki znów nie odwrócił się do Lori. Lata pracy pod gołym niebem, w letnim słońcu, przedwcześnie go postarzyły.

- Po co pani Shere Neck? - odezwał się.

- Staram się... odnaleźć kogoś.

- Tak? - odparł, wyraźnie zaintrygowany. Wyszczrzył zęby, będące nigdy w lepszym stanie. - Kogoś, kogo znam? Nie mamy tu zbyt wielu znajomych.

Nic nie szkodziło zapytać, jak przypuszczała. Sięgnęła do samochodu i wyjęła z torebki fotografię.

- Jak sądzę, pan nigdy nie widział tego człowieka?

Na schodach trwał Armageddon. Zanim obejrzał fotografię Boone'a, zwrócił się do dzieci.

- Mówilem wam, żebyście się zamknęli, do cholery! - powiedział i odwrócił się, aby zerknąć na zdjęcie.

Reakcja nastąpiła natychmiast. - Wie pani, kim jest ten facet?

Lori zawahała się. Prosta twarz człowieka naprzeciwko zachmurzyła się.

Za późno jednak było na udawanie ignorancji.

- Tak - stwierdziła, starając się nie przybierać zbyt ofensywnego tonu. -

Wiem, kim on jest.

- A wie pani, co on zrobił? - wywinął wargę, kiedy mówił. - Mieliliśmy tu jego zdjęcia. Widziałem je. Znow odwrócił się do dzieci.

- Zamknijcie się!

- To nie ja - zaprotestował jeden z bliźniaków.

- A mnie to gównu obchodzi! - brzmiała odpowiedź.

Ruszył do nich z uniesioną ręką. W mgnieniu oka umknęli przed jego cieniem, ze strachu porzucając swoje wojsko. Wściekłość na dzieci i niesmak wywołany zdjęciem połączyły się teraz.

- Pieprzona bestia - odezwał się do Lori. - Oto, kim on jest. Pieprzoną bestią!

Wręczył jej z powrotem poplamioną fotografię.

- Do cholery, niech go jak najszybciej znajdą. A pani, co chce zrobić, błogosławić miejsce, gdzie się ukrywa?

Wyjęła fotografię z jego tłustych palców, nie odpowiadając, lecz wyraz twarzy mówił sam za siebie. Nie zrażony, kontynuował tyradę.

- Takich ludzi trzeba wykańczać jak psy. Jak pieprzone psy..

Wycofała się przed jego atakiem, z rękami drżącymi tak, że z trudem zdołała otworzyć drzwi samochodu.

- Nie chce pani benzyny? - odezwał się nagle.

- Idź do diabła! - odrzekła. Wyglądał na zakłopotanego.

- O co pani chodzi? - odburknął.

Włączyła zapłon, mamrocząc modlitwę w intencji samochodu. Miała szczęście. Odjeżdżając pędem, spojrzała w lusterko i zobaczyła, że mężczyzna wykrzykuje coś za smugą kurzu, którą zostawiła. Nie wiedziała, skąd się wzięła jego wściekłość, ale wiedziała, na kim ją wyladuje - na dzieciach. Nie ma się czym denerwować. Świat roi się od brutalnych ojców i matek-tyranów, a co za tym idzie - okrutnych, nieczułych dzieci. Tak wygląda kolej rzeczy. I nikt nic nie poradzi na prawa rządzące gatunkiem.

Ułga spowodowana ucieczką wyciszyła wszelkie inne reakcje na jakieś dziesięć minut, ale potem nerwy dały o sobie znać i zaczęła się trząść, tak gwałtownie, że musiała się zatrzymać w pierwszym napotkanym cywilizowanym miejscu, aby trochę się uspokoić. Spośród około tuzina sklepów wybrała małą restauracyjkę, gdzie zamówiła kawę i kawałek słodkiego placka, a potem poszła do toalety, aby spryskać zimną wodą swoją zapłonione policzki. Samotność, nawet tak krótka - oto hasło, które wywołało lzy. Gapiąc się na swoje wzburzoną, pokrytą wypiekami twarz, odbitą w pękniętym lustrze, zaczęła szlochać tak gwałtownie, że nic, nawet wejście innej klientki, nie mogło jej powstrzymać.

Nowo przybyła kobieta postąpiła zupełnie inaczej niż Lori postąpiłaby w takiej sytuacji. Nie wycofała się. Zamiast tego, uchwyciwszy spojrzenie Lori w lustrze, spytała:

- O co poszło? Mężczyźni czy pieniądze? Lori wytarła lzy palcami.

- Przepraszam - powiedziała.

- Kiedy ja płaczę - powiedziała dziewczyna, rozczesując farbowane henną włosy - chodzi zawsze albo o mężczyznę, albo o pieniądze.

Nieskrępowana ciekawość tej dziewczyny pomogła powstrzymać potok nowych łez.

- Mężczyzna - odparła Lori.

- Zostawił cię, prawda?

- Niezupełnie.

- Jezu - odezwała się dziewczyna. - Wrócił? To nawet gorzej.

Ta uwaga wywołała blady uśmiech Lori.

- Wracają zwykle ci, których się nie chce, no nie? - ciągnęła dziewczyna.

- Mówisz, żeby się odwalili, a oni wracają jak psy...

Na wspomnienie psów Lori stanęła przed oczami scena pod garażem i poczuła, jak znów jej zbiera się na płacz.

- Ach, zamknij się Sheryl - dziewczyna zbesztala samą siebie - wszystko psujesz.

- Nie - powiedziała Lori. - Naprawdę nie. Muszę się wygadać.

Sheryl uśmiechnęła się.

- Tak bardzo, jak ja muszę się napić kawy?

Nazywała się Sheryl Margaret Clark i potrafiłaby chyba nawet od aniołów

wyciągnąć informacje. Zanim minęła druga godzina rozmowy i wypila piątą

kawę, Lori opowiedziała jej całą smutną historię, od momentu spotkania z

Boone'em do momentu, kiedy ona i Sheryl wymieniły spojrzenia w lustrze.

Sama Sheryl też miała -historię do opowiedzenia - bardziej komedię niż trage-

dię - o pociągu jej kochanka do kart, i o swym własnym pociągu do jego brata,

co skończyło się pyskówką i rozstaniem. Ruszyła w drogę, aby zapomnieć.

- Nie robiłam tego od dzieciństwa - stwierdziła. - Ot tak iść, dokąd

poniesie mnie fantazja. Zapomniałam już, jakie to fajne uczucie. Możemy jechać razem. Do Shere Neck. Zawsze chciałam zobaczyć to miasto.

- Naprawdę? Sheryl zaśmiała się

- Nie. Ale to cel dobry jak każdy inny. Dla kogoś z fantazją każdy kierunek jest dobry.

Rozdział VIII

TAM, GDZIE PADŁ

Podróżowały zatem zgodnie ze wskazówkami właściciela restauracji, który uważał, że ma pojęcie ciut mniej niż mgliste na temat położenia Midian.

Wskazówki były dobre. Marszruta prowadziła do Shere Neck, które okazało się miastem większym niż oczekiwała Lori, a potem nie oznakowaną drogą, w teorii prowadzącą do Midian.

- Po co tam jedziecie? - chciał wiedzieć właściciel restauracji. - Nikt już tam nie jeździ. To puste miasto.

- Piszę artykuł o gorączce złota - odparła Sheryl, kłamiąc jak z nut. - A ona jest turystką.

- Może i da się coś zwiedzić - brzmiała odpowiedź.

Ta ironiczna uwaga, bliższa była prawdzie, niż sądził ich rozmówca.

Późnym popołudniem światło złociło się na żwirowej drodze, kiedy ujrzaly miasto, a dopóki nie znalazły się na jego ulicach, były pewne, że to nie to miejsce, bo czyż jakieś miasto-widmo wygląda równie zapraszająco? Wraz z zachodem słońca to wrażenie jednak znikło. W opuszczonych domach kryło się coś beznadziejnego, lecz właściwie widok był przygnębiający, ale ani trochę nie niesamowity. Pierwsza myśl Lori po przyjeździe: dlaczego Boone tu

przyjechał?

A druga:

- Nie przybył tu z własnej woli. Gonili go. To przypadek, że w ogóle się tu znalazł.

Zaparkowały samochód pośrodku głównej ulicy, jedynej, jeżeli w ogóle uznać ją za ulicę.

- Nie trzeba zamykać - stwierdziła Sheryl. - Nikt przecież nie przyjdzie go ukraść.

Teraz, gdy już tu dotarły, Lori jeszcze bardziej cieszyła się z towarzystwa Sheryl. Jej werwa i dobry humor rzuciły wyzwanie temu posępnemu miejscu i odstraszały to, co mogło je nawiedzić.

Duchy da się pokonać śmiechem; zwalczyć przygnębienie - o wiele trudniej. Po raz pierwszy, odkąd zadzwonił do niej Decker, poczuła nadciągającą żalobę. Z łatwością wyobrażała sobie Boone'a tutaj, samotnego i zagubionego, wiedzącego, że prześladowcy nadciągają. Jeszcze łatwiej przyszło jej znaleźć miejsce, gdzie go zastrzelili. Dziury po kulach, które chybiły, zostały obwiedzione kredą; plamy i bryzgi krwi wsiąkły w deski werandy. Stała niedaleko tego miejsca przez kilka minut, niezdolna, by się zbliżyć i zarazem niezdolna, by odejść. Sheryl wycofała się taktownie, nikt więc nie odrywał jej zahipnotyzowanego wzroku od widoku łoża śmierci Boone'a.

Zawsze jej będzie go brakowało. A jednak nie płakała. Może wyszłochała już łzy w łazience w restauracji. Czowała natomiast, jak jej tęsknotę podsyca tajemnica: w jaki sposób mężczyzna, którego знаła i kochała - czy też kochała i sądziła, że zna - mógł tutaj zginąć w następstwie zbrodni, o którą nigdy by go

nie podejrzewała. Może wściekała się na niego i to powstrzymywało łąy;
świadoma, że pomimo ich miłości tak wiele przed nią ukrywał, a teraz nawet nie
mogła domagać się wyjaśnień. Czy nie mógł zostawić przynajmniej jakiegoś
znaku? Zauważyła, że gapi się na plamy krwi i zastanawia się, czy czyjś
ostrzejszy wzrok mógłby odczytać z nich jakiś sens. Gdyby wróżyć z fusów po
kawie, z pewnością ostatni ślad zostawiony przez Boone'a miał jakieś
znaczenie. Ale ona nie była wróżbitką. Znaki, to tylko część nie rozwiązanej
zagadki, zasadnicza część; uczucie kazało wypowiedzieć jej na głos, gdy tak
stała przy schodach, słowa:

- Wciąż cię kocham, Boone.

To dopiero zagadka; pomimo gniewu i szoku oddałaby życie, które jej
jeszcze pozostało, za to, by ujrzeć, jak on wychodzi teraz przez drzwi i
obejmuje ją.

Nie otrzymała jednak żadnej odpowiedzi, choćby pośredniej. Nie poczuła
oddechu żadnego ducha na policzku, żadnego westchnienia w swoim wnętrzu.
Jeśli Boone obecny był tu wciąż w jakiejś formie, to zachował milczenie i nie
oddychał; śmierć nie uwolniła go, lecz uczyniła swoim więźniem.

Ktoś wymówił jej imię. Podniosła wzrok.

- ... nie sądzisz? - mówiła Sheryl.

- Słucham?

- Czas na nas - powtórzyła Sheryl. - Nie sądzisz, że czas jechać?

- Ach.

- Chyba nie masz mi za złe, że to mówię? Wyglądasz jak wypluta.

- Dziękuję.

Lori wyciągnęła rękę, szukając uspokojenia. Sheryl uścisnęła ją.

- Widziałaś już co trzeba, kochanie - stwierdziła.

- Tak...

- Chodźmy.

- Wiesz, to wciąż nie wydaje się całkiem realne - powiedziała Lori. -

Nawet to, że tu stoję. To, że to widzę. Nie potrafię do końca w to uwierzyć. Jak to możliwe, że wszystko stracone? Musi istnieć sposób, by do nich dotrzeć, nie uważasz, by do nich dotrzeć i ich dotknąć.

- Kogo?

- Umarłych. W przeciwnym razie bowiem - wszystko to nonsens,

prawda? Sadystyczny nonsens - uwolniła rękę z uścisku Sheryl, podniosła do czoła i potarła je palcami.

- Przepraszam - powiedziała. - Mówię bez ładu i składu, no nie?

- Szczerze? Nie.

Lori wyglądała na skruszoną.

- Posłuchaj - mówiła Sheryl. - Stare miasto, nikomu niepotrzebne. Myślę,

że powinniśmy wynosić się stąd i niech się to wszystko rozpadnie. Co na to powiesz?

- Jestem za.

- Myślę jeszcze...

- O czym?

- Właściwie niezbyt lubię towarzystwo - stwierdziła. - Nie mam oczywiście na myśli ciebie - dodała pośpiesznie.

- A więc kogo?

- Całe to zgromadzenie nieboszczyków.

- Jakich nieboszczyków?

- Za wzgórzem, tamten cholerny cmentarz.

- Naprawdę?

**- W twoim stanie umysłu nie ma sensu go oglądać - Sheryl odrzekła
pospiesznie.**

**Wyraz twarzy Lori mówił jednak, że nie powinna występować z tą
informacją.**

- Nie chcesz tego oglądać - powiedziała. - Naprawdę nie chcesz.

- Tylko minutkę czy dwie - prosiła Lori.

- Jeśli zostaniemy tu dłużej, będziemy wracać w ciemnościach.

- Już tu nigdy nie przyjadę.

- Och, z pewnością. Powinnaś zobaczyć ten widok. Wspaniały widok.

Domy umarłych ludzi. Lori zdobyła się na nikły uśmiech.

- Szybko wrócę.

**Ruszyła ulicą w kierunku cmentarza. Sheryl zawahała się. Zostawiła
sweter w samochodzie, a robiło się chłodno. Cały czas, kiedy tu przebywały,
nie mogła się jednak pozbyć wrażenia, że są obserwowane. Gdy zbliżał się
zierzch, nie chciała być sama na ulicy.**

**- Zaczekaj - zdecydowała i dołączyła do Lori, widocznej już pod murem
cmentarza.**

- Czemu jest taki rozległy? - zdziwiła się Lori na głos.

- Bóg jeden wie. Może wszyscy wymarli nagle.

- Tak wielu? To właściwie małe miasto.

- Racja.
- A zobacz rozmiary grobów.
- Sądzisz, że zrobią na mnie wrażenie?
- Wejdiesz?
- Nie. I nie bardzo chcę.
- Tylko trochę za mur.
- Gdzie ja to już słyszałam?

Lori nie odpowiedziała. Była teraz przy bramie cmentarnej, sięgała przez kraty do klamki. Udało się jej. Jedna połowa drzwi otworzyła się na tyle, że mogła się przecisnąć. Weszła. Wahając się, Sheryl podążyła za nią.

- Dlaczego tak wiele? - Lori znów się odezwała. Nie tylko ciekawość kazała jej zadawać pytania; ten dziwny spektakl sprawił, że znów zaczęła się zastanawiać, czy Boone zapędził się tu przez przypadek, czy też Midian było jego miejscem przeznaczenia. Może pochowano tu kogoś, kogo miał nadzieję znaleźć żywego? A może przy jego grobie chciał wyznać swoje zbrodnie? To zaledwie domysły, a jednak aleje grobowców wydawały się obiecywać jakąś słabą nadzieję na zrozumienie, dlaczego przelał krew - ale bez rezultatu rozglądała się po terenie, aż zapadł zmrok.

- Już późno - przypomniała Sheryl.

- Tak.

- I jest mi zimno.

- Tak?

- Chciałabym iść, Lori.

- Och... przepraszam. Tak. Oczywiście. Robi się zbyt ciemno, by

cokolwiek dostrzec.

- Zauważyłaś.

Ruszyły z powrotem pod górę, do miasta, Sheryl nadawała tempo.

Resztki światła znikły niemal kiedy dotarły na peryferie miasta. Sheryl poszła do samochodu, a Lori zatrzymała się, aby po raz ostatni spojrzeć na cmentarz.

Z tego punktu widokowego przypominał fortecę. Może wysokie mury broniły go przed zwierzętami, chociaż wydawało się to zbyteczną ostrożnością. Umarli z pewnością byli bezpieczni pod swoimi kamieniami nagrobnymi. Mury miały raczej chronić żałobników, by umarli nie zyskali nad nimi władzy. Za tą bramą ziemia została poświęcona umarłym i troszczyła się o nich. Na zewnątrz - świat należał do żywych, którzy nie nauczą się niczego od tych, których utracili.

Nie była na tyle arogancka. Tak wiele chciała powiedzieć dziś umarłym, i tyle usłyszeć. Szkoda.

Wróciła do samochodu dziwnie ożywiona. Drzwi natychmiast zamknęły się i ruszył silnik, a Sheryl powiedziała:

- Ktoś nas obserwuje.

- Jesteś pewna?

- Przysięgam. Widziałam go, kiedy podeszłam do samochodu -

energicznie tarła piersi. - Jezu, brodawki mi sztywnieją, kiedy jest zimno.

- Jak on wyglądał? - spytała Lori. Sheryl wzruszyła ramionami.

- Zbyt ciemno, żeby dostrzec. To teraz bez znaczenia. Jak powiedziałaś, nie wrócimy tu więcej.

Racja, pomyślała Lori. Mogą odjechać prostą drogą i nie odwracać się.

Może zmarli obywatele Midian zazdrościli im tego, za murami swojej fortecy.

Rozdział IX

NAWIEDZONA

Wybór miejsca noclegu w Shere Neck nie należał do trudnych: były tylko dwie możliwości. Jeden z hoteli został już zajęty przez uczestników giełdy sprzętu rolniczego, a część z tego najazdu rolników zatrzymała się w drugim budynku, Sweetgrass Inn. Sheryl nie uznawała przymilania się w recepcji i groziło im, że stąd też odeślą je z kwitkiem, ale w końcu znaleziono pokój, który mogły zająć wspólnie, z podwójnym, zestawionym łóżkiem, prosty, ale wygodny.

- Wiesz, co zwykła mawiać moja matka? - spytała Sheryl, rozkładając swoje kosmetyki w łazience.

- Co?

- Zwykła mawiać: jest gdzieś mężczyzna dla ciebie, Sheryl, chodzi gdzieś w pobliżu z twoim imieniem na ustach. I to mówiła kobieta, która szukała swojego szczególnego mężczyzny przez trzydzieści lat i nigdy go nie znalazła. Zawsze jednak trzymała się tej romantycznej prawdy. Widzisz, mężczyzna z twoich snów czeka za rogiem. Cholera, ona mnie też do tego przekonała.

- Wciąż w to wierzysz?

- O tak. Wciąż szukam. Myślisz pewnie, że po tym wszystkim, co przeszłam, zmądrzałam. Chcesz pierwsza wziąć prysznic?

- Nie. Idź najpierw!

W sąsiednim pokoju zaczęło się jakieś przyjęcie, a zbyt cienkie ściany nie tłumili jego odgłosów. Kiedy Sheryl brała prysznic, Lori leżała w łóżku, a wydarzenia minionego dnia kłębiły się jej w głowie. Nie trwało to długo. Ze snu

wyrwała ją Sheryl, wykąpana i gotowa wyruszyć do miasta.

- Idziesz? - chciała wiedzieć.

- Jestem zbyt zmęczona - stwierdziła Lori. - Baw się dobrze!

- O ile można tu się dobrze bawić - ze smutkiem zauważyła Sheryl.

- Na pewno ci się uda - odrzekła Lori. - Obyś tylko miała o czym rozmawiać!

Sheryl obiecała jej to i zostawiła Lori, żeby odpoczęła. Choć i na to czuła się zbyt zmęczona. Zdołała zaledwie zapaść w drzemkę, i tak przerywaną co jakiś czas odgłosami pijackiej burdy z przyległego pokoju.

Wstała by poszukać syfonu z wodą sodową i lodu. Wróciła ze szklanką dietetycznego napoju do łóżka, ale za ścianą wciąż hałasowano. Postanowiła wziąć kąpiel, zanim trunki i zmęczenie nie uciszą jej sąsiadów. Zanurzona po szyję w gorącej wodzie czuła, jak mięśnie rozluźniają się, a zanim wyszła z wanny, była w znacznie lepszym nastroju. Łazienka nie miała pochłaniacza pary, więc oba lustra zaparowały. Była im wdzięczna za swoistą dyskrecję.

Katalog słabych stron jej ciała miał wystarczającą objętość, by nie wydłużać go dodatkowymi samooględzinami. Szyja zbyt gruba, twarz zbyt szczupła, oczy zbyt duże, nos zbyt mały. Właściwie składała się z samych nadmiarów i niedomiarów, a wszelkie wysiłki, żeby ukryć wady tylko je eksponowały. Włosy, które zapuściła, były tak bujne i ciemne, że w ich ramie twarz wyglądała jak chora. Usta, przypominające w każdym calu usta jej matki, wyglądały naturalnie, cokolwiek nawet nieprzyzwoicie, ale tuszowanie ich barwy bladą szminką powiększało jeszcze oczy i czyniło je bardziej bezbronnymi.

W sumie jednak jej twarz nie była nieatrakcyjna. Mogła wybierać

mężczyzn. Kłopot w tym, że jej wygląd nie odzwierciedlał jej wnętrza. Słodka buzia - a nie była wcale słodka, nie chciała być słodka, i nie pragnęła, żeby tak o niej myślano. Może silne wrażenia, które ją spotkały w ciągu kilku ostatnich godzin (widok krwi, grobów), stanowiły jakiś znak. Miała taką nadzieję. Ich wspomnienie wciąż ją poruszało, wzbogacało, chociaż także bolało.

Naga, powędrowała z powrotem do sypialni. Tak jak się spodziewała, towarzystwo balujące za ścianą uciszyło się. Nie słyszała już rock and roll'a, lecz coś stonowanego. Usiadła na skraju łóżka i przebiegała dłońmi po piersiach ciesząc się ich gładkością. Jej oddech dostosował się do wolnego rytmu muzyki za ścianą: muzyki do tańczenia biodro przy biodrze, usta przy ustach. Położyła się na łóżku, a prawa ręka sunęła w dół ciała. Czula woń narzuty, przesiąkniętej papierosowym dymem z paru miesięcy. Nadawało to pokojowi charakteru miejsca prawie publicznego, miejsca nocnych schadzek. Myśl o nagości w takim pokoju i zapach jej czystej skóry w zatęchłym łóżku stawały się coraz wyraźniejsze.

Włożyła kciuk i środkowy palec do swojej szpary, unosząc nieco biodra, aby ułatwić działanie. Na tę zabawę nie pozwalała sobie zbyt często: katolickie wychowanie kładło cień winy między instynkt a koniuszki palców. Ale dziś wieczorem była inną kobietą. Szybko znalazła najwrażliwsze miejsce; oparła stopy na krawędziach łóżka i szeroko rozłożyła nogi, aby dać pole do popisu obu dłoniom.

Przy pierwszym przyplywie ciepła nie pomyślała o Boon'ie. Zmarli mężczyźni to kiepscy kochankowie. Lepiej o nim zapomnieć. Miał ładną twarz, ale nigdy już jej nie pocałuje. Miał także niezłego członka, ale już go nigdy nie

pogłoszcze, ani nie posiadzie. Miała więc tylko siebie - przyjemność dla czystej przyjemności. Tak właśnie sobie wyobrażała akt, który odgrywała: czyste ciało, nagie, na zatęchłym łóżku. Kobieta w obcym pokoju rozkoszująca się swoim obcym "ja".

Rytm muzyki już nią nie kierował. Znalazła własny rytm, wznoszenie i opadanie, wznoszenie i opadanie, za każdym razem wspinała się coraz wyżej. Bez końca, szczyt za szczytem, aż spłynęła potem i ogarnął ją przesyt. Leżała spokojnie przez kilka minut. Potem, czując nadciągający sen i obawiając się, że zaskoczy ją w tej dziwnej pozycji, odrzuciła pościel, przykryła się tylko prześcieradłem, położyła głowę na poduszce i dała nura w przestrzeń pod powiekami.

Pot na ciele ochłodził pod cienkim prześcieradłem. Śniło się jej, że znajduje się w nekropolii w Midian, a ze wszystkich uliczek wiatr zbiegł na jej spotkanie - z północy, południa, wschodu i zachodu - ziębiąc ją i podnosząc włosy na głowie, wdzierając się pod bluzkę. Wiatr wcale nie niewidzialny.

Dotykalny poprzez ciężar niesionego kurzu, pyłków klejących powieki i zatykających nos, znajdujących dojdzie pod bielizną i do wnętrza ciała także.

Wiatr oślepił już ją całkowicie, gdy zdała sobie sprawę, że to właściwie szczątki zmarłych, wiekowych nieboszczyków, rozwiewane przez wiatry na wszystkie strony świata z piramid i mauzoleów, nagrobków i podziemi, kostnic i krematoriów. Pył trumien i ludzki popiół, i kości w kawałeczkach, unoszone w stronę Midian i dopadające ją na skrzyżowaniach.

Czuła umarłych w sobie. Pod powiekami, w gardle, wciskających się do łona. Jednak pomimo chłodu i furii czterech sztormów nie bała się ich, nie chciała ich odpędzić. Szukali przecież jej ciepła i kobiecości. Nie odrzuci ich.

- Gdzie Boone? - spytała we śnie, przypuszczając, że umarli będą wiedzieć. Przecież był jednym z nich.

Wiedziała, że nie znajduje się daleko, ale wiatr stawał się silniejszy, miotał nią na wszystkie strony, skowyczał wokół głowy.

- Boone? - odezwała się znów. - Chcę Boone'a. Przyprawadźcie go do mnie.

Wiatr usłuchał. Zaskowyczał głośniejsz.

Jeszcze ktoś był w pobliżu, przeszkadzając w usłyszeniu odpowiedzi.

- On nie żyje, Lori - powiedział jakiś głos.

Próbowała zignorować idiotyczny głos i skupić się na zrozumieniu wiatru. Wypadła jednak z rozmowy i musiała zaczynać od nowa.

- Pragnę Boone'a - stwierdziła. - Przyprowadźcie go...

- Nie!

Znów ten przeklęty głos.

Spróbowała po raz trzeci i gwałtowność wiatru zmieniła się w inną gwałtowność. Potrząsano nią.

- Lori! Obudź się!

Przywarła do snu, do snu o wietrze. Mógłby jej powiedzieć to, czego potrzebowała, gdyby jeszcze chwilę odparła atak świadomości.

- Boone! - zawołała znów, lecz wiatr odchodził i zabierał ze sobą umarłych. Swędziło ją, gdy wychodzili z jej żył i zmysłów. Jeśli znali jakąś tajemnicę, zabierali ją teraz ze sobą. Nie była w stanie ich powstrzymać.

- Lori.

Odeszli już, wszyscy odeszli. Uniesieni przez sztorm.

Nie miała wyboru; otworzyła oczy wiedząc, że ujrzy Sheryl, z krwi i kości, siedzącą w nogach łóżka i uśmiechniętą.

- Koszmary? - spytała.

- Nie. Niezupełnie.

- Wołałaś jego imię.

- Wiem.

- Powinnaś pójść ze mną - stwierdziła Sheryl.- Wyrzucić go ze swojej duszy.

- Może.

Sheryl promieniała, wyraźnie chciała podzielić się wieściami.

- Poznałaś kogoś? - zgadła Lori. Sheryl wyszczerzyła zęby.

- Kto by pomyślał? - powiedziała. - Matka mogła rzeczywiście mieć rację.

- Aż tak dobrze?

- Dobrze.

- Opowiedz o wszystkim!

- Nie ma wiele do opowiadania. Po prostu znalazłam jakiś bar i spotkałam tam świetnego faceta. Kto by pomyślał? - powtórzyła. - W środku cholernej prerii. Miłość mnie szukała.

Nie panowała nad swoim podnieceniem; z trudem hamowała entuzjazm, gdy zdawała Lori pełną relację ze swego nocnego romansu. Mężczyzna nazywał się Curtis; bankier, urodzony w Vancouver, rozwiedziony, ostatnio przeprowadził się do Edmonton. Idealnie się uzupełniali, jak twierdziła: jako znaki zodiaku, pod względem upodobań kulinarnych i alkoholowych, doświadczeń rodzinnych. A co najważniejsze, chociaż rozmawiali przez kilka godzin, ani razu nie namawiał jej do rozebrania się. Był dżentelmenem: układny, inteligentny, tęskniący za życiem kulturalnym Zachodniego Wybrzeża -, gdzie, jak dał do zrozumienia, powróciłby, gdyby znalazł odpowiednie towarzystwo. Może jej towarzystwo.

- Mam się z nim znów spotkać jutro wieczorem - powiedziała Sheryl. -

Może nawet zostanę tu kilka tygodni, jeśli sprawy dobrze się ułożą.

- Na pewno - odparła Lori. - Zasłużyłaś, żeby ci się powiodło.

- Wracasz jutro do Calgary? - spytała Sheryl.

- Tak - chciał odpowiedzieć jej umysł. Ale sen był od niej szybszy i

odpowiedział inaczej.

- Myślę, że najpierw wrócę do Midian - odezwała się. - Chcę jeszcze raz zobaczyć to miejsce. Twarz Sheryl posmutniała.

- Proszę, nie nalegaj, żebym pojechała z tobą. Nie zdobędę się na drugą taką wizytę.

- Nie ma problemu - odrzekła Lori. - Z radością pojedę sama.

Rozdział X

SŁOŃCE I CIEN

Nad Midian rozciągało się niebo bez chmur, a powietrze wydawało się jakby podminowane. Cały niepokój, jaki czuła podczas pierwszej wizyty zniknął. Chociaż było to wciąż miasto, gdzie umarł Boone, nie mogła go za to nienawidzić. Wręcz przeciwnie - ona i miasto sprzymierzyli się, oboje naznaczeni odejściem Boone'a.

Nie przybyła tu jednak z wizytą do miasta jako takiego, lecz na cmentarz - i nie zawiodła się. Słońce migotało na mauzoleach, ostre cienie podkreślały kunszt rzemieślników. Nawet zieleń trawy, wyrosłej między grobami, wydawała się soczystsza niż wczoraj. W żadnej z kwater nie wiał wiatr, nie czuła oddechu sztormów ze snu, unoszących umarłych. W obrębie wysokich murów panowała niezwykła cisza, jak gdyby świat zewnętrzny w ogóle nie istniał. Oto 'i miejsce poświęcone umarłym, którzy nie odeszli po prostu z życia, lecz stanowili odrębny gatunek, rządzący się swoimi obrządkami i modlący się w sobie tylko właściwy sposób. Ze wszystkich stron otaczały ją takie znaki: epitafia po angielsku, francusku, polsku i rosyjsku; obrazy zawołowanych kobiet i

rozbitych urn świętych, których sensu męczeństwa mogła się tylko domyślać;
kamienne psy śpiące przy grobach swoich panów - cała symbolika
towarzysząca owym ludziom. Im bardziej się w to zagłębiała, tym wyraźniej
pojmowała, że zadaje sobie pytanie, trapiące ją od wczoraj: czemu ten
cmentarz jest taki wielki? I dlaczego - co stawało się coraz bardziej widoczne w
miarę jak badała nagrobki - spoczywało tu tyle narodowości? Myślała o swoim
śnie; o wietrze, który przyleciał ze wszystkich zakątków ziemi. Jak gdyby było
w tym coś proroczego. Ta myśl nie zmartwiła jej. Jeśli tak toczy się świat, przy
udziale omenów i proroctw, musi istnieć jakiś system jego uporządkowania,
którego dotychczas nie знаła. Miłość zawiodła, może ten nowy system nie
zawiedzie.

Godzinę trwało, zanim przewędrowała spokojnymi alejkami do tylnego
muru cmentarza i znalazła tam rząd grobów, w których pochowano zwierzęta:
koty pogrzebane obok ptaków, psy obok kotów - wszyscy pogodzeni, jakby z
jednej byli gliny. Osobliwy widok. Chociaż wiedziała o cmentarzach zwierząt,
nigdy nie słyszała, aby udomowione zwierzęta chowano w tej samej po-
święconej ziemi, co ich właściciele. Ale czy cokolwiek tutaj powinno ją dziwić?
To miejsce położone z dala od siedzib ludzkich, samo stanowiło dla siebie
prawa, więc nie znalazł się nikt, kogo mogłoby to wszystko obchodzić, czy
móglby wyrazić potępienie.

Wracając od tylnego muru, nie widziała, gdzie mogłaby się znajdować
brama wejściowa, nie pamiętała też, która z alejek tam prowadziła. Nieważne.
Czuła się bezpieczna w pustce tego miejsca i tyle miała do obejrzenia:
grobowce, których architektura górowała, nad innymi, domagały się podziwu.

Zaplanowała trasę obejmującą pół tuzina najbardziej okazałych i leniwie ruszyła w drogę powrotną. Z każdą chwilą słońce, pnące się ku południu, świeciło coraz mocniej. Chociaż kroczyła wolno, spływała potem, a gardło jej wysychało. Trzeba będzie przejechać spory kawał, zanim znajdzie miejsce, gdzie ugasi pragnienie. Z wysuszonym gardłem, czy nie - nie spieszyła się jednak. Wiedziała, że nigdy już tu nie wróci. Zamierzała utrwalić swoje wspomnienia.

Po drodze widziała kilka grobów dosłownie opanowanych przez młode drzewka zasadzone w pobliżu. Przeważały drzewka wiecznie zielone, przypominające o życiu wiecznym, bujnie rosnące w zaciszu murów, karmione obficie przez żyzną glebę. W paru przypadkach rozrastające się korzenie rozsadziły nagrobki, w pobliżu których zasadzono drzewka, aby dawały cień i schronienie. Owo połączenie zieleni i ruin szczególnie ją poruszało.

Przystanęła nagle, kiedy idealna cisza została zmacona.

Ktoś (lub coś) ukryty w listowiu dyszał. Cofnęła się odruchowo poza cień drzewa i wyszła na słońce. Szok - serce zabiło jej gwałtownie, że aż zagłuszyło dźwięk, który przed chwilą ją zaintrygował. Musiała poczekać przez moment i bacznie się wsłuchiwać, aby nabrać pewności, że nic sobie nie wyobraziła. Coś kryło się pod gałęziami drzewa, którego ciężkie listowie przyginało je prawie do ziemi. Dźwięk, badany teraz uważnie, nie był wydawany przez człowieka, ani istotę zdrową. Chrapliwość sugerowała, że należy do zdychającego zwierzęcia. Stała tak w żarze słońca przez minutę lub odrobinę dłużej, po prostu gapiąc się na gąszcz listowia i cień, - usiłując dostrzec to stworzenie. Czasem poruszało się: ciało daremnie próbujące się podnieść, desperacko skrobiące

ziemię, żeby wstać. Ta bezradność wzruszyła ją. Jeśli nie zrobi czegoś -

zwierzę z pewnością zginie. Świadomość, że ktoś słyszał agonię zwierzęcia i przeszedł obok obojętnie, popchnęła ją do działania.

Znów weszła w cień. Z tej odległości wydawało się, że dyszenie

całkowicie ustało. Może stworzenie bało się jej i - poczytując zbliżenie się jako agresję - przygotowało się do ostatecznej obrony? Zapewniając sobie odwrót

przed pazurami i zębami, rozsunęła gałązki i zerknęła przez płataninę konarów.

Pierwsze wrażenie nie dotyczyło wzroku czy słuchu, lecz powonienia: gorzko-

słodka woń, nawet przyjemna, której źródłem było stojące z boku blade

stworzenie, teraz wylaniające się z mroku i wpatrujące w jej szeroko otwarte

oczy. Młode zwierzę, jak przypuszczała, ale gatunku nie była w stanie określić.

Może jakiś dziki kot, ale futerko zwierzęcia przypominało bardziej jelenia.

Patrzyło na nią ostrożnie, a szyja z trudem dźwigała ciężar delikatnie

zarysowanej głowy. Nawet gdy odwzajemniła mu spojrzenie, wydawało się

całkowicie zrezygnowane. Zamknęło oczy i opuściło głowę na ziemię.

Sprężystość gałęzi utrudniała dalsze podejście. Zamiast usiłować je

odgiąć, zaczęła je łamać, aby dostać się do umierającego stworzenia. Drzewo

zachowywało się jak żywe, walczyło. W połowie drogi przez gąszcz jakaś

szczególnie oporna gałąź uderzyła ją w twarz z taką siłą, że krzyknęła z bólu.

Przyłożyła dłoń do policzka.

Skóra aż do prawego kącika ust została rozcięta. Ocierając krew,

zaatakowała gałąź z jeszcze większym wigorem, docierając wreszcie na

wyciągnięcie ręki do zwierzęcia. Niemal nie reagowało na dotyk; oczy

zatrzepotały przez chwilę, gdy pogładziła mu bok, a potem znów się zamknęły.

Nie mogła dostrzec żadnej rany, ale ciało pod jej dłońmi było rozpalone i dygotało.

Gdy zmagala się, by je podnieść, zwierzę zaczęło oddawać mocz, posiusiało jej ręce i bluzkę, ale nie przejmowała się tym, trzymając ciężar. Poza spazmami przebiegającymi system nerwowy zwierzęcia, w mięśniach nie zostało ani krzty siły. Kończyny zwisały bezwładnie, głowa tak samo. Tylko zapach, który poznała na początku, zachował jeszcze jakąś moc, nawet jakby większą, w miarę zbliżania się końca.

Coś jak westchnienie dobiegło jej uszu. Zamarła.

Znów ten dźwięk. Wyszła z cienia wiecznie zielonego listowia, niosąc umierające zwierzę. Gdy światło słoneczne padło na stworzenie, zareagowało tak gwałtownie, że całkowicie zadało kłam swojej słabości, machając szaleńczo kończynami. Wróciła do cienia, przy czym to raczej instynkt niż rozumowa analiza podpowiedział jej, że to promienie słoneczne wywołały tę reakcję.

Dopiero wtedy spojrziała w kierunku, skąd dobiegał szloch. Drzwi jednego z mauzoleów położonych dalej przy tej alejce - masywnej budowli z popękanego marmuru - stały uchylone, a w słupie ciemności za nimi mogła niewyraźnie dostrzec ludzką postać. Niewyraźnie, bo była ubrana na czarno i chyba w woalce.

Nie pojmowała sensu wydarzeń. Umierające zwierzę, męczone przez światło; szlochająca kobieta - z pewnością kobieta - w drzwiach, ubrana jak żalobnica. Jak to wszystko skojarzyć?

- Kim pani jest?! - zawołała.

Żalobnica jak gdyby cofnęła się w cień, gdy ją zagadnięto, potem pożałowała tego ruchu i znów zbliżyła się do otwartych drzwi, z takim jednak

wahaniem, że jasny stawał się związek między zwierzęciem i kobietą.

Ona też boi się słońca - pomyślała Lori. Należeli do siebie, zwierzę i żalobnica, kobieta szlochająca za stworzeniem, które Lori trzymała na rękach.

Spojrzała na chodnik rozciągający się od miejsca, gdzie stała - do mauzoleum. Czy zdołałaby dotrzeć do grobu, nie wychodząc na słońce i nie przyspieszając tym samym zgonu zwierzęcia? Może i tak, przy zachowaniu ostrożności. Planując sobie trasę, zaczęła posuwać się do mauzoleum, używając plam cienia jako miejsc postoju. Nie spoglądała na drzwi, całą uwagę skupiając na chronieniu zwierzęcia przed światłem, a jednak czuła obecność żalobnicy i jej chęć, by szła dalej. Raz kobieta odezwała się - nie słowami, lecz jakimś cichym dźwiękiem, tak jak ucisza się dziecko w kołysce, skierowanym nie do Lori, lecz do umierającego zwierzęcia.

Znalazszy się o trzy czy cztery jardy od drzwi mauzoleum, Lori ośmieliła się podnieść wzrok. Kobieta w drzwiach nie mogła dłużej zachować cierpliwości. Wychyliła się ze swego schronienia, a szata jej zsunęła się na plecy, odsłaniając ramiona i wystawiając ciało na słońce. Biała skóra-jak lód, jak papier - ale tylko przez chwilę. Gdy palce wyciągnęły się, by uwolnić Lori od jej ciężaru, pociemniały i spuchły, jak gdyby nagle zostały stłuczone. Żalobnicy wydała okrzyk bólu i niemal wpadła z powrotem do grobu, gdy cofnęła ramiona, lecz skóra popękała i smugi ciała, żółtawe jak pyłek kwiatowy, wybuchły jej z palców i spadły w promieniach słońca na patio.

W sekundę później Lori znalazła się przy drzwiach, a potem za nimi, w bezpiecznej ciemności. To pomieszczenie było zaledwie przedpokojem. Dwoje drzwi prowadziło dalej: jedno do swego rodzaju kaplicy, drugie pod ziemię.

Kobieta w żałobie stała przy tych drugich drzwiach, otwartych, jak najdalej od porażającego światła. W pośpiechu zgubiła woalkę. Twarz pod spodem miała pięknie ukształtowane kości, tak szczupłe, że grożące uszkodzeniem, co podkreślało jeszcze wyraz jej oczu, odbijające, nawet w najmroczniejszym kącie pomieszczenia, trochę światła zza otwartych drzwi, tak że wydawały się niemal świecić.

Lori nie czuła wcale strachu. To tamta kobieta drżała, gdy pielęgnowała swoje poparzone słońcem ręce. Jej spojrzenie wędrowało od zdumionej twarzy Lori do zwierzęcia.

- Obawiam się, że nie żyje - odezwała się Lori, nie wiedząc, jaka choroba dotknęła tę kobietę, lecz rozumiejąc jej żal, płynący ze zbyt świeżych doświadczeń.

- Nie: - spokojnie zaprzeczyła kobieta. - Ona nie może umrzeć.

To brzmiało jak oświadczenie, nie błaganie, lecz spokój kształtu spoczywającego w ramionach Lori kazał nie wierzyć w pewność kobiety. Jeśli stworzenie jeszcze nie umarło, nie było już dla niego ratunku.

- Dasz mi ją? - spytała kobieta.

Lori zawahała się. Chociaż ciężar tego ciała sprawiał jej ból i chciała już to mieć za sobą, wolała nie wchodzić do krypty.

- Proszę - powiedziała kobieta, wyciągając poranione ręce.

Lori ustąpiła, opuściła bezpieczne miejsce przy drzwiach i nasłonecznione patio za sobą. Postąpiła dwa, trzy kroki, gdy usłyszała odgłosy szeptów. Mogły one dobiegać tylko z jednego miejsca - ze schodów. Przy- stanęła, odezwały się w niej lęki z dzieciństwa. Strach przed grobami; strach

przed schodami prowadzącymi w dół; strach przed Podziemnym Światem.

- Tam nikogo nie ma - mówiła kobieta z twarzą ściągniętą bólem. -

Proszę, daj mi Babette.

Aby udobruchać Lori, odeszła krok ód schodów, przemawiając

półgłosem do zwierzęcia zwanego przez nią Babette. Albo te słowa, albo

bliskość kobiety, czy też chłodna ciemność krypty spowodowały reakcję

stworzenia: drzenie przebiegło przez jego grzbiet jak wyładowanie elektryczne,

tak silne, że Lori niemal wypuściła zwierzę z rąk. Kobieta mamrotała coraz

głośniej, jak gdyby lajała umierającą istotę; jej niepokój wzrastał. Nastąpił

impas. Lori nie chciała przybliżyć się bardziej do wejścia do krypty, a kobieta -

do drzwi zewnętrznych, a podczas tych sekund zastoju w zwierzę wstąpiło

nowe życie.

Jeden z jego pazurów zahaczył pierś Lori, gdy zaczęło wić się w jej

objęciach.

Reprimenda przeszła w krzyk:

- Babette!

Ale jeśli nawet stworzenie słyszało, nie zważało na to. Ruszało się coraz

gwałtowniej jakby w parkosyzmach. W pewnej chwili zadrzało jak torturowane,

w następnej poruszało się jak wąż zrzucający skórę.

- Nie patrz, nie patrz! - usłyszała głos kobiety, lecz Lori nie zamierzała

odrywać wzroku od budzącego grozę tańca. Nie mogła też oddać stworzenia

kobiecie, dopóki pazur zaciskał się na niej tak mocno, że każda próba

oderwania go kończyła się krwawieniem.

To „nie patrz!” miało jednak swój sens. Teraz przyszła kolej na Lori, by

podnieść głos w panice, gdy zorientowała się, że to, co się dzieje w jej

ramionach, zaprzecza zdrowemu rozsądkowi.

- Jezu Chryste!

Zwierzę zmieniało się w oczach. W spazmach, zrzucając skórę,

przestawało być bestią: nie organizowało na nowo swojej anatomii, lecz stopiło

całe swoje „ja” do kości, aż to co było ciałem stałym zmieniło się w miazgę.

Oto i źródło gorzko-słodkiego zapachu, który poczuła pod drzewem: materia

rozpuszczonej bestii.

W chwili, gdy przestała istnieć spójność, miazga mogła wysunąć się z jej

objęć, ale istota bytu (może wola, może dusza) powstrzymywała ją, dopóki nie

zajdzie proces przemiany. Ostatnią częścią bestii, która przeszła stopienie, był

pazur, a jego dezintegracja dostarczyła ciału Lori prawdziwej przyjemności. Nie

odwróciło to jej uwagi od faktu, że była wolna. Przerażona, nie zdążyła pozbyć

się tego, co trzymała w swoich objęciach, a tylko przechyliła tę miazgę w

stronę wyciągniętych rąk żalobnicy, niczym ekskrementy.

- Jezu - powiedziała cofając się. - Jezu, Jezu.

Na twarzy kobiety nie malowała się jednak zgroza - tylko radość. Łzy

powitania spłynęły po jej bladych policzkach i wpadły do tygla, który trzymała.

Lori spojrzała za siebie w słońce. Po mroku wnętrza - oślepiało. Natychmiast

straciła orientację i zamknęła oczy, aby zapomnieć o grobie, i o świetle.

Szlochanie znów kazało jej otworzyć oczy. Tym razem szlochała nie

kobieta, lecz dziecko, dziewczynka cztero- czy pięcioletnia, leżąca nago w

miejscu, gdzie znajdowała się miazga transformacji.

- Babette - odezwała się kobieta.

To niemożliwe - podpowiadał rozum. To szczupłe białe dziecko nie mogło być zwierzęciem, które ocaliła pod drzewem. Zręczność prestidigatora, albo złudzenie idioty - tak próbowała mamieć samą siebie; to wszystko niemożliwe.

- Ona lubi się bawić na zewnątrz - mówiła kobieta, przenosząc wzrok z dziecka na Lori. - A ja jej powtarzam: nigdy, nigdy w słońcu. Nigdy nie baw się w słońcu. Ale to jeszcze dziecko. Nie rozumie.

Niemożliwe - powtarzał rozum. Gdzieś jednak we wnętrzu Lori uwierzyła. Zwierzę istniało realnie. Przemiana miała miejsce. Otóż i żywe dziecko, płaczące w ramionach matki. Ona też była realna. Każda chwila, w której próbowała zaprzeczyć temu, co widziała, oddalała zrozumienie tego, co widziała. Jej światopogląd nie obejmował takiej tajemnicy, ale jej rozwikłanie pozostawiała sobie na kiedy indziej. Teraz po prostu chciała odejść w słońce, tam, gdzie bały się wychodzić istoty zmieniające kształt. Nie ośmieliła się oderwać od nich oczu, dopóki nie znajdzie się w słońcu. Dotknęła muru, aby kierował jej ostrożnymi krokami. Matka Babette chciała jednak zatrzymać ją jeszcze na chwilę.

- Zawdzięczam ci coś - odezwała się.

- Nie - odparła Lori. - Nie chcę... nic... od ciebie.

Chciała już odejść, ale scena, która się przed nią rozgrywała: dziecko dotykające policzka matki i szlochające - wzruszyła ją. Niesmak został zastąpiony przez zaszokowanie, strach, zmieszanie.

- Pozwól pomóc sobie - powiedziała kobieta. - Wiem, dlaczego tu przyszedłeś.

- Wątpię - stwierdziła Lori.

- Nie marnuj czasu - odrzekła kobieta. - Nic tu po tobie. Midian to dom Nocnego Plemienia. Tylko dla Nocnego Plemienia.

- Ściszyła głos niemal do szeptu.

- Nocne Plemię? - spytała Lori nieco głośniejszym głosem. Kobieta miała ból w oczach.

- Ciii - odezwała się. - Nie powinnam ci tego mówić, ale przecież tyle ci zawdzięczam.

Lori zatrzymała się przy wejściu. Instynkt kazał jej czekać.

- Znasz człowieka nazwiskiem Boone? - spytała.

Kobieta otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, jej twarz wyrażała sprzeczne uczucia. Chciała odpowiedzieć, to jasne, lecz strach powstrzymywał ją przed mówieniem. I tak nie miało to znaczenia, jej wahanie wystarczyło za odpowiedź.

Znała Boone'a - teraz lub w przeszłości.

- Rachel.

Zza drzwi prowadzących pod ziemię rozległ się jakiś głos. Głos mężczyzny.

- Chodź tutaj - domagał się. - Nie masz nic do powiedzenia.

Kobieta zerknęła w stronę schodów.

- Panie Lylesburg - powiedziała głosem pełnym formalności. - Ona ocaliła Babette.

- Wiemy - brzmiała odpowiedź z ciemności. - Widzieliśmy. A jednak musisz wrócić.

Widzieliśmy - powtórzyła w myśli Lori. Ilu jeszcze było pod ziemią, ilu z

Nocnego Plemienia?

Bliskość otwartych drzwi kusila ją, by zdobyć się na odwagę i rzuciła wyzwanie głosowi, który usiłował uciszyć jej informatorkę.

- Uratowałam dziecko - powiedziała. - Myślę, że za to zasłużyłam na wdzięczność.

W ciemności zaległa cisza, potem rozbłysnął punkcik gorącego popiołu i

Lori zdała sobie sprawę, że Pan Lylesburg stoi niemal u szczytu schodów, gdzie światło z zewnątrz powinno go właściwie oświetlać, chociaż słabo, ale cień jakoś zakrzepł na jego sylwetce i uczynił niewidzialnym - oprócz papierosa.

- Dziecko nie ma życia, żeby można je było ratować - odezwał się do Lori

- ale to co ma, należy do ciebie, jeśli chcesz. Przerwał.

- Chcesz tego? Jeśli tak, bierz ją. Ona należy do ciebie.

Uwaga ta przeraziła ją.

- Za kogo wy mnie bierzecie? - spytała.

- Nie wiem - odparł Lylesburg. - Ty jedna zażądałaś rekompensaty.

- Chcę tylko odpowiedzi na parę pytań - zaprotestowała Lori. - Nie chcę dziecka. Nie jestem dzikusem.

- Nie - cicho stwierdził głos. - Nie jesteś. Więc odejdz. Nie masz tu nic do roboty.

Zaciągnął się papierosem i w jego blasku mignęły rysy rozmówcy. Lori

wyczula, że chętnie by się teraz pokazał - odrzucił woal cienia za kilka chwil

spotkania z nią twarzą w twarz. Podobnie jak Rachel, był wyniszczony;

wydawał się jeszcze chudszy - bo miał kościec grubszej budowy i obszerne

ubranie. Teraz, gdy oczy zapadły się, a mięśnie twarzy uwidoczniły pod skórą jak papier, w jego wyglądzie rzucały się w oczy brwi jak szczotki i czoło pobrużdżone i chore.

- To był przypadek - powiedział. - Nie miałaś tego oglądać.

- Wiem - odrzekła Lori.

- Wiesz zatem także, że mówienie o tym przyniesie straszne konsekwencje.

- Nie groźcie mi.

- Nie tobie - ciągnął Lylesburg. - Nam.

Poczuła ukłucie wstydu, że go nie rozumiała. Ona nie była podatna na promienie słoneczne: mogła chodzić w słońcu.

- O niczym nie powiem - zapewniła go.

- Dziękuję - odparł.

Znów zaciągnął się papierosem i ciemny dym zakrył twarz.

- To co pod ziemią... - odezwał się zza swego woalu - ... pozostanie pod ziemią.

Rachel westchnęła na to cicho, spoglądając na dziecko, które delikatnie kołysała.

- Odejdź - rozkazał jej Lylesburg i cienie, które go spowijały, ruszyły w dół schodów.

- Muszę iść - powiedziała Rachel i odwróciła się, by podążyć za nim. -

Zapomnij, że tu kiedyś byłaś. Nie możesz nic zrobić. Słyszałaś Pana Lylesburga. To co pod ziemią...

- ...pozostanie pod ziemią. Tak, słyszałam.

- Midian należy do Plemienia. Nikt tu cię nie potrzebuje...

- Powiedz mi tylko - żądała Lori. - Jest tu Boone?

Rachel znajdowała się już u szczytu schodów i zaczynała schodzić.

- Jest tu, prawda? - spytała Lori, porzucając bezpieczne miejsce przy otwartych drzwiach i idąc przez kryptę w stronę Rachel. - To wy ukradliście ciało!

Brzmiało to jak straszny, makabryczny żart. Mieszkańcy katakumb, owo Nocne Plemię, nie pozwalało Boone'owi na zaznanie wiecznego spoczynku.

- To wy! Ukradliście go!

Rachel stanęła i obejrzała się na Lori; twarz ledwie widoczna w mroku schodów.

- Niczego nie ukradliśmy - odpowiedziała, nie żywiąc urazy.

- Więc gdzie on jest? - dopytywała się Lori. Rachel odwróciła się i cień pochłonął ją całkowicie.

- Powiedz! Proszę, na Boga! - wołała za nią Lori. Nagle zapłakała: to wściekłość, strach i frustracja znalazły swe ujście. - Powiedz, proszę!

Desperacja popchnęła ją w dół schodów, za Rachel, a krzyki przeszły w błagania.

- Poczekaj... porozmawiaj ze mną... Pokonała trzy stopnie, potem czwarty. Na piątym stanęła - czy też raczej jej ciało zatrzymało się, mięśnie nóg zeszywniały same z siebie i odmówiły choćby jednego kroku dalej w ciemność krypty.

Nagle pokryła się gęsią skórką, szumiało jej w uszach. Żadną siłą woli nie była w stanie zwalczyć zwierzęcego imperatywu zakazującego jej schodzić;

mogła tylko stać jak wmurowana i gapić się w głąb. Nawet łzy nagle wyschły i ślina odpłynęła w głąb z ust, więc nie mogła także mówić. Nie zdołałaby teraz zawołać w ciemność, by wymusić jakąś odpowiedź. Chociaż nie widziała nikogo, wiedziała intuicyjnie, że są o wiele straszniejsi niż Rachel i jej dziecko-bestia. Zmiana kształtu to niemal naturalny akt na tle innych umiejętności, jakie posiadli. Czują ich perwersyjność w powietrzu. Wdychała i wydychała ją. To oczyściło jej płuca i przyspieszyło akcję serca.

Jeśli zwłoki Boone'a służyły im za igraszkę, nie było o czym mówić.

Musiała się pocieszyć nadzieją, że jego duch był gdzieś w jasności.

Pokonana, cofnęła się o krok. Cienie jednak niechętnie ją opuszczały.

Czuła, jak wciskają się pod jej bluzkę i chwytają za rzęsy; tysiąc małych uchwytów na jej ciele, spowalniających odwrót.

- Nikomu nie powiem - stwierdziła półgłosem. - Proszę, pozwólcie mi iść!

Ale cienie trzymały się, zapowiadając odwet, gdyby chciała je odtrącić.

- Obiecuję - powiedziała. - Cóż więcej mogę zrobić?

I nagle, skapitulowały. Nie zdawała sobie sprawy, z jaką siłą działały, dopóki nie odstępily. Potknęła się i padła u szczytu schodów w światło panujące w przedpokoju. Odwracając się plecami do krypty, wpadła na drzwi i wyszła na słońce.

Było za jasno. Zakryła oczy. Trzymała się prosto dzięki temu, że pochwyciła kamienny portyk, aż przywykła do światła. Trwało to kilka minut; stała przy mauzoleum, drżąca i sztywna. Gdy tylko poczuła, że może patrzeć przez na wpół przymknięte oczy, spróbowała iść do głównej bramy, błędząc i myląc kierunki.

Kiedy tam wreszcie dotarła, przywykła jakoś do bezdusznego światła i nieba. Nogi odmówiły posłuszeństwa i nie była w stanie iść dalej niż kilka kroków pod górę do Midian. Wydawało się, że zaraz zwali się na ziemię. Organizm, przesycony adrenaliną, aż tętnił. Ale przynajmniej żyła. Przez krótką chwilę tam, na schodach, ważyły się jej losy. Cienie mogły ją zabrać, nie wątpiła w to. Chciały ją zabrać do Podziemnego Świata i odebrać nadzieję. Czemu ją uwolniły? Może dlatego, że uratowała dziecko; może dlatego, że przyrzekła milczeć i zaufano jej. Nie wyglądało to jednak na postępowanie potworów, a musiała wierzyć, że to, co żyło pod cmentarzem w Midian, zasłużyło na to miano. Któż inny niż potwory wije sobie gniazdo wśród umarłych? Mogą się nazywać Nocnym Plemieniem, lecz ani słowa, ani gesty dobrej woli nie zamaskują ich prawdziwej natury.

Uciekła demonom - istotom ze zgnilizny i nikczemności i powinna wznosić modły dziękczynne za ocalenie, jeśli niebo nie byłoby tak bezchmurne i jasne, i tak wyraźnie pozbawione bóstw, by ich wysłuchały.

Część III

WZIEMIĘWSTĄPIENIE

... na miasto, w dwóch postaciach.

Skóra i ciało. Trzech, jeśli liczyć

czoło. Wszyscy na miasto, by ich

dotykać dziś wieczór, psze pana.

Wszyscy gotowi, by ich pocierać

i obwąchiwać, i kochać dziś wieczór,

psze pana.

CHARLES KYD

Hanging by a thread

Rozdział XI

PODCHODY

Wracając do Shere Neck, włączyła radio na cały regulator, aby jakoś trzymać się przy życiu i nie myśleć o niczym. Z każdą milą uświadamiała sobie jednak coraz silniej, że nie zdoła ukryć swoich przeżyć przed Sheryl i tym samym - nie dotrzyma danej obietnicy. To, co przeżyła, musi być widoczne, w twarzy, w głosie. Ale jej obawy okazały się bezpodstawne. Może potrafiła ukrywać wewnątrz lepiej, niż sądziła, a może Sheryl okazała się mniej spostrzegawcza? W każdym razie Sheryl zadała tylko kilka zdawkowych pytań dotyczących jej powtórnej wizyty w Midian, zanim przeszła do opowiedzenia o Curtisie.

- Chcę, żebyś go poznała - powiedziała. - Po prostu upewnisz mnie, że nie śnię.

- Zamierzam jechać do domu, Sheryl - odrzekła Lori.

- Chyba nie dziś wieczór. Za późno już.

Miała rację, dzień już się kończył i Lori nie powinna myśleć o podróży do domu. Nie mogła jednak wymyślić żadnego powodu, by odmówić prośbie Sheryl, tak, by jej nie urazić.

- Obiecuję, że nie będziesz się czuła jak brzydula na doczepkę -

stwierdziła Sheryl. - On powiedział, że chce cię poznać. Opowiedziałam mu wszystko o tobie. To znaczy... nie wszystko. Ale wystarczająco wiele, o naszym spotkaniu - zrobiła beznadziejną minę. - Powiedz, że przyjdiesz - prosiła.

- Przyjdę.

- Fantastycznie! Zaraz do niego zadzwonię.

Kiedy Sheryl wyszła do telefonu, Lori wzięła prysznic. Po dwóch

minutach dowiedziała się już o szczegółach wieczornego spotkania.

- Umówiliśmy się w restauracji, którą on zna, koło ósmej - zawołała

Sheryl. - Ma nawet znaleźć dla ciebie towarzystwo.

- Nie, Sheryl...

- Sądzę, że żartował - odpowiedziała. Pojawiła się w drzwiach łazienki. -

Ma zabawne poczucie humoru - odezwała się. - Rozumiesz, nigdy nie wiadomo,

czy żartuje, czy mówi poważnie. Właśnie taki on jest.

Wspaniale, pomyślała Lori, marnuje się, mógłby być dobrym komikiem.

W obecności Sheryl, z jej dziewczęcym zapalem, znajdowała znów pocieszenie.

To gadanie bez końca o Curtisie, nie dało Lori nic więcej niż konturowy portret

postaci, wycięty przez ulicznego artystę: zarys, żadnych szczegółów. A mimo

wszystko odrywało to Lori od myśli o Midian i jego tajemnicach.

Początek wieczoru pełen był dobrego humoru i przygotowań do wyjścia

na miasto, tak że chwilami zastanawiała się, czy to, co zdarzyło się w

nekropolii, nie było tylko jej halucynacją. Ale miała dowód potwierdzający

wspomnienia: rozcięcie przy ustach, dzieło krnąbrnej gałęzi. Niewielki ślad, ale

pamięć bólu nie pozwalała wątpić w jej zdrowe zmysły. Była w Midian. Trzymała

w ramionach stworzenie zmieniające kształt i stała na schodach krypty, patrząc

na wyziewy, tak intensywne, że zachwiałyby się nawet wiara świętego.

Chociaż cały świat pod cmentarzem był odległy od Sheryl i wiru jej

romansu tak jak noc od dnia, nie stawał się przez to mniej realny. Kiedyś

jednak będzie musiała doświadczyć tej rzeczywistości, znaleźć dla niej w sobie

miejsce, choćby to przeczyło wszelkiemu rozsądkowi, wszelkiej logice. Na razie

**jednak taila wszystko w sobie, a cięcie przy ustach pieczętowało straż pamięci;
postanowiła cieszyć się wieczorem, który miała przed sobą.**

- To żart - stwierdziła Sheryl, kiedy stały przed Hudson Bay Sunset. -

Wspominałam ci przecież, że on ma dziwaczne poczucie humoru?

Wymieniona przez niego restauracja była doszczętnie wypalona, a pożar miał miejsce kilka tygodni wcześniej, sądząc ze stanu belek.

- Jesteś pewna, że to tu? - spytała Lori. Sheryl roześmiała się.

- Mówię ci, że to jeden z jego żartów - powiedziała.

- No to uśmiealiśmy się. A kiedy będziemy jeść? - nastawała Lori.

- On nas prawdopodobnie obserwuje - Sheryl próbowała podtrzymać fason.

Lori rozejrzała się w poszukiwaniu podglądacza. Nie było czego się bać na ulicach miasta takiego jak to, nawet w sobotni wieczór, ale okolica nie wyglądała zachęcająco. Każdy sklep w pasażu zamknięty, kilka - nawet na stałe; chodniki - kompletnie opustoszałe. W tym miejscu nie chciałyby się zatrzymać.

- Nie widzę go - odezwała się.

- Ja też.

- I co teraz robimy? - spytała Lori, starając się jak mogła nie zdradzać swojej irytacji. Jeśli to miał być pomysł Curtisa-Pięknisia na spędzenie wolnego czasu, w takim razie dobry smak Sheryl stał pod znakiem zapytania. Czyż jednak Lori miała prawo ją osądzać? Sama kochała i następnie straciła psychopatę.

- On musi gdzieś tu być - w głosie Sheryl zabrzmiała nadzieja. - Curtis? -

zawołała, otwierając pchnięciem osmalone drzwi.

- Czemu nie zaczekać na niego tutaj, Sheryl?

- On chyba jest w środku.

- Tam może być niebezpiecznie. Zignorowała tę uwagę.

- Sheryl.

- Słyszę. Wszystko w porządku - zanurkowała w ciemność wnętrza. Woń spalonego drewna i tkanin zaatakowała nozdrza Lori.

- Curtis? - usłyszała wołanie Sheryl.

Przejechał jakiś samochód, ze źle wyregulowanym silnikiem. Pasażer, młodzieniec, przedwcześnie lysiejący, wychylił się przez okno.

- Pomóc w czymś?

- Nie, dziękuję - odpowiedziała Lori, niepewna, czy pytanie poczytać za małomiasteczkową uprzejmość, czy też za podrywanie. Pewnie to drugie, zdecydowała, a samochód nabrał szybkości i zniknął; ludzie wszędzie są tacy sami. Jej nastrój poprawiający się błyskawicznie, odkąd znów przebywała w towarzystwie Sheryl, raptownie skwaśniał. Nie lubiła ulic opustoszałych, gdy dzień miał się ku końcowi. Noc, zawsze niosąca jakąś obietnicę, zbyt silnie kojarzyła się z Plemieniem, które przybrało przecież jej imię - Nocne Plemię. A czemuż by nie? Ciemność to ciemność, zawsze i wszędzie. Ciemność serca, ciemność niebios; jedna i ta sama ciemność. Nawet teraz, w Midian, otwierają się wrota mauzoleów, a światło gwiazd im nie przeszkodzi. Zadrżała na myśl o tym.

W oddali, na jednej z ulic usłyszała odgłos silnika samochodu, hałas, potem pisk hamulców. Czy to' Dobry Samarytanin na swoim drugim

obchodzie?

- Sheryl? - zawołała. - Gdzie jesteś?

Z wnętrza budynku dobiegł śmiech, gulgoczący śmiech Sheryl. Nie była jednak pewna czy to ona, wkroczyła więc przez drzwi, aby poszukać żartownisiów.

Znów rozległ się śmiech, a gdy ucichł, Sheryl powiedziała:

- Curtis - tonem żartobliwego oburzenia, które przeszło znów w pusty śmiech.

A więc wspaniały kochaś tam był. Już chciała wracać na ulicę, by wsiąść do samochodu. A te przekłete głupki niech prowadzą swoje gierki. Myśl o samotnym wieczorze w pokoju hotelowym i słuchaniu, jak inni się bawią popchnęła ją jednak do kolejnego podejścia do pogorzeliśka.

Gdyby nie jasność klepek podłogowych, odbijających światło ulicy w stronę obelkowania sufitu, nie odważyłaby się zapuścić tak daleko. Ale przed sobą widziała w półmroku sklepienie przejścia, przez które dobiegał śmiech Sheryl. Ruszyła w tym kierunku. Wszystkie dźwięki ucichły. Obserwowali jej każdy ostrożny krok. Czują badawcze spojrzenia.

- Chodźcież, wariaci - odezwała się. - Żart skończony. Jestem głodna.

Odpowiedź nie nadeszła. Za sobą, na ulicy, usłyszała nawoływania Samarytanina. Powrót nie był wskazany. Poszła naprzód pod sklepieniami. Jej pierwsza myśl: on skłamał tylko w połowie - to była restauracja. Dotarła do kuchni, gdzie prawdopodobnie zaproszył się ogień. Białe kafelki, chociaż osmalone, wciąż przydawały całemu wnętrzu jakiejś niesamowitej luminescencji. Stała w drzwiach i bacznie oglądała pomieszczenie.

Największa z kuchenek stała pośrodku, a haki z naczyniami wciąż wisiały nad nią, zasłaniając widok od góry. Żartownisie musieli się ukryć z drugiej strony, tylko tam było jakieś wyjście.

Pomimo lęków, odezwały się w niej wspomnienia dawnych zabaw w chowanego. Jej pierwsza zabawa, bo przecież najprostsza. Jakże uwielbiała, gdy ojciec ją straszył, gonił, a potem chwycił. Gdybyż to on się tu teraz chował i czekał, żeby złapać i przytulić. Ale rak złapał go już dawno temu, za gardło.

- Sheryl? - powiedziała. ,- Poddaję się. Gdzie jesteście?

Gdy to mówiła, odkryła w zasięgu wzroku jednego z graczy i zabawa się skończyła.

Sheryl nie kryła się, to śmierć pozostała w ukryciu. Przykucnęła przy kuchence; ciemność wokół niej wydawała się zbyt mokra na cień, a głowę miała odrzuconą do tyłu i wyrąbaną twarz.

- Jezu Chryste!

Za Lori rozległ się jakiś dźwięk. Ktoś nadchodził, żeby ją znaleźć. Za późno na ukrycie. Złapana. I to nie przez kochające ramiona, nie przez ojca, udającego potwora. Przez samego potwora.

Odwróciła się, żeby zobaczyć jego twarz, zanim ją dopadnie, ale w jej stronę biegło pudełko z przyborami do szycia: suwak zamiast ust, guziki zamiast oczu, a wszystko przyszyte na białym lnieniu, tak ciasno przylegającym do potwora, że ślina zrobiła ślad wokół jego ust. Ukrył twarz, lecz nie zęby.

Trzymał je wysoko nad głową, błyszczące noże, a ich ostrza pochylały się jak lodygi trawy, by wykluczyć jej oczy. Uchyliła się przed nimi, ale natychmiast znalazły się przy niej; usta za suwakiem zawołały ją po imieniu.

- Lepiej skończmy z tym, Lori.

.Ostrza znów się zbliżały, ale była szybsza. Maska nie wydawała się spieszyć, nadciągała wolno, wstrętne poufała.

- Sheryl była rozsądniejsza - stwierdził. - Po prostu stała i czekała na to, co się zdarzy.

- Pieprzę cię.

- Może później.

Przejechał jednym z ostrzy po rzędzie wiszących garnków, aż zazgrzytało i poszły iskry.

- Ale potem, kiedy trochę ostygniesz - zaśmiał się rozdziawiając suwak. -

Jest na co czekać.

Pozwoliła mu mówić, wciąż starając się wymyślić jakąś trasę ucieczki.

Ale szansę były nikłe. Wyjście przeciwpożarowe zostało zablokowane przez spalone belki; jedyną szansę dawała ucieczka przez wejście, którym tu wkroczyła, a między nią a tym przejściem stała Maska, ostrząc swoje zęby jeden o drugi.

Znów nadciągał. Już bez drwin, skończył się czas na gadanie. Gdy się zbliżał, pomyślała o Midian. Z pewnością nie po to tyle przeszła, żeby dać się posiekać przez jakiegoś samotnego psychopatę!

Pieprzyć go.

Gdy noże sunęły w jej stronę, chwyciła z wieszaka powyżej jakiś garnek i wymierzyła w jego twarz. Trafiła w sam środek. Siła, z jaką go uderzyła, zaszokowała ją. Człowiek-Maska zatoczył się, upuszczając jedno z ostrzy. Zza płótna nie dobiegł jednak żaden dźwięk. Przeniósł tylko pozostałe ostrze z

prawej ręki do lewej, potrząsała głową, jak gdyby odpędzał dzwonienie w czasie i znów gorączkowo przystąpił do niej. Miała czas zaledwie na to, by podnieść garnek w swojej obronie. Ostrze ześliznęło się i dosięgło jej ręki. Przez moment nie czuła bólu, nie było krwi. Potem ból i krew pojawiły się, aż w nadmiarze, a garnek upadł u jej stóp. I teraz napastnik wydał głos, przechylając głowę, jak gdyby gapił się na krew płynącą z rany, której był sprawca.

Spojrzała w stronę drzwi, obliczając, jakiego potrzebuje czasu, by dotrzeć tam szybciej niż pościg prześladowcy. Zanim zaczęła działać, Człowiek-Maska przypuścił swój ostatni atak. Nie podniósł noża, ani głosu, kiedy przemówił:

- Lori - powiedział. - Musimy porozmawiać, ty i ja.

- Odpieprz się!

Ku jej zdumieniu posłuchał zlecenia. Pojęła, jak niewiele czasu ma na to, by podnieść upuszczony przez niego nóż z podłogi. Druga, nie zraniona ręka, nie była tak sprawna, ale on stanowił dobry cel. Mogła mu zrobić krzywdę, najchętniej - uszkodzić serce.

- Tym właśnie zabiłem Sheryl - stwierdził. - Na twoim miejscu odłożyłbym to. Czowała w dłoni lepka stal.

- Tak, tym rozplatałem Sheryl, od ucha do ucha - ciągnął. - A teraz ty zostawiłaś odciski palców, na całej powierzchni. Powinnaś nosić rękawiczki, jak ja.

Myśl o tym, co zrobiło ostrze, zatrwożyła ją, ale nie zamierzała go rzucać i stanąć bez broni.

- Oczywiście, zawsze można zwalić winę na Boone'a - mówiła Maska. -

Powiedz policji, że on to zrobił.

- Skąd wiesz o Boonie? - spytała. Czyż Sheryl nie powiedziała, że nic mu nie mówiła?

- Wiesz, gdzie on jest? - spytała Maska.

- Nie żyje - odparła.

Pudełko z przyborami do szycia zaprzeczyło ruchem głowy.

- Nie, obawiam się, że nie. Wstał i poszedł. Bóg jeden wie, jak to zrobił.

Ale wstał i poszedł. Możesz sobie wyobrazić? Człowiek nafaszerowany kulami.

Widziałaś krew, którą z siebie wytoczył?

Obserwował nas cały czas - pomyślała. Śledził nas do Midian, tego

pierwszego dnia. Ale dlaczego? Tu właśnie nie widziała sensu; dlaczego?

- ...krew, kule i jeszcze nie leży martwy.

- Ktoś ukradł ciało - odezwała się.

- Nie - brzmiała odpowiedź - to nie tak się odbyło.

- Kim do diabła jesteś?

- Dobrze pytanie. Nie widzę powodu, dlaczego nie miałabyś poznać odpowiedzi.

Podniósł rękę do twarzy i ściągnął maskę. Pod spodem ukazał się

Decker, spocony i uśmiechnięty.

- Szkoda, że nie wziąłem aparatu fotograficznego - powiedział. - Wygląd twojej twarzy...

Nie mogła go zmienić, chociaż nienawidziła samej możliwości, że go to

bawi. Szok sprawił, że dyszała jak ryba. Decker to Curtis, według Sheryl - Pan

Wspaniały.

- Dlaczego? - dopytywała się.

- Dlaczego co?

- Dlaczego zabiłeś Sheryl?

- Z tego samego powodu, co wszystkich innych - odparł gładko, jak

gdyby pytanie nie znecierpliwilo go. Potem, ze śmiertelną powagą: - Dla

zabawy, oczywiście. Dla przyjemności. Długo rozmawialiśmy o tym dlaczego,

Boone i ja. Kopaliśmy głęboko, wiesz, starając się zrozumieć. Ale kiedy już

mówimy o tym z całą odpowiedzialnością, robię to, bo to lubię.

- Boone był niewinny.

- Jest niewinny, gdziekolwiek się ukrywa. Co stanowi problem, ponieważ

zna fakty i pewnego dnia może znaleźć kogoś, kogo przekona o swojej pra-

wdzie.

- Więc chcesz go powstrzymać?

- A ty byś nie chciała? Cały kłopot w tym, że wkroczyłem. Mógł umrzeć

jako człowiek winny. Sam nawet posłałem mu jedną kulę, a tu on wstaje i od-

chodzi.

- Powiedziano mi, że nie żyje. Byli pewni.

- Kostnica została otwarta od wewnątrz. Nie powiedzieli ci tego? Na

klamce były jego odciski palców, na podłodze - jego odciski stóp. Nie

powiedzieli ci tego? Nie, oczywiście, że nie. Ale ja ci mówię. Ja wiem. Boone

żyje. A twoja śmierć wyciągnie go z ukrycia. Założę się. Będzie się musiał

pokazać.

Powoli, kiedy mówił, wznosił nóż.

- Jeśli tylko będzie po kim nosić żałobę.

Nagle był przy niej. Ostrze, które zabiło Sheryl, nastawiła między sobą a nim. To trochę zwolniło jego atak, ale nie zatrzymało go.

- Naprawdę mogłabyś to zrobić? - odezwał się. - Nie sądzę. Mówię z własnego doświadczenia. Ludzie są przeczulenii na punkcie uczciwości, nawet gdy w grę wchodzi ich życie. A ten nóż, oczywiście, stępił się już na biednej Sheryl. Będziesz musiała ostro nim pogrzebać, żeby zrobić na mnie jakieś wrażenie.

Mówił niemal igrając i wciąż się przybliżał.

- Chciałbym zobaczyć, jak próbujesz. Naprawdę chciałbym. Chciałbym zobaczyć, jak próbujesz.

Kątem oka dostrzegła, że stoi na wysokości stosu talerzy, znajdujących się o kilka cali od jej łokcia. Może one dadzą jej czas, by dopaść drzwi - zastanawiała się. W walce na noże może z tym maniakiem przegrać, co do tego nie miała wątpliwości. Ale może go jeszcze wywieść w pole.

- No chodź, spróbuj, zabij mnie, jeśli potrafisz. Za Boone'a. Za biednego, szalonego Boone'a.

Gdy te słowa przechodziły w śmiech, wyprostowała ranne ramię, zgarnęła talerze i cisnęła na podłogę, przed Deckera. Potem następny stos, i następny. Chińskie skorupy latały na wszystkie strony. Cofnął się o krok, podniósł ręce do twarzy, żeby się bronić, a ona wykorzystała swoją szansę i czmychnęła przez sklepienie przejścia. Przedostała się do części restauracyjnej, zanim usłyszała odgłosy pościgu. Wystarczyło jej jednak czasu na dotarcie do drzwi zewnętrznych. Wypadła na ulicę. Na chodniku natychmiast odwróciła się twarzą do drzwi, przez które miał nadejść. Ale on nie

zamierzał wychodzić za nią na światło.

- Sprytna suka - powiedział z ciemności. - Dostanę cię. Kiedy dostanę

Boone'a, wrócę po ciebie; możesz już zacząć liczyć swoje oddechy.

Ze wzrokiem utkwionym w drzwiach, posuwała się po chodniku tyłem do samochodu. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że trzyma narzędzie zbrodni, w tak mocnym uchwycie, że czuła się doń przyklejona. Nie miała wyboru, tylko je zabrać i oddać policji, razem ze swoim zeznaniem. Wciąż tyłem do samochodu, otworzyła drzwi i wsiadła, obejrzawszy się tylko na wypalony budynek, kiedy już zablokowała zamki. Potem cisnęła nóż na podłogę przed siedzeniem pasażera, włączyła silnik i odjechała.

Wybór stojący przed nią sprowadzał się do dwóch możliwości: policja albo Midian. Noc przesłuchań albo powrót do nekropolii. Jeśli wybierze to pierwsze, nie będzie mogła ostrzec Boone'a przed Deckerem. Przypuśćmy jednak, że Decker kłamał, a Boone nie przeżył kul? Wtedy nie tylko nie uniknie posądzenia o morderstwo, lecz znajdzie się w zasięgu Nocnego Plemienia, całkiem bez potrzeby.

Wczoraj wybrałaby oddanie się w ręce prawa. Ufałaby, że śledztwo wyjaśni tajemnicę, że uwierzą w jej historię i Deckera dosięgnie ramię sprawiedliwości. Jeszcze wczoraj sądziła, że bestie to bestie, a dzieci to dzieci; sądziła, że tylko umarli żyją pod ziemią i znajdują tam spokój wieczny. Sądziła, że lekarze leczą, a kiedy szaleni podnoszą maskę, trzeba stwierdzić: „Ależ oczywiście, to twarz szaleńca.”

Wszystko było nie tak, zupełnie nie tak. Wczorajsze przekonania minęły z wiatrem. Wszystko może być prawdziwe.

Boone może żyć.

Pojechała do Midian.

Rozdział XII

NA ZIEMI I POD ZIEMIĄ

Gdy jechała autostradą, opanowały ją wizje, skutek szoku i utraty krwi ze sprawnej, choć zranionej ręki. Podobne to było do tego, jakby padał śnieg na szybę.

Iskierki jak śnieżynki przenikały szkło i przelatywały obok niej sycząc.

Gdy coraz bardziej zapadała w sen, tym bardziej była przekonana, że widzi nadlatujące twarze, żywe przecinki - niczym płody ludzkie - szepczące coś na pożegnanie. To, co widziała, nie przygnębiało ją, lecz wręcz przeciwnie wydawało się potwierdzać, to co rodziło się w jej umyśle. Ona też, jak Boone, potrafiła żyć w niezemskim wymiarze. Dziś wieczorem nic nie mogło wyrządzić jej krzywdy. Zraniona ręka zdrętwiała teraz tak silnie, że Lori nie mogła utrzymać kierownicy, mimo że musiała prowadzić samochód przy pełnej prędkości po nie oświetlonej drodze. Nie po to jednak los pozwolił jej przeżyć atak Deckera, żeby miała się zabić na autostradzie.

Wyczuwała w powietrzu zapowiedź ponownego połączenia. To dlatego przyszły wizje, zbiegały się w świetle przednich świateł i skakały wokół samochodu, wybuchając jej nad głową fontanną białego światła. W ten sposób ją witały.

W Midian.

Zerknęła w lusterko i wydało jej się, że widzi za sobą jakiś samochód jadący za nią z wyłączonymi światłami. Gdy spojrzała jednak jeszcze raz, nie zobaczyła go. Może nigdy go nie było. Przed nią leżało miasto, a przednie światła samochodu prześwietlały stojące tam ciemne domy. Przejechała główną ulicę aż do wrót cmentarza.

Utrata krwi i wyczerpanie stępiły jej strach przed tym miejscem. Jeśli udało jej się przeżyć złośliwość żywych, z pewnością przeżyje złośliwość umarłych lub ich towarzyszy. A Boone tam był i wreszcie będzie mogła wziąć go w ramiona.

Wygramoliła się z samochodu i niemal upadła na twarz.

- Wstawaj - powiedziała samej sobie.

Miriady iskerek wciąż nadciągały, choć ona sama już tkwiła w bezruchu; teraz przestały być ostre i przenikliwe. Stały się tylko jasnością, a ich gwałtowność groziła, że ogarną cały świat. Wiedząc, że nadciąga koniec, podeszła do wrót, wołając Boone'a. Odpowiedź nadeszła natychmiast, ale nie ta, której szukała.

- Czy on tu jest? - zapytał ktoś. - Czy Boone jest tutaj?

Trzymając się kurczowo bramy, odwróciła swoją ociężałą głowę i w smudze światła zobaczyła Deckera, stojącego o kilka jardów od niej. Za nim - samochód ze zgaszonymi światłami. Mimo że była oszołomiona, to jednak zdała sobie sprawę, że nią manipulowano. Decker pozwolił jej uciec, wiedząc, że odszuka jego wroga.

- Głupia! - powiedziała do siebie.

- Masz rację. Ale co miałaś właściwie robić? Bez wątpienia sądziłaś, że możesz go ocalić.

Nie miała już ani siły, ani rozumu, żeby stawiać opór temu człowiekowi.

Odstąpiła od bramy i zataczając się wkroczyła na cmentarz.

- Boone! - krzyczała. - Boone!

Decker nie od razu poszedł za nią; nie musiał. Była rannym zwierzęciem poszukującym innego rannego zwierzęcia. Zerkając za siebie spostrzegła, że przy zapalonych przednich światłach sprawdza swój pistolet. Potem pchnięciem otworzył bramę szerzej i ruszył w pościg.

W eksplozjach światel nad głową widziała zaledwie alejki znajdujące się tuż przed nią. Była jak ślepa kobieta, szlochająca, gdy się potykała, i niepewna nawet tego, czy Decker idzie za nią, czy już ją wyprzedził. W każdej chwili mógł ją zgładzić. Jedna kula - i jej życie w tym niezwykłym wymiarze zakończy się.

Pod powierzchnią ziemi Plemię słyszało, kiedy przybyła, nastawiając swoje zmysły na panikę i rozpacz. Wiedziało, że zbliża się także myśliwy; te odgłosy znało na pamięć. Czekalo teraz, współczując kobiecie w tych ostatnich chwilach, lecz zbyt zatroskane o własny los, by ryzykować jej pomoc. Niewiele już zostało takich kryjówek, gdzie potwory mogły znaleźć spokój. Nie będą swojej samotni narażać na niebezpieczeństwo, by ratować tylko ludzkie życie. A jednak to ich bolalo - słyszeli jej wymówki i nawoływania. Dla jednego z nich te odgłosy były szczególnie nie do zniesienia.

- Pozwólcie mi iść do niej.

- Nie możesz. Wiesz, że nie możesz.

- Mogę go zabić. I kto się dowie, że tu byt?.

- Nie jest sam. Inni czekają za murami. Pamiętasz, jak przyszli po ciebie?

- Nie mogę pozwolić jej umrzeć.

- Boone! Proszę, na Boga...

To gorsze niż wszystko, co przecierpiał: słyszeć, jak ona woła i mieć świadomość, że prawo Midian nie pozwala mu pomóc jej.

- Posłuchajcie jej, na litość boską! - odezwał się. - Posłuchajcie.

- Obiecałeś, kiedy cię przyjęliśmy - przypominał mu Lylesburg.

- Wiem. Rozumiem.

- Zastanawiam się, czy rzeczywiście. Nie dopełniłeś formalności. Jeśli złamiesz obietnicę, nie będziesz nigdzie należał. Ani do nas: Ani do nich.

- Chcacie, że bym słuchał, jak ona umiera.

- To zasłon uszy. Wkrótce będzie po wszystkim.

Nie starczało jej już tchu, by wołać jego imię. Nieważne. Nie było go tu. A jeśli był, to martwy, pod ziemią, zepsuty. Bezsilny. Nie może nic dać ani nic wziąć.

Została sama, a mężczyzna z pistoletem zbliżał się.

Decker wyjął z kieszeni maskę, maskę z guzikami, za którą czuł się tak bezpiecznie. Och, ileż razy w tych męczących dniach spędzonych z Boone'em na wyuczaniu go dat i miejsc zbrodni, które miał odziedziczyć, duma

Deckera buntowała się i aż go świerzbilo, żeby odzyskać swoje zbrodnie.

Ale bardziej potrzebował kozła ofiarnego niż szybkiego dreszczu spowiedzi.

Musiał pozostać poza podejrzeniami. Przyznanie się Boone'a do zbrodni nie oznaczało oczywiście końca sprawy. Po jakimś czasie Maska zaczęła znów przemawiać do swojego właściciela, domagając się, by znów pokrył ją krwią.

Zabójstwa zaczną się na nowo. Ale nie wcześniej, niż Decker znajdzie sobie nowe nazwisko i nowe miasto, gdzie rozłoży swój kramik. Boone zepsuł te dobrze obmyślane plany, ale nie będzie już mógł powiedzieć, co wie. *Stara*

Twarz z Guzikami tego przypilnuje.

Decker naciągnął maskę. Pachniała podnieceniem. Już po pierwszym oddechu stwardniał mu członek. Stwardniał nie do seksu, lecz do śmierci, do morderstwa. Czerpał dla niego powietrze, nawet przez grubą warstwę spodni i bielizny. Maska nie zważała, czy zdobycz była kobietą; członek twardniał do każdego morderstwa. Czasem zapalał się do starych mężczyzn, szczających, gdy przed nim padali; czasem do dziewcząt, do kobiet; nawet do dzieci. *Stara*

Twarz z Guzikami jednakowymi oczami patrzyła na cały ludzki ród.

A ta właśnie kobieta w ciemności nie znaczyła dla Maski więcej niż ktokolwiek inny. Kiedy okazywali przerażenie i krwawili - wszyscy byli tacy sami. Szedł za nią spokojnym krokiem (to jeden ze znaków firmowych *Głowy z Guzikami*), krokiem oprawcy. Rozpływała się przed nim. Jej wymówki przechodziły w dyszenie i smarkanie. Chociaż brakowało jej tchu, by wołać swojego bohatera, bez wątpienia modliła się, żeby przybył. Biedna suka. Czyż nie wiedziała, że on nigdy się nie pokaże? W takich sytuacjach jak ta słyszał zawsze wołania, błagania, targowanie się o życie, wzywianie bóstw, mistrzów i obrońców - ale jak dotąd nikt się nigdy nie pokazał.

Już wkrótce jej agonia się skończy. Strzał w tył głowy, żeby upadła, a potem wyjmie duży nóż, ciężki nóż, podniesie do jej twarzy, tak jak to robił ze wszystkimi. Rach-ciach, rach-ciach, tak jak nici przy guzikach na oczach, aż nie będzie już na co patrzeć, tylko mięso.

A! Upadła. Zbyt zmęczona, żeby dalej biec.

Otworzył stalowe usta *Starej Głowy z Guzikami* i przemówił do leżącej dziewczyny.

- Tylko spokojnie - powiedział. - Tak będzie szybciej.

* * *

Próbowała raz jeszcze się podnieść, ale nogi całkiem odmówiły jej posłuszeństwa i cała jasność, którą czuła w sobie, praktycznie się wyczerpała.

Oszołomiona, odwróciła głowę w stronę głosu Deckera i w przerwie między jedną falą a drugą spostrzegła, że znów założył maskę. To była głowa śmierci.

Podniósł pistolet...

Poczuła, że ziemia pod nią zadrżała. Może to odgłos strzału? Nie widziała już ani pistoletu, ani Deckera. Ostatnia fala jasności zmyła ich postacie z jej głowy. Ale ciało czuło kołysanie się ziemi, a przez kwilenie w swoim mózgu usłyszała, że ktoś woła imię człowieka, którego miała nadzieję tu odnaleźć.

Boone!

Nie usłyszała odpowiedzi - może i padła - lecz wołanie znów nastąpiło, jak gdyby ktoś przyzywał go z powrotem w głąb ziemi.

Zanim zebrała resztkę sił, by krzyknąć, jej sprawne ramię ugięło się i upadła twarzą do ziemi.

Głowa z Guzikami kroczyła w stronę swojej zdobyczy, rozczarowana, że kobieta bez świadomości przyjmie jego ostatnie błogosławieństwo. Lubił wygłosić kilka słów zaimprovizowanych w tym przedostatnim momencie; słów, których nigdy nie planował, lecz sływały jak poezja z ust zapiętych na suwak. Czasem śmiali się z jego kazań, a to podsycalo w nim okrucieństwo. Ale jeśli płakali, co się często zdarzało, stawał się laskawszy i zapewniał szybki i bezbolesny ostatni terminalny moment.

Kopniakiem obrócił kobietę na plecy, aby sprawdzić, czy da się ją obudzić. Tak, jej oczy lekko zatrzepotały.

- Dobrze - stwierdził, wymierzając pistolet w jej twarz.

Czuła, jak mądrość sływa na jego usta i wtedy usłyszała jakiś pomruk.

Na chwilę oderwał wzrok od kobiety. Gdzieś zerwał się bezgłośny wiatr i drzewa drgnęły. W ziemi pod stopami zabrzmiała jakaś skarga.

Maska pozostała niewzruszona. Spacer po cmentarzu nie podniósł ani włosy na karku. To była Nowa Śmierć, ujrzana dzisiaj twarz jutra: czyż kurz

mógł uczynić jej jakąś krzywdę.

**Zaśmiał się z melodramatyzmu całej sytuacji. Odrzucił głowę w tył i
zaśmiał się.**

**Kobieta u jego stóp zaczęła jęczeć. Czas, by zamilkła! Wymierzył cios w
jej otwarte usta.**

**Kiedy rozpoznał słowo, które usiłowała wymówić, ciemność przed nim
rozstała się i słowo to wyszło z ukrycia.**

- Boone - powiedziała.

To był on.

**Pojawił się z cienia drżących drzew, ubrany tak, jak zapamiętała Maska,
w brudną koszulkę i dżinsy. A w oczach-miał jednak jasność, której Maska nie
pamiętała i kroczył - pomimo kul, które w sobie nosił - jak człowiek, który nigdy
w życiu nie poznał, co to ból.**

**Dosyć tajemnicze! Ale nie koniec na tym. Gdy tylko pojawił się, zaczął
się zmieniać. Wydychając woal dymu, który spowijał jego ciało w fantastyczną
zasłonę.**

Otóż i kozioł ofiarny - a zarazem nie. O, nie!

**Człowiek-Maska spojrział w dół na kobietę, aby się upewnić, że oboje
widzą to samo, ale ona znów straciła przytomność. Musiał ufać temu, co
powiedzą jego przyszyte oczy, a to, co one widziały, budziło grozę.**

**Mięśnie ramion i szyi Boone'a marszczyły się, stając się to jasne, to
ciemne. Palce potężniały; twarz za zasłoną wydychanego dymu wydawała się
składać z zamaskowanych włókien, opisujących ukryty kształt, do którego
miały się dostosować mięśnie i kości głowy.**

I jeszcze jedna intrygująca rzecz, głos. To nie ten głos, który pamiętała

Maska. Nie głos kozła ofiarnego, przytłumiony poczuciem winy. To ryk furii.

- Musisz umrzeć, Decker! - krzyczał potwór.

Maska nienawidziła tego nazwiska, tego: Decker. Decker to po prostu pewien mężczyzna, dawna miłość, którą pieprzyła Maska od czasu do czasu.

Przy takim podnieceniu, z członkiem tak stwardniałym do morderstwa, *Stara Głowa z Guzikami* z trudem pamiętała, czy doktor Decker jeszcze żyje.

Potwór wciąż wołał go po nazwisku.

- Słyszysz mnie, Decker? - pytał.

Bękartie gównu - pomyślała Maska. Nedorobione, bękartie gównu, z nieprawego łoża. Wymierzył pistolet w jego serce. Potwór zakończył transformację i stał przed swoim wrogiem w całej okazałości, jeśli istotę urodzoną na rzeźnickim pieńku można nazwać w pełni okazałą. Z matki wilczycy, z ojca kłowna, śmieszny aż do przesady. Dla niego nie będzie błogosławieństwa - postanowiła Maska. Tylko splunięcie w twarz-hybrydę, gdy już się znajdzie martwy na ziemi.

Nie zastanawiając się, wystrzelił. Kula zrobiła dziurę pośrodku koszulki Boone'a i w zmienionym ciele pod nią, ale stwór' tylko wyszczerzył zęby.

- Tego już próbowałeś, Decker - stwierdził Boone. - Nic się nie nauczyłeś?

- Nie jestem Decker - odparła Maska i znów wystrzeliła. Następna dziura powstała obok pierwszej, ale obie nie krwawiły.

Boone zaczął iść wprost na pistolet. Nie chwiejnym, konającym krokiem, lecz spokojnie - i Maska rozpoznała krok oprawcy. Czowała woń brudu bestii,

nawet przez płótno na twarzy. Gorzko-słodką woń, która wywoływała nudności.

- Stój spokojnie - odezwał się potwór. - Tak będzie szybciej.

Ukradziony Masce krok był już wystarczającą zniewagą, ale usłyszeć

własne, krystaliczne słowa wydobywane z nieludzkiego gardła - to pozbawiło

Maskę zmysłów. Wrzasnęła przez płótno i skierowała pistolet w usta Boone'a.

Zanim ustrzeliła bezczelny język Boone, jego opuchłe ręce wyciągnęły się i

chwyciły za broń. Gdy wyrwały pistolet, Maska pociągnęła jeszcze za spust,

wypalając w jedną z rąk. Kule odstrzeliły mu palec. Twarz Boone'a skrzywiła

się. Wyszarpnął broń z rąk Maski i odrzucił. Potem przyciągnął do siebie tego,

który go okaleczył.

W obliczu zagłady Maska oddzieliła się od swego nosiciela. *Stara Głowa*

z *Guzikami* nie wierzyła, że kiedyś może umrzeć. Decker wierzył. Jego zęby za-

zgrzytały o suwak jak o kratę na ustach, gdy zaczął błagać.

- Boone... nie wiesz, co robisz.

Czuł, jak Maska z furią zaciska się wokół głowy, słysząc te słowa tchórza,

ale Decker mówił dalej, starając się udobruchać Boone'a tonem swojego głosu,

jak to dawniej bywało.

- Jesteś chory, Boone.

Nie błagaj - słyszał Maskę - *nie śmieć błagać*.

- Ale pan mnie może uleczyć, prawda? - powiedział potwór.

- O tak - odparł Decker. - Z pewnością. Daj mi tylko trochę czasu.

Zraniona ręka Boone'a pogłaskała maskę.

- Czemu się za tym kryjesz? - spytał.

- Ona każe mi się kryć. Nie chcę, ale ona mi każe.

Gniew Maski nie znał granic. Piszczala w głowie Deckera, słysząc, jak zdradza swego mistrza. Jeśli przeżyje dzisiejszy wieczór, zażąda najbliższej rekompensaty za te kłamstwa. Zapłaci co do grosza, jutro. Ale musi wywieść w pole tę bestię, żeby trochę jeszcze pożyć.

- Musisz się chyba czuć tak samo jak ja - powiedział. - Pod skórą, którą musisz nosić.

- Tak samo? - spytał Boone.

- Jak w potrzasku. Musisz rozlewać krew. Nie chcesz rozlewać krwi tak jak ja.

- Nie rozumiesz - stwierdził Boone. - Nie jestem za tą twarzą. Ja jestem tą twarzą. Decker potrząsnął głową.

- Chyba nie. Myślę, że gdzieś wewnątrz jesteś wciąż Boone'em.

- Boone nie żyje. Boone'a zastrzelono na twoich oczach. Pamiętasz?

Sam posłałeś mu kule.

- Ale przeżyłeś.

- Ale nie jako żywy.

Wielka głowa Deckera drżała. Teraz przestała. Każdy mięsień ciała zesztyniał, gdy przyszło wyjaśnienie tajemnicy.

- Ty mnie pchnąłeś w ręce potworów, Decker. I stałem się jednym z nich.

Ale nie takim jak ty. Nie bezdusznym potworem - przyciągnął Deckera bardzo blisko, jego twarz znalazła się o cal od maski. - Umarłem, Decker. Twoje kule nie mają już dla mnie znaczenia. Mam w swoich żyłach krew Midian. To znaczy, że sam się leczę. Ale ty...

Ręka głaszcząca maskę teraz zacisnęła się na tkaninie.

- ...ty, Decker... kiedy umrzesz, to umrzesz. A ja chcę widzieć twoją twarz, kiedy to się zdarzy.

Boone pociągnął maskę. Trzymała się mocno i nie chciała zejść. Musiał zacisnąć pazury na wszystkich włóknach i wypukłościach, aby ją zedrzeć i odkryć spoconą twarz pod spodem. Ileż to godzin spędził obserwując tę twarz, łapiąc się każdego przeblysku aprobaty? Tyle zmarnowanego czasu. Oto prawdziwy stan lekarza: zagubiony, słaby, płaczący.

- Bałem się - odezwał się Decker. - Rozumiesz, prawda? Mogli mnie znaleźć, ukarać. Musiałem zwalić na kogoś winę.

- Wybrałeś niewłaściwego człowieka.

- Człowieka? - zabrzmiał cichy głos w ciemności. - Nazywasz się człowiekiem? Boone poprawił się.

- Potwora. Śmiech. A potem:

- Zamierzasz go wreszcie zabić, czy nie?

Boone odwrócił wzrok od Deckera na mówiącego, który przykucnął na grobie. Jego twarz składała się z płątaniny blizn.

- Czy on mnie pamięta? - mężczyzna spytał Boone'a.

- Nie wiem. Pamiętasz? - rzucił Deckerowi. - Nazywa się Narcyz.

Decker tylko wytrzeszczył oczy.

- Jeszcze jeden ze szczepu Midian - stwierdził Boone.

- Nigdy nie byłem pewny, czy do niego należę - zadumał się Narcyz. -

Dopóki nie musiałem wyjmować kul z twarzy. Sądziłem, że mi się to wszystko śni.

- Bałeś się -" powiedział Boone.

- Tak. Wiesz, co robią z normalnymi ludźmi. Boone skinał głowę.

- Więc go zabij - wypowiedział się Narcyz. - Wygryź mu jego oczy, albo ja to zrobię za ciebie.

- Nie, dopóki nie wydobędę z niego wyznania.

- Wyznania - odezwał się Decker, a oczy mu się rozszerzyły na myśl o odroczeniu wyroku. - Jeśli tego chcesz, powiedz tylko słowo.

Zaczął szperać w marynarce, jak gdyby szukając pióra.

- Po co ci to pieprzone wyznanie? - pytał Narcyz. - Myślisz, że ktoś ci teraz wybaczy? Spójrz na siebie! Zeskoczył z grobu.

- Zobacz - wyszeptał. --Jeśli Lylesburg się dowie, że tu przyszedłem, wyrzuci mnie. Daj mi tylko jego oczy, cholera. A reszta należy do ciebie.

- Nie pozwól mu, żeby mnie dotknął - Decker błagał Boone'a. - Wszystko, co zechcesz... pełne wyznanie... wszystko. Ale trzymaj go z dala ode mnie!

Za późno, Narcyz już się do niego dobierał, za pozwoleniem, czy też bez pozwolenia Boone'a. Boone usiłował go powstrzymać wolną- ręką, ale Narcyz zbyt rwał się do zemsty. Wcisnął się pomiędzy Boone'a i jego ofiarę.

- Popatrz sobie ostatni raz - wyszczerzył zęby podnosząc hakowate kciuki.

Decker szperał jednak po kieszeniach nie tylko w panice. Gdy haki zbliżyły się do jego oczu, wyciągnął duży nóż, ukryty w marynarce i zagłębił w brzuchu atakującego. Spokojnie, z całym kunsztem. Cięcie, które zadał Narcyzowi, charakterystyczne dla patroszenia; nauczył się go od Japończyków: głęboko w jelita i w górę do pępka, ciągnąc ostrze oburącz, aby pokonać ciężar mięsa. Narcyz krzyknął - nie z bólu, raczej na wspomnienie o

bólu.

Jednym gładkim ruchem Decker wyciągnął duży nóż, będąc pewnym, że dobrze upakowana zawartość brzucha, powinna teraz wypaść. Nie mylił się.

Wnętrznosci Narcyza rozwinęły się i wypadły jak fartuch z ciała do kolan właściciela. Rana, która żywego człowieka zwałilaby z nóg na miejscu, z Narcyza zrobiła tylko kłowna. Skowycząc z niesmaku na widok własnych wnętrzności, przypadł do Boone'a.

- Pomóż mi - prosił. - Jestem zgubiony.

Decker wykorzystał moment. Gdy Narcyz trzymał Boone'a, lekarz rzucił się do bramy. Nie było to daleko. Zanim Boone uwolnił się od Narcyza, jego wróg znalazł się poza zasięgiem poświęconej ziemi. Boone ruszył w pogoń, ale gdy pokonał zaledwie połowę drogi do bramy, usłyszał trzask klamki w samochodzie Deckera i zapuszczany silnik. Doktor odjechał. Cholera, odjechał!

- Co mam zrobić z tą pieprzoną rzeczą? - usłyszał szloch Narcyza. Wrócił od bramy. Narcyz trzymał flaki w rękach, jak robótki na drutach.

- Idź pod ziemię - Boone stwierdził kategorycznie. Nie miało sensu przeklinanie go za to, że się wmieszał. - Ktoś ci pomoże.

- Nie mogę. Dowiedzą się, że byłem na górze.

- Sądzisz, że jeszcze nie wiedzą? - odrzekł Boone. - Wiedzą wszystko.

Nie martwił się więcej o Narcyza. Inne ciało leżało w alejce i wymagało jego uwagi. W swoim nienasyceciu, by zastraszyć Deckera, zapomniał całkiem o Lori.

- Wyrzucą stąd nas obu - mówił Narcyz.

- Może.

- Co zrobimy?

- Idź teraz pod ziemię - powiedział znużony Boone. - Powiedz Panu

Lylesburgowi, że to ja cię sprowadziłem na manowce.

- Ty? - spytał Narcyz. A potem, zapalając się do tego pomysłu: - Tak,

chyba tak było.

Niosąc swoje flaki, pokuśtykał z powrotem. Boone ukląkł przy Lori. Jej

zapach przyprawił go o zawrót głowy; miękkość skóry pod jego dłońmi zawią-

nęła nim. Żyła, puls był mocny mimo koszmarów, które musiała wycierpieć ze

strony Deckera. Patrząc na jej łagodną twarz, pomyślał, że może się obudzić i

zobaczyć go w kształcie, który odziedziczył po ugryzieniu przez Peloquina; ta

myśl niebywale go przygnębiła. W obecności Deckera dumny był nazywając się

potworem i prezentując swoje nocnoplemienne ja. Teraz jednak, widząc

kobietę, którą kochał i przez którą był kochany za swoją słabość i ludzkość,

odczuwał wstyd.

Wciągnął powietrze, a jego wola czyniła z ciała dym, który płuca wciągały

na powrót do wnętrza. Proces dziwny, zarówno jeśli chodzi o jego łatwość, jak i

istotę. Jakże szybko przywykł do tego, co niegdyś nazywał cudownym.

Nie miał jednak wątpliwości, nic się nie równało z tą kobietą. Fakt, że

starczyło jej wiary, by tutaj go szukać, gdy śmierć deptała jej po piętach - to

więcej, niż wszystko, na co mógł liczyć jakikolwiek ziemski mężczyzna. Dla

niego - prawdziwy cud.

Dumny był, że ona należy do ludzi, bo kiedyś był człowiekiem i wciąż

udawał, że nim jest.

Podniósł ją więc, mając już ludzki kształt, i troskliwie zaniósł do

podziemi.

Rozdział XIII

DZIECKO – PROROK

Lori słuchała rozwścieczonych głosów.

- Oszukałeś nas! Najpierw mówił Lylesburg.

- Nie miałem wyboru! Teraz Boone.

- Więc Midian ma się narażać na ryzyko w imię twoich wyższych uczuć?

- Decker nikomu nie powie - odparł Boone. - Cóż ma wyjawić? Że

próbował zabić dziewczynę i powstrzymał go umarły człowiek? Gadanie od rzeczy.

- Nagle zrobiłeś się ekspertem, Parę dni tutaj i tworzysz nowe prawo.

Rób to gdzie indziej, Boone! Zabieraj kobietę i odejdz!

Lori chciała otworzyć oczy i iść do Boone'a; uspokoić go, zanim powie

albo zrobi coś głupiego. Ciało miała jednak odrętwiałe. Nawet mięśnie twarzy

nie reagowały na impuls. Mogła tylko leżeć cicho i słuchać coraz ostrzejszej

klótni.

- Należę do was - powiedział Boone. - Jestem teraz jednym z Nocnego

Plemienia.

- Już nie.

- Nie mogę żyć gdzie indziej.

- A my żyliśmy. Przez całe pokolenia próbowaliśmy żyć w normalnym

świecie i to nas prawie zniszczyło. Teraz ty przychodzisz i, cholera, niemal

niszczysz naszą jedyną nadzieję przetrwania. Jeśli Midian zostanie ujawnione,

ty i kobieta będziecie za to odpowiedzialni. Pomyśl o tym podczas swoich

dalszych podróży.

Zapadła długa cisza. Potem odezwał się Boone:

- Pozwólcie mi odpokutować.

- Za późno. Prawo nie zna wyjątków. Ten drugi też odejdzie..

- Narcyz? Nie. Złamiecie mu serce. Pół życia czekał, żeby tu przybyć.

- Decyzja zapadła.

- Kto ją podjął? Ty? Czy Bafomet?

Na dźwięk tego imienia Lori poczuła chłód. Samo słowo nic nie znaczyło

dla niej, ale wyraźnie znaczyło wiele dla innych. Wokół siebie słyszała echo

szeptów, powtarzanych zdań oddających cześć.

- Żądam rozmowy z nim - stwierdził Boone.

- Nie ma mowy.

- Czego się boisz? Utraty władzy nad szczepem? Chcę się widzieć z

Bafometem. Jeśli zamierzasz mnie powstrzymać, zrób to teraz.

Gdy Boone rzucił swoje wyzwanie, Lori otworzyła oczy. Nad nią

znajdował się sklepiony sufit, niegdyś udający niebo. Namalowano na nim

gwiazdy; więcej ogni sztucznych niż ciał niebieskich, fajerwerki syjące iskry

na kamiennym niebie.

Pochyliła nieco głowę. Znajdowała się w krypcie. Po obu jej stronach

stały zapieczętowane trumny, szczytem do ściany. Z lewej - wiele grubych

świec, z brudnego wosku, o słabym, jak Lori, płomieniu. Z prawej - Babette,

siedząca po turecku na podłodze, obserwowała ją uważnie. Dziecko było

ubrane całe na czarno, a jego oczy wychwytywały światło świec i tłumili jego

migotanie. Babette nie była ładna - miała zbyt poważną twarz. Nawet uśmiech,

który posłała Lori widząc jej przebudzenie, nie mógł zatrzeć smutku jej rysów.

**Lori starała się odwzajemnić przyjazne spojrzenie, ale nie miała pewności, czy
oczy jej posłuchają.**

- Wyrządził nam straszną krzywdę - powiedziała Babette.

**Lori przypuszczała, że ma na myśli Boone'a. Ale dalsze słowa dziecka
wyprowadziły ją z błędu.**

**- Rachel oczyściła to. Teraz nie dokucza. Podniosła prawą rękę. Została
obandażowana ciemnym płótnem wokół kciuka i palca wskazującego.**

- Tobie też nie.

**Zbierając siły, Lori podniosła własną rękę. Została obandażowana
identycznie.**

**- Gdzie... jest Rachel? - spytała Lori, głosem ledwie słyszalnym, Babette
usłyszała jednak pytanie wyraźnie.**

- Gdzieś w pobliżu - odparła.

- Możesz ją tu sprowadzić?

Wieczny wyraz dezaprobaty na twarzy Babette jeszcze się pogłębił.

- Przybyłaś tu na zawsze? - spytała.

**- Nie - padła odpowiedź, nie z ust Lori, lecz Rachel, która pojawiła się
przy drzwiach - nie zostaje. Musi wkrótce odejść.**

- Dlaczego? - odezwała się Babette.

- Słyszałam Lylesburga - stwierdziła Lori półgłosem.

- Pana Lylesburga - poprawiła Rachel podchodząc do miejsca, gdzie

**leżała Lori. - Boone złamał przysięgę, wychodząc na powierzchnię, żeby cię
przyprować. Naraził nas wszystkich na niebezpieczeństwo.**

Lori rozumiała tylko strzępy historii Midian, ale wystarczająco Wiele, by wiedzieć, że maksyma, którą usłyszała z ust Lylesburga („co jest pod ziemią, pozostanie pod ziemią”) nie była tylko prózną sentencją. To było prawo i mieszkańcy Midian przysięgali mu wierność na życie, ryzykując utratę prawa do zamieszkiwania tutaj.

- Możesz mi pomóc? - spytała. Czula się bardzo słaba leżąc tak na podłodze.

To jednak nie Rachel przyszła jej z pomocą, lecz Babette, kładąc swoją małą, obandażowaną dłoń na żołądku Lori. Jej organizm natychmiast zareagował na dotyk dziecka i wszelki ślad odrętwienia od razu opuścił jej ciało. Pamiętała takie samo uczucie, albo podobne, ze swojego ostatniego spotkania z dziewczynką: uczucie przepływającej siły, gdy bestia rozplywała się w jej ramionach.

- Jesteście ze sobą silnie związane - powiedziała Rachel.

- Na to wygląda - Lori usiadła. - Czy jest ranna?

- Dlaczego mnie nie spytasz? - odezwała się Babette. - Ja też tu jestem.

- Przepraszam - zmitygowała się Lori. - Też się skaleczyłaś?

- Nie. Ale czułam twoją ranę.

- Odbiera świat przede wszystkim empatycznie - wyjaśniła Rachel. -

Czuje to, co czują inni, zwłaszcza, gdy pozostaje z kimś w silnym związku emocjonalnym.

- Wiedziałam, że tu jedziesz - powiedziała Babette. - Widziałam twoimi oczyma. A ty potrafisz widzieć moimi.

- Czy to prawda? - Lori spytała Rachel.

- Uwierz jej - brzmiała odpowiedź. Lori nie była całkiem pewna, że uda jej się podnieść na nogi, ale zdecydowała się poddać ciału próbie. Poszło łatwiej, niż się spodziewała. Stała się sprawnie, na mocnych nogach i z wypoczętą głową.

- Zaprowadzisz mnie do Boone'a? - poprosiła.

- Jeśli tego chcesz.

- Był tu cały czas, prawda?

- Tak.

- Kto go przyprowadził?

- Przyprowadził?

- Do Midian.

- Nikt.

- Był prawie nieżywy - mówiła Lori. - Ktoś musiał go zabrać z kostnicy.

- Ty wciąż nic nie rozumiesz - ponuro stwierdziła Rachel.

„ - Tego, co dotyczy Midian? Nie, nie całkiem.

- Nie sprawy Midian. Sprawy Boone'a i tego, skąd się tu wziął.

- On myśli, że należy do Nocnego Plemienia - powiedziała Lori.

- Należał, dopóki nie złamał obietnicy.

- Więc odejdziemy - odparła Lori. - Tego chce Lylesburg, tak? Nie mam zamiaru tu zostać.

- Dokąd pójdziecie? - spytała Rachel.

- Nie wiem. Może wrócimy do Calgary. Nie powinno być trudno udowodnić winę Deckera. Potem zaczniemy od początku.

Rachel potrząsnęła głową.

- To niemożliwe.

- Czemu nie? Macie do niego coś ważnego?

- Przyszedł tu, bo jest jednym z nas.

- Nas - czyli kogo? - Lori odrzekła ostro. Była już zmęczona wykrętami i insynuacjami. - Kim jesteście? Chorzy ludzie żyjący w ciemności. Boone nie jest chory. Jest normalny. Normalny, zdrowy człowiek.

- Proponuję, żebyś go zapytała, czy dobrze się czuje - brzmiała riposta Rachel.

- Och, zrobię to, kiedy przyjdzie pora.

Na Babette też wpływała ta wymiana inwektyw.

- Nie wolno ci odejść - odezwała się do Lori.

- Muszę.

- Nie na światło - gwałtownie złapała Lori za rękaw. - Nie mogę tam iść z tobą.

- Ona musi odejść - Rachel próbowała wytłumaczyć dziecku konieczność rozstania. - Ona nie należy do nas.

Babette szybko przerwała.

- Ale może - stwierdziła, podnosząc wzrok ku Lori. - To łatwe.

- Ona nie chce - zaproponowała Rachel. Babette spojrzała na Lori.

- To prawda? - spytała.

- Powiedz jej - Rachel nie ukrywała zadowolenia z zakłopotania Lori. -

Powiedz jej, że jest ułomną istotą ludzką.

- Ale my żyjemy wiecznie - powiedziała Babette. Rzuciła spojrzenie matce. - Prawda?

- Niektórzy z nas.

- Wszyscy z nas. Jeśli chcemy żyć wiecznie. A pewnego dnia, kiedy zajdzie słońce...

- Dosyć! - przerwała Rachel.

Babette miała jednak więcej do powiedzenia.

- ... Kiedy słońce zajdzie i będzie tylko noc, zaczniemy żyć na powierzchni ziemi. Będzie nasza. Teraz z kolei Rachel czuła się nieswojo.

- Ona nie wie, co mówi - wymamrotała.

- Myślę, że bardzo dobrze wie - odparła Lori.

Bliskość Babette i świadomość, że łączy ją z dzieckiem jakaś więź, nagle ją zmroziła. To, co dotyczyło Midian, już zaczynało układać się w jej umyśle i nagle - chaos. Bardziej niż kiedykolwiek chciała znaleźć się daleko stąd, z dala od dzieci, które mówiły o końcu świata, od świec i trumien i życia w grobowcach.

- Gdzie Boone? - odezwała się do Rachel.

- Poszedł do świątyni. Do Bafometa.

- Kto to jest Bafomet?

Rachel uczyniła rytualny gest na wspomnienie Bafometa, dotykając palcem wskazującym języka i serca. Był to dla niej tak naturalny znak, że Lori wątpiła, czy Rachel uczyniła go świadomie.

- Bafomet jest Chrzcicielem - wyjaśniła - który stworzył Midian. Który nas tu wezwał. Palec znów dotknął języka i serca.

- Zabierzesz mnie do świątyni? - spytała Lori. Odpowiedź Rachel zabrzmiała wyraźnie i prosto:

- Nie.

- Daj mi przynajmniej wskazówki.

- Ja cię zabiorę - zgłosiła się na ochotnika Babette.

- Nie zrobisz tego - odezwała się Rachel, tym razem odrywając dłoń dziecka od rękawa Lori z taką szybkością, że Babette nie mogła się nawet przeciwstawić.

- Spłaciłam swój dług wobec ciebie - oznajmiła Rachel - lecząc twoją ranę. Nie mamy już o czym mówić.

Objęła Babette i podniosła. Dziecko wilo się w uścisku matki, żeby spojrzeć na Lori.

- Chcę, żebyś za mnie obejrzała piękne rzeczy.

- Uciszyć się - zganiała ją Rachel.

- To co ty zobaczysz, ja też zobaczę. Lori skinęła głową.

- Tak? - upewniła się Babette.

- Tak.

Zanim dziecko zdołało wypowiedzieć jeszcze jakieś słowo lamentu,

Rachel wyniosła ją z pomieszczenia, zostawiając Lori w towarzystwie trumien.

Lori skłoniła głowę do tyłu i zaczęła wolno oddychać. Spokojnie, pomyślała; spokojnie. Wkrótce wszystko się skończy.

Malowane gwiazdy tańczyły nad głową; wydawały się wirować, gdy na nie patrzyła. Czy to ich bunt, czy tylko fantazja artysty - zastanawiała się, a może w ten sposób niebiosa patrzą na Plemię, gdy wychodzi ze swoich mauzoleów nocą, żeby zaczerpnąć powietrza?

Lepiej tego nie wiedzieć. Wystarczało już, że owe stworzenia miały dzieci

i sztukę; to, że mogły mieć wizje, stanowiło zbyt niebezpieczną myśl.

Gdy po raz pierwszy ich spotkała, na schodach do ich podziemnego świata, obawiała się o własne życie. I wciąż się bała, w jakimś cichym zakątku „ja”. Nie, że można jej zabrać życie, lecz że można je zmienić, naznaczyć je w pewien sposób ich rytami i wizjami, tak że nie zdoła ich wymazać z umysłu.

Im szybciej stąd odejdzie, z Boone’em przy boku, tym szybciej wróci do Calgary. Tam ulice są jasno oświetlone. Lampy przyćmiewają gwiazdy.

Pokrzepiona tą myślą, ruszyła na poszukiwanie Chrzyciela.

Rozdział XIV

ŚWIĄTYNIA

Oto i prawdziwe Midian. Nie puste miasto na wzgórzu; nawet nie nekropolia u jego stóp; lecz sieć tuneli i komnat, rozciągająca się przypuszczalnie pod całym cmentarzem. Niektóre grobowce zajmowali tylko zmarli, a ich trumny na poszczególnych półkach próchniały. A może byli to pierwsi lokatorzy cmentarza, złożeni tu na wieczny spoczynek, zanim Nocne Plemię przejęło teren w swoje posiadanie? A może to członkowie Plemienia, którzy umarli (prowadząc pół-życie) porażeni przez światło słońca; czy też zwiędli z tęsknoty? I tak stanowili tu mniejszość. Większość z komnat dzierżażyły bardziej żywotne dusze, a ich kwatery oświetlały lampy lub świece, a czasem sam lokator, istota paląca się własnym światłem.

Rzuciła przelotne spojrzenie na taką postać, leżącą na wznak na materacu w swoim buduarze. Była naga, korpulentna i bezpłciowa, a jej obwisłe ciało składało się z mieszaniny ciemnej, tłustej skóry oraz wewnętrznych błysków światła, których fosforescencja nasączała proste łóżko. Wydawało się,

że każde drzwi prowadzą do równie tajemniczych zjawisk, a jej reakcja na nie byłaby równie zagadkowa, jak one same. Po prostu skręcał się jej żołądek, gdy widziała jakiegoś stygmatyka otoczonego kompanami o ostrych zębach, hałaśliwie siorbiących z jego ran; albo czuła podniecenie, konfrontując legendę z autentycznym wampirem. Czy tylko to? A cóż miała powiedzieć mężczyźnie, którego ciało rozproszyło się w gromadę ptaków, kiedy zobaczył, że mu się przypatruje? Cóż powiedzieć o panterze z głową psa, którą odwracała z fresku i zachęcała, by przyłączyć się do jego terminatora, mieszającego farbę? Albo o mechanicznych bestiach o nogach jak macki, biegających po ścianach. Po przejściu tuzina korytarzy nie odróżniała już zgrozy od fascynacji. Może nigdy tego nie dostąpi?

Mogła tu spędzić całe dnie i podziwiać widoki, ale szczęście (lub instynkt) przywiodły ją już za blisko Boone'a, żeby mogła przerwać dalszy marsz. To cień Lylesburga pojawił się przed nią, jak gdyby wychodząc z masywnej ściany.

- Nie wolno ci iść dalej.

- Zamierzam znaleźć Boone'a - powiedziała.

- Nie chcę ci czynić zarzutów. Rozumiem cię. Ale ty z kolei musisz

zrozumieć nas: to, co zrobił Boone, naraża nas wszystkich na

niebezpieczeństwo...

- Pozwól mi więc przemówić do niego. Odejdziemy stąd razem.

- To byłoby możliwe jakiś czas temu - stwierdził Lylesburg, a jego głos

wydobywał się z zasłony cienia zrównoważony i pełen autorytetu jak zawsze.

- A teraz?

- Znalazł się poza moim zasięgiem. I twoim też. Odwołał się do całkiem innej siły.

Gdy mówił, usłyszała hałas pochodzący z głębi katakumb - dźwięk niepodobny do niczego, co dotąd знаła. Najpierw była pewna, że jest to trzęsienie ziemi; dźwięk wy dobywał się jak gdyby w ziemi i z ziemi. Ale gdy zabrzmiał po raz drugi, usłyszała w nim coś zwierzęcego: jęk, może bólu, może ekstazy... Z pewnością to był Bafomet - *Który Stworzył Midian*, jak powiedziała Rachel. Jakiż inny głos zdołałby wstrząsnąć posadami tego miejsca?

Lylesburg potwierdził to.

- Oto dokąd udał się Boone, żeby pertraktować - odezwał się. - Albo tak sądzi.

- Pozwól mi iść do niego.

- Został już pochłonięty. Zabrany przez płomień.

- Chcę zobaczyć na własne oczy - zażądała Lori.

Nie chcąc już odwlekać tej chwili, popchnęła Lylesburga spodziewając się oporu. Jej dłonie jednak zanurzyły się w ciemności, która go spowijała i dotknęły ściany za jego plecami. Nie był materialny. Nie mógł jej powstrzymać od pójścia dokądkolwiek.

- Ciebie też zabije - usłyszała jego ostrzeżenie, gdy biegła na poszukiwanie źródła dźwięku. Hałas otaczał ją zewsząd, lecz wyczuwała, skąd się rozchodzi. Z każdym jej krokiem stawał się głośniejszy, bogatszy, każda z jego warstw składowych dotykała innej części jej organizmu: głowy, serca, łona.

Szybkie spojrzenie za siebie potwierdziło to, czego się domyślała:

Lylesburg nie próbował nawet iść za nią. Skręciła raz i drugi, a głosy wciąż narastały, aż zaczęła iść pod prąd, jakby pod silny wiatr, z opuszczoną głową, zgarbionymi ramionami.

Wzdłuż przejścia nie było już komnat, a co za tym idzie - świateł. Widziała jednak przed sobą poświatę - migoczącą i zimną, lecz na tyle jasną, by oświetlić zarówno teren, na którym się potykała (gołą ziemię), jak i srebrzysty szron na ścianach.

- Boone? - krzyknęła. - Jesteś tam? Boone?

Po tym, co powiedział Lylesburg, nie miała zbyt wielkiej nadziei na odpowiedź, ale uzyskała ją. Jego głos wyszedł na jej spotkanie z samego środka światła i dźwięku. W całym zgiełku słyszała jednak tylko:

- Nie...

Co nie? - zastanawiała się.

Nie idź dalej? Nie zostawiaj mnie tutaj?

Zwolniła kroku i znów zawołała, ale hałas wywołany przez Chrzyciela dosłownie zatapiał jej własny głos, a co dopiero odpowiedź. Doszedłszy tak daleko, musiała iść naprzód, nie wiedząc, czy jego zawołanie oznaczało ostrzeżenie, czy też nie.

Przejście zaczęło stromo opadać – przechodząc niemal w urwisko.

Zatrzymała się u szczytu i mrużąc oczy spojrzała w jasność. Oto i nora Bafometa, bez wątpienia. Hałas, który wydawał, naruszył ściany stromizny i powiał pyłem prosto w jej twarz. W oczach miała łzy, które zmyły kamienny kurz. Ale pył wciąż ją atakował. Ogłuszona dźwiękiem, oślepią pyłem, tkwiła na krawędzi stromizny, niezdolna, by ruszyć w przód lub w tył.

Nagle Chrzyciel umilkł i wszystkie warstwy dźwięku natychmiast całkowicie zamarły.

Nastąpiła cisza, jeszcze bardziej przerażająca niż hałas, który ją poprzedzał. Czy zamilkł, bo wiedział, że w pobliżu pojawił się intruz?

Wstrzymała oddech, obawiając się wydać jakiś dźwięk.

U stóp stromizny znajdowało się święte miejsce, co do tego nie miała wątpliwości. Gdy zwiedzała słynne katedry Europy, z matką, wiele lat temu i gapiała się na okna i ołtarze, nie doznawała tego uczucia nagłego wglądu, które teraz przeżywała. Nigdy też, w całym swoim życiu, we śnie czy na jawie, nie doświadczała tak sprzecznych bodźców. Chciała natychmiast uciec z tego miejsca, porzucić je i zapomnieć, a zarazem to miejsce przyzywało ją. To nie obecność Boone'a wzywała, lecz magia świętości albo występku, albo jednego i drugiego; nie można się było jej oprzeć.

Łzy splukały teraz pył z jej oczu. Tylko tchórzostwo mogło ją wstrzymać.

Zaczęła schodzić po stromiźnie. Zejście liczyło około trzydziestu jardów, lecz pokonała dopiero nie więcej niż jedną trzecią drogi, gdy na dole pojawiła się znajoma postać.

Ostatni raz widziała Boone'a na powierzchni ziemi, gdy wyszedł, aby zmierzyć się z Deckerem. W ciągu kilku sekund, zanim zemdląca, widziała go w nowej, nie znanej dotąd postaci: mężczyznę, który całkiem zapomniał, co to ból i klęska. Teraz wyglądał całkiem inaczej. Ledwie mógł się utrzymać na nogach.

Wyszeptała jego imię, a słowo to nabrało ciężaru, kiedy płynęło ku niemu.

Usłyszał i zwrócił głowę w jej stronę. Nawet w najgorszych czasach, gdy

kołysała go i uspokajała lęki, nie widziała takiego smutku na jego twarzy. Łzy płynęły bez przerwy, a rysy tak zmarszczył żal, że wyglądał jak noworodek. Schodziła dalej, a każdy jej krok, każdy oddech zostały zwielokrotnione przez akustykę urwiska.

Widząc, że się zbliża, puścił się, żeby do niej pomachać, ale stracił równowagę i upadł ciężko. Przyspieszyła, nie dbając teraz o hałas. Jakakolwiek siła mieszkała w jamie na dole, musiała usłyszeć, że Lori przyszła. Znała też pewnie jej historię. Nie bała się sądu tej istoty. Wkroczyła tu z miłości, bez broni, sama. Jeśli Bafomet był naprawdę architektem Midian, zrozumie jej słabość i nie wystąpi przeciwko niej. Znajdowała się teraz o pięć jardów od Boone'a. A on usiłował przewrócić się na plecy.

- Poczekaj! - powiedziała, kierowana desperacją.

Ale to nie na nią patrzył. Gdy tylko przewrócił się na plecy, podniósł wzrok na Bafometa. Podążyła za jego spojrzeniem. Ujrzała pokój o ścianach z zamarzłej ziemi i takiej samej podłodze, pękniętej od rogu do rogu, a z powstałej tak szczeliny wydobywał się płomienisty słup, wysokości czterech czy pięciu ludzi. Bił od niego raczej gorzki chłód niż żar, a wewnątrz słupa nie migotało, lecz kotłowało się, obracając jakąś dziwną materię, której najpierw nie rozpoznała, ale jej przerażone spojrzenie nagle pojęło,

W ogniu było ciało, podwieszane za kończyny ludzkie (co rozpoznała po mięsie), ale nic więcej nie dało się powiedzieć. Prawdopodobnie ciało należało do Bafometa, a tych mąk doznawało wskutek wizyty intruza.

Boone wypowiedział teraz imię Chrzciciela, a ona przygotowywała się na widok jego twarzy. I ona ją poznała, kiedy stwór tam się znajdujący - nie

umarły, lecz żywy, nie mieszkaniec, lecz twórca Midian - odwrócił głowę w chaosie płomieni i spojrział na nią.

Oto i Bafomet. Ta dziwaczna, pokręcona postać. Ujrawszy twarz, krzyknęła. Żadne opowiadanie czy film, żadna klęska czy rozkosz nie przygotowały jej na spotkanie z twórcą Midian. Niezaprzeczalna świętość, bo coś tak skrajnego musi być święte. Rzecz ponad innymi rzeczami. Poza miłością czy nienawiścią, poza ich sumą. Wreszcie - poza granicą świadomości; niepojęte, nie poddające się klasyfikacji. Natychmiast odwróciła wzrok, a każdy ślad w pamięci wymazała, zamknęła w jakimś zakamarku, aby żadna tortura czy namowa nie kazały jej znów na to patrzeć.

Nie знаła swojej własnej siły do chwili, gdy szalona chęć wyrwania się stąd nie pchnęła jej do podźwignięcia Boone'a i taszczenia jego ciała pod górę stromizny. Niewiele mógł jej pomóc. Czas, który spędził w obecności Bafometa pozbawił go zupełnie władzy w mięśniach. Lori wydawało się, że wyciąganie Boone'a na szczyt urwiska trwa wieki, a lodowe światło płomienia rzuca przed nimi cień postaci niby jakieś proroctwo.

Przejście na górze było puste. Po trosze spodziewała się, że czeka gdzieś na nich Lylesburg w towarzystwie kompanów, ale z komnaty poniżej niosła się przez tunel cisza. Kiedy zaciągnęła już Boone'a poza szczyt stromizny, płuca paliły ją od wysiłku. Smutek i strach, obecne na jego twarzy w chwili spotkanie, powoli znikaly.

- Znasz wyjście stąd? - spytała.

- Chyba tak - odparł.

- Będziesz musiał mi trochę pomóc. Nie mogę cię już dłużej

podtrzymywać.

Skinął głową, potem obejrzał się na wejście do jamy Bafometa.

- Co widziałaś?

- Nic.

- To dobrze.

Zakrył jej twarz rękoma. Spostrzegła, że brakuje mu jednego palca;

świeża rana. Wydawał się tym nie przejmować, więc nie zadawała pytań, lecz

skupiła się na tym, aby zachęcić go do ruchu. Był niechętny, posępny po tych

wielkich emocjach, ale dotaszczyli się jakoś do stromych schodów, wiodących

przez jedno z mauzoleów w noc.

Powietrze pachniało przestrzenią po czasie spędzonym w uwięzieniu pod

ziemią, zamiast jednak nacieszyć się, Lori proponowała jak najszybciej opuścić

cmentarz. Przesuwali się przez labirynt grobów do bramy. Tam Boone

przystanął.

- Samochód jest tuż za murem - powiedziała. Drżał, chociaż noc należała

do ciepłych.

- Nie mogę...

- Czego nie możesz?

- Tu jest moje miejsce.

- Nie - stwierdziła. - Twoje miejsce jest przy mnie. Należymy do siebie.

Stała blisko, ale on odwrócił głowę w stronę cienia. Ujęła w dłonie jego

twarz i spojrzała mu prosto w oczy.

- Należymy do siebie, Boone. Dlatego żyjesz. Nie rozumiesz? Po tym

wszystkim. Po tym, co przeszliśmy. Przeżyliśmy.

- To nie takie łatwe.

- Wiem. Oboje przeżyliśmy straszne chwile. Rozumiem, że nigdy nie będzie już tak samo. Nie chcę, żeby było.

- Nie wiesz... - zaczął.

- Więc mi powiesz. Kiedy przyjdzie pora. Musisz zapomnieć Midian, Boone. Ono już o tobie zapomniało.

Dreszcze, które nim wstrząsnęły, nie brały się z zimna, lecz zapowiadały łzy. Popłynęły strumieniem.

- Nie mogę iść. Nie mogę iść.

- Nie mamy wyboru - przypomniała. - Mamy tylko siebie.

Ból niemal zgiął go w pół.

- Wyprostuj się, Boone - powiedziała. - Obejmij mnie ramionami. Plemię nie chce ciebie, nie potrzebuje ciebie. Ja potrzebuję. Boone. Proszę.

Powoli wyprostował się i objął ją.

- Mocno - kazała. - Trzymaj mnie mocno, Boone.

Jego uchwyt zacisnął się. Gdy oderwała dłonie od jego twarzy, aby odwzajemnić uścisk, nie patrzył na nekropolię. Patrzył na nią.

- Musimy wrócić do hotelu i zabrać wszystkie moje-rzeczy, tak? Musimy to zrobić. Tam są listy, fotografie, wiele drobiazgów, których nikt nie powinien znaleźć.

- A potem? - spytał.

- Potem ustalimy, dokąd jechać, aby nikt nas nie szukał i zastanowimy się, jak udowodnić, że jesteś niewinny.

- Nie lubię światła - stwierdził.

- Więc będziemy go unikać - odrzekła. - Aż ujrzysz to przekłete miejsce we właściwych proporcjach.

Na jego twarzy nie znalazła nawet śladu echa jej optymizmu. Oczy mu błyszczały, ale tylko od łez. Reszta jego osoby pozostała tak zimna, jakby wciąż był częścią ciemności Midian. Lori nie dziwiła się temu. Po tej całej nocy (i dniach, które ją poprzedzały) sama zdumiała się, skąd w niej tyle nadziei. Miała ją jednak w sobie, silną jak bicie serca i nie pozwoliłaby, aby lęki wywołane przez Plemię ją zniszczyły.

- Kocham cię, Boone - wyznała, nie oczekując odpowiedzi.

Może z czasem on też się odezwie. Jeśli nie słowami miłości, to przynajmniej wyjaśnieniami. A jeśli nie, albo nie będzie mógł, nic się nie stanie.

Miała jego istnienie, jego ciało, ciało silne w jej ramionach. Jakikolwiek pretensje Midian rościło sobie do jego wspomnień, Lylesburg wyraził się jasno: nigdy nie będzie mu wolno tam powrócić. Zamiast tego znów będzie przy niej w nocy, a jego obecność jest o wiele cenniejsza niż namiętność na pokaz.

Z czasem Lori sprawi, że Boone zapomni o mękach związanych z Midian, tak jak to zrobiła z mękami szaleństwa, w które sam siebie wpędzał. Wcale nie poniosła wtedy porażki, jak starał się jej wmówić Decker. Boone nie prowadził sekretnego życia w tajemnicy przed nią; był niewinny. Tak jak ona. Oboje niewinni, co pozwoliło im przeżyć tę niebezpieczną noc i dotrzeć do bezpiecznego dnia.

Część IV

ŚWIĘCI I GRZESZNICY

Chcesz mojej rady?

Pocałuj Diabła, zjedz glistę.

JAN DE MODY

Another matter;

or, Man remade

Rozdział XV

KRWAWY ŻNIWO

Słońce wschodziło jak striptizerka, kryjąc swoją wspaniałość za murami, aż wydawało się już, że spektakl się nie odbędzie, i wtedy zrzuciło swoje szmatki. W miarę jak rozjaśniało się; pogarszało się samopoczucie Boone'a.

Lori poszperała w skrytce przy kierownicy i wyciągnęła okulary przeciwsłoneczne, które Boone założył, aby uchronić nadwrażliwe oczy. Ale musiał schylić głowę i odwracać ją od jaśniejącego wschodu.

Prawie nie rozmawiali. Lori zbyt była skoncentrowana na prowadzeniu samochodu i walce ze zmęczeniem, a Boone nie starał się przerwać ciszy.

Pogrążył się we własnych myślach i nie zdradzał ich kobiecie u swego boku. W przeszłości Lori znaczyła dla niego bardzo wiele, ale teraz nie był w stanie odnowić tych uczuć. Czuł, jakby całkiem usunięto go z jej życia, w ogóle z życia. W czasie swojej choroby zawsze trzymał się jakiś reguł, które dostrzegał w życiu: jakiejś czynności, która prowadziła nieuchronnie do następnej, to samo dotyczyło uczuć. Brnął dalej, potykając się, ale widział, że ścieżka, którą przebył, łączy się z tą, którą ma przed sobą. Teraz nie widział nic za sobą ani przed sobą, tylko mrok.

Najjaśniejszy punkt w jego umyśle - Bafomet, Podzielony. Ze wszystkich mieszkańców Midian ten miał największą moc, a zarazem był najsłabszy, rozdarty przez dawnych wrogów, lecz chroniony, cierpiący na okrągło w płomieniu, który Lylesburg nazwał Ogniem Próby. Boone poszedł do jamy Bafometa z nadzieją, że przedyskutuje swój przypadek, ale to Chrzciciel przemówił, gdy jego urwana głowa wygłosiła słowa wyroczni.

Nie pamiętał teraz tych słów, ale miał świadomość, że wieści były

ponure.

Spośród wspomnień z czasów, gdy był całością i człowiekiem,

najwyraźniejsze dotyczyło Deckera. Mógł poskładać kilka fragmentów ich

wspólnej historii. Choć wiedział, że go to rozwścieczy, nie mógł się zdobyć na

nienawiść do człowieka, który doprowadził go do głębin Midian - podobnie, jak

nie mógł się zdobyć na miłość do kobiety, która go stamtąd zabrała. To były

epizody całkiem różnych życiorysów, niezupełnie jego własnej biografii.

Nie zdawał sobie sprawy, ile Lori rozumiała z jego położenia, ale

podejrzewał, że o większości spraw nie miała pojęcia. To, co przypuszczała,

zdawało się jej wystarczać, aby mogła go zaakceptować takim, jaki jest, a on w

prosty, zwierzęcy sposób potrzebował jej obecności na tyle, by nie ryzykować

wyjawiając jej prawdę, o ile nawet znalazłby odpowiednie słowa. Był tylko tym i

aż tym, kim był. Człowiekiem. Potworem. Umarłym. Żywym. W Midian pojął, że

wszystkie te postacie skupiły się w jednym Stworzeniu i chyba wszystkie

zawierały się też w nim samym. Ludzi, którzy mogli pomóc mu zrozumieć, jak

współlistniają te przeciwieństwa, zostawił w nekropolii. Gdy zainicjowali długi,

żmudny proces uczenia się historii Midian, opuścił ich. Teraz został wygnany

na zawsze i nigdy się nie dowie prawdy.

Otóż i paradoks. Lylesburg ostrzegwał go dość wyraźnie, kiedy stali razem

w tunelach i słyszeli wołanie Lori o pomoc; dał mu niedwuznacznie do

zrozumienia, że jeśli wyjdzie na powierzchnię, zerwie umowę z Plemieniem.

- Pamiętaj, kim jesteś teraz - powiedział. - Nie możesz jej ocalić i znaleźć

u nas schronienia. Więc musisz pozwolić jej umrzeć.

A jednak nie mógł. Choć Lori należała do innego świata, życia, które on utracił na zawsze, nie mógł jej zostawić maniakowi. Co to znaczyło, o ile w ogóle coś znaczyło, nie był w stanie teraz pojąć. Tych kilka myśli opętało go teraz i gdy samochód sunął szosą, zapomniał zupełnie, gdzie się znajduje i stało mu się obojętne, dokąd jedzie.

Dojeżdżali do Sweetgrass Inn, kiedy Lori przyszło do głowy, że u celu ich podróży może się już roić od policji, jeśli ciało Sheryl znaleziono.

Zatrzymała samochód.

- Coś nie tak? - spytał Boone. Wyjaśniła mu swoje obawy.

- Może będzie bezpieczniej, jeśli pojedę tam sama - powiedziała. - Jeśli się okaże, że panuje spokój, zabiorę swoje rzeczy i wrócę do ciebie.

- Nie - odparł. - To niedobry pomysł. Za okularami nie widziała jego oczu, ale głos przestraszył ją.

- Szybko wrócę.

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Lepiej zostańmy tutaj - odrzekł. Przyłożył dłonie do twarzy, tak jak u wrót Midian. - Nie zostawiaj mnie samego - odezwał się cicho. - Nie wiem, gdzie jestem, Lori. Nie wiem nawet, kim jestem. Zostań ze mną!

Pochyliła się nad nim i pocałowała go w rękę. Odsunął dłonie od twarzy.

Pocałowała go w policzek, potem w usta. Potem pojechali razem do hotelu.

Jej obawy okazały się w rzeczywistości bezpodstawne. Jeśli ciało Sheryl naprawdę znaleziono w nocy - co być może było mało prawdopodobne, zważywszy jego położenie - nie powiązano tego faktu z hotelem. Nie tylko nie było tu policji, ale w ogóle mało było oznak życia. Pustki nawet w hallu, a recepcjonistę zbyt pochłaniało oglądanie Telewizji Śniadaniowej, by zwracał uwagę na cokolwiek. Dźwięki śmiechu i muzyki niosły się za nimi przez hali i po

schodach, gdy wchodzili na pierwsze piętro. Przyszło im to z łatwością, a jednak zanim doszli do pokoju Lori, jej ręce tak już drżały, że z trudem trafiła kluczem do zamka. Odwróciła się po pomoc do Boone'a, ale spostrzegła, że nie trzyma się już jej, lecz rozgląda po całym korytarzu stojąc przy schodach. Znow przeklinała okulary przeciwsłoneczne, które nie pozwalały jej czytać jego uczuć. Dopóki nie oparł się plecami o ścianę. Boone szukał palcami jakiegoś niewidzialnego celu.

- O co chodzi, Boone?

- Nie ma tu nikogo - stwierdził.

- To chyba dobrze dla nas, prawda?

- Ale czuję woń...

- Jaką woń? Potrząsnął głową.

- Powiedz mi!

- Czuję krew.

- Boone?

- Wyraźnie czuję krew.

- Gdzie? Skąd?

Nie odpowiedział, ani nie spojrzał na nią, ale gapił się gdzieś na korytarz.

- Zaraz wrócę - stwierdziła. - Zostań, tu, gdzie stoisz, a ja przyjdę po ciebie.

Przykleknawszy, niezdarnie wsadziła klucz do zamka, a potem wstała i otworzyła drzwi. W pokoju nie było zapachu krwi, tylko stęchła woń perfum - pozostałość minionej nocy. Od razu przypomniała się jej Sheryl i dobre chwile, które spędzili razem, nawet w wirze tego, co złe. Niecałe dwadzieścia cztery

godziny wcześniej razem śmiały się w tym pokoju i rozmawiały o jej

późniejszym mordercy - jak o mężczyźnie jej marzeń.

Myśląc o tym, obejrzała się na Boone'a. Wciąż przywierał do ściany, jak gdyby tylko w tej pozycji miał pewność, że świat się nie zawali. Zostawiając go

tak, wkroczyła do pokoju i zaczęła pakowanie. Najpierw w łazience zebrała kosmetyki, potem w sypialni - rozrzucone ubrania. Dopiero kiedy postawiła na łóżku torbę, aby wszystko do niej zapakować, zauważyła pęknięcie na ścianie.

Jakby coś uderzyło w ścianę z drugiej strony. Tynk odpadł grudkami i zaśmiecił podłogę między łózkami. Przez moment gapiła się na pęknięcie. Czy zabawa zrobiła się na tyle zawadiacka, że balowicze ciskali meblami?

Zaciekawiona, podeszła do ściany. Nie tylko odpadł tynk, lecz powstała dziura. Straciła zwisający płat tynku i przyłożyła oko do szpary.

W pokoju obok zasłony były jeszcze zaciągnięte, ale słońce świeciło na tyle silnie, że półmrok w pokoju przybrał barwę ochry. Zabawa poprzedniego wieczoru musiała być jeszcze bardziej rozpustna niż ta przedwczorajsza - pomyślała. Plamy wina na ścianach, a bało wieże wciąż spali na podłodze.

Ale ta woń: to nie wino.

Odskoczyła od ściany. Poczula skurcz żołądka.

Owoce nie wydzielają soku o takiej woni...

Krok wstecz.

... to woń mięsa. A jeśli czuła woń krwi, to widziała też krew. To nie byli śpiący, bo któż leży w rzeźni? Tylko umarli.

Szybko podeszła do drzwi. Boone wciąż był na korytarzu, ale kucnął przy ścianie, obejmując kolana. Przez jego twarz, kiedy ją obrócił, przebiegały tiki

nerwowe.

- Wstawaj - rozkazała.

- Czuję krew - powiedział cicho. - Masz rację. Więc wstawaj. Szybko.

Pomóż mi.

Ale on był odrętwiały. Był jak przymurowany do podłogi. Znała tę pozycję starca: skulony w rogu, drżący jak bity pies. W przeszłości znajdowała słowa pocieszenia, ale teraz nie było na to czasu. Może ktoś przeżył rzeź w sąsiednim pokoju? Jeśli tak, musiała pomóc, samą czy z Boone'em. Nacisnęła klamkę w drzwiach szlachtuza i otworzyła je.

Gdy woń krwi dotarła do nich, Boone zaczął jęczeć.

- ... krew! ... - powtarzał.

Wszędzie krew. Stała i gapiała się przez całą minutę, zanim zmusiła się do przekroczenia progu i poszukiwania oznak życia. Jednak nawet szybki rzut oka na każde ciało potwierdzał, że ta sama zbrodnia dosięgła wszystkich sześć osób. Znała imię zbrodniarza. Zostawił swój znak, wycinając rysy twarzy nożem, tak jak w przypadku Sheryl. Trzy spośród sześciu osób zostało złapanych *In flagrante delicto*. Dwaj mężczyźni i kobieta, częściowo rozebrani, padli na siebie na łóżku w śmiertelnej płątanie. Inni wyzionęli ducha w różnych punktach pokoju, chyba nawet we śnie. Zasłaniając ręką usta, aby nie wdychać tej woni i nie szlochać, wyszła z pokoju, czując żołądek w gardle. Gdy stanęła na korytarzu, kątem oka dostrzegła Boone'a. Już nie siedział, lecz powoli zbliżał się do niej.

- Musimy... wyjść... stąd! - stwierdziła. Niczym się nie zdradził, że usłyszał, co powiedziała, ale podszedł do niej.

- Decker... - odezwała się. - To Decker. Wciąż nie odpowiadał.

- Powiedz coś do mnie, Boone! Wymamrotał coś.

- On tu może wciąż być - zauważyła. - Musimy się spieszyć.

Ale on już wkroczył, aby obejrzeć rzeź z bliska. Nie chciała patrzeć po raz drugi. Wróciła więc do swojego pokoju, aby skończyć pośpiesznie pakowanie.

Słyszała, jak Boone chodzi po sąsiednim pokoju, oddychając niemal z bólem.

Bojąc się go zostawić samego, przestała zbierać wszystkie rzeczy, lecz skupiła się na najważniejszych, między innymi na fotografiach i notesie z adresami, a potem wyszła na korytarz.

Dobiegł tam jej hałas syren policyjnych i przeraźliwy ryk wpędził ją w panikę. Samochody znajdowały się jeszcze daleko, ale bez wątpienia podążały właśnie tutaj. Dźwięki syren nadciągały do Sweetgrass Inn, żadne schwywania winnego.

Zawołała Boone'a.

- Skończyłam! Chodźmy! Z pokoju nie było odpowiedzi.

- Boone?

Podeszła do drzwi, starając się nie patrzeć na zwłoki. Boone stał w głębi pokoju, odcinając się na tle zasłon. Nie słyszała jego oddechu.

- Słyszysz mnie? - spytała.

Nie poruszył żadnym mięśniem. Nie mogła dostrzec wyrazu jego twarzy w półmroku, ale zauważyła, że zdjął okulary.

- Mamy mało czasu - powiedziała. - Idziesz?

Kiedy mówiła, Boone wydychał powietrze. To nie był normalny oddech i wiedziała o tym, zanim jeszcze dym wydobył się z jego gardła. Kiedy się

pojawił, podniósł ręce do ust, jak gdyby chciał go zatrzymać, ale zawisły na wysokości podbródka i zaczęły drżeć.

- Odejdź - powiedział, na tym samym oddechu, który mieszał się z dymem.

Nie mogła się poruszyć, ani nawet oderwać od niego wzroku. Półmrok nie był na tyle gęsty, aby nie zauważyła nadchodzącej zmiany. Jego twarz ulegała transformacji za woalem dymu, światło płonęło w ramionach i falami wspinało się po szyi, aby roztopić kości głowy.

- Nie chcę, żebyś patrzyła - błagał ją zamierającym głosem.

Za późno. Widziała już człowieka z ciałem pogrążonym w ogniu w Midian; i panterę z głową psa i jeszcze więcej. A teraz Boone rozbierał swoją ludzką postać w jej oczach. Jak istota z koszmarów. Nic dziwnego, że wył, z odrzuconą w tył głową, kiedy jego twarz rozplywała się.

Ten dźwięk został jednak niemal całkiem zagłuszony przez syreny.

Policja znajdowała się nie dalej niż o minutę drogi. Gdyby teraz wyszli, zdążyliby uciec.

Naprzeciw niej stał gotowy Boone, całkiem złożony (albo rozłożony).

Opuścił głowę, resztki dymu unosiły się wokół. Potem zaczął się poruszać, a nowa muskulatura unosiła go lekko, jak atletę.

Miała nadzieję, że teraz zrozumie niebezpieczeństwo i podejdzie do drzwi, aby szukać ocalenia. Ale nie. Poszedł w stronę zmarłych, tam gdzie wciąż leżało *menage a trois*, i zanim zdążyła pomyśleć, jedna z pazurzastych rąk sięgnęła po zwłoki ze sterty, przyciągając je do swoich ust.

- Nie, Boone! - wrzasnęła. - Nie!

Jej głos dotarł do niego, czy też - do tej części, która wciąż była Boonem, ale utonął w chaosie potwora. Oderwał się od mięsa i spojrzął na nią. Wciąż miał niebieskie, pełne łez oczy.

Ruszyła w jego Stronę.

- Nie - błagała.

Przez chwilę wydawało się, że waży miłość i apetyt. Potem zapomniał o niej i podniósł ludzkie mięso do ust. Nie patrzyła, jak zaciskają się szczęki, ale dobiegły ją odgłosy jedzenia. Z trudem zachowała świadomość, słysząc, jak Boone rozdziera i żuje mięso.

Na dole zgrzytały hamulce, trzaskały klamki. Zaraz otoczą budynek, zablokują wszelką nadzieję ucieczki, po chwili będą na schodach. Nie miała wyboru - musiała zostawić bestię z jej głodem. Boone był dla niej stracony.

Wybrała powrót nie tą drogą, którą przyszedł, lecz tylnymi schodami.

Dobra decyzja; kiedy tylko skręciła górnym korytarzem, usłyszała policję na drugim jego końcu, dobijającą się do drzwi. Niemal w tejże chwili usłyszała, jak policjanci forsują wejście i wydają okrzyki niesmaku. Jeszcze nie znaleźli Boone'a, on nie przebywał za zamkniętymi drzwiami. Wyraźnie odkryli coś jeszcze na górnym korytarzu. Instynkt mówił jej wyraźnie, że Decker był poprzedniej nocy skrupulatny. Gdzieś w budynku przeżył pies; przegapił też w swojej pasji niemowlę, ale reszcie nie przepuścił. Wrócił prosto z Midian, po swoich niepowodzeniach i zabił każdą żywą istotę w tym miejscu.

Na górze i na dole oficerowie śledczy zapoznawali się ze wszystkimi faktami, ale szok, jakiego doznali, czynił ich nieudolnymi. Lori bez trudu wymknęła się z budynku i pobiegła w stronę zagajnika na tyłach, gdzie znalazła

schronienie wśród drzew. Jeden z policjantów wychynął zza węgła, ale nie miał zamiaru jej szukać. Gdy tylko zniknął kolegom z oczu, zwymiotował śniadanie, a potem wytarł starannie usta chusteczką i wrócił natychmiast do pracy.

Była bezpieczna, bo zanim nie skończą poszukiwań wewnątrz, nie zajmą się otoczeniem. Czekala. Co zrobią z Boonem, kiedy go znajdą? Pewnie go zastrzelą. W żaden inny sposób nie mogła go przed tym ustrzec. Ale minuty mijały, a chociaż w budynku rozlegały się jakieś krzyki, nie słyszała strzałów. Musieli go do tego czasu znaleźć. Może lepszy widok na to, co się dzieje, miałyby od frontu budynku.

Z trzech stron hotel otaczały zarośla i drzewa. Z trudem przedzierała się przez poszycie na pobocze zagajnika, a z każdym jej ruchem przybywało policjantów z tyłu budynku, którzy przychodzili tu od frontu i zajmowali pozycje. Przybyły jeszcze dwa wozy patrolowe. Pierwszy był pełen uzbrojonych policjantów, a w drugim przybyła ekipa specjalistów. Za nimi przyjechały dwie karetki.

Potrzeba będzie ich więcej - pomyślała ponuro. O wiele więcej.

Chociaż zgromadzenie tylu samochodów i uzbrojonych ludzi przyciągało publiczność złożoną z przechodniów, sytuacja od frontu budynku została opanowana i wszystko wyglądało niemal banalnie. Ten dom zamienił się w dwupiętrową trumnę. Prawdopodobnie zamordowano tu więcej ludzi w ciągu tej jednej nocy, niż zginęło śmiercią gwałtowną w Shere Neck od czasu założenia miasta. Każdy, kto się tu znalazł dziś rano, stał się częścią historii. Ta świadomość uciszała ludzi.

Lori przeniosła swoją uwagę ze świadków na grupę stojącą przy

pierwszym samochodzie. Wyłom w wianuszkach dyskusji umożliwił jej dostrzeżenie człowieka pośrodku. Elegancko ubrany, wypolerowane okulary błyszczące w słońcu. Decker trzymał fason. O czym przekonywał: czy o szansie pokojowego wyprowadzenia swojego pacjenta na powietrze? Jeśli miał taki pomysł, został on odrzucony przez jedyne w tym gronie umundurowanego policjanta, szefa policji w Shere Neck, który na jego apel machnął tylko ręką, a potem całkiem wyłączył się z tej dyskusji. Z oddali trudno było odczytać reakcję Deckera, ale wydawało się, że wspaniale panuje nad sobą; nachylił się do ucha innego policjanta, który uważnie skinął głową.

Poprzedniej nocy Lori widziała Deckera jako zdemaskowanego szaleńca. I teraz znów chciała go zdemaskować. Zdrzeć tę fasadę ucywilizowanego zatroskania. Ale jak? Jeśli wyjdzie z ukrycia i rzuci mu wyzwanie (spróbuje wyjaśnić, co widziała i przeżyła w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin) - założą jej kaftan bezpieczeństwa, zanim zipnie.

To on paradował w świetnie skrojonym garniturze, miał doktorat i ustosunkowanych przyjaciół, to on był mężczyzną, głosem rozsądku i analitycznym umysłem, a ona - tylko kobietą! I kto za nią stał? Kochanek szaleniec, od czasu do czasu bestia... Nocna twarz Deckera czuła się całkiem bezpiecznie.

Nagle z wnętrza budynku buchnęły krzyki. Na rozkaz swojego szefa policjanci wymierzyli broń w drzwi frontowe, reszta wycofała się o kilka jardów. Dwaj policjanci z wycelowaną w kogoś bronią wyszli tyłem. Zaraz za nimi, z rękoma skutymi z przodu Boone, który został wypchnięty na światło, które niemal go oślepiło. Próbował odwrócić się od blasku, wycofać do cienia, ale

dwaj uzbrojeni mężczyźni popchnęli go naprzód.

Nie pozostało nic ze stwora, którym się stał, ale istniały wystarczające dowody jego głodu. Krew zakrzepła na koszulce aż po pierś, zbryzgała mu twarz i ramiona.

Publiczność wyraziła aprobatę dla działań policjantów na widok zabójcy w kajdankach. Dołączył się Decker, kiwając głową i uśmiechając się, kiedy prowadzono Boone'a, z głową odwróconą od słońca, i wsadzano na tylne siedzenie jednego z samochodów.

Natłok uczuć ogarnął Lori, gdy patrzyła na tę scenę. Ulga, że Boone'a nie zastrzelono na jej oczach mieszała się ze zgrozą, bo wiedziała, kim on jest; wściekłość na grę Deckera i niesmak, że tylu się na to nabrało.

Tak wiele masek. Czy tylko ona nie miała sekretnego życia, żadnego innego „ja” w swoim szpiku czy psychice? Jeśli tak, to może nie było dla niej miejsca w grze pozorów, może Boone i Decker byli tu prawdziwymi kochankami, zmieniającymi twarze, walczącymi ze sobą, ale niezbędnymi sobie.

A ona obejmowała tego człowieka, żądała, żeby on też ją obejmował, przykładła wargi do jego twarzy. Już nigdy tego nie zrobi, wiedząc, co kryło się za jego wargami, za jego oczami. Nigdy nie mogłaby pocałować bestii.

Dlaczego zatem jej serce walilo teraz jak młot?

Rozdział XVI

TERAZ ALBO NIGDY

- Co pan mi opowiada? Że dotyczy to większej liczby ludzi? Jakiś rodzaj kultu?

Decker nabral powietrza, aby jeszcze raz wygłosić swoje ostrzeżenie przed Midian. Komandosi różnie nazywali swojego szefa, ale nigdy nie mówili o nim za jego plecami po nazwisku. Pięć minut w jego obecności - i Decker wiedział dlaczego; dziesięć - i miał chęć go porąbać. Ale nie dzisiaj. Dziś potrzebował Irwina Eigermana, a Eigerman jego, choć on nie wiadomo czy uświadamiał to sobie. Za dnia Midian było słabe, a więc musieli działać szybko. Już pierwsza po południu. Do zmroku jeszcze daleko, lecz i do Midian także. Przewiezienie tam oddziałów, które zniszczą to miejsce to robota na kilka godzin, a każda minuta stracona na dyskusje to minuta stracona na działanie.

- Pod cmentarzem - powiedział Decker, startując znów od miejsca, w którym zaczął pół godziny wcześniej.

Eigerman ledwie udawał, że słucha. Jego euforia wzrastała wprost proporcjonalnie do liczby ciał wynoszonych ze Sweetgrass Inn, a dochodzącej obecnie do szesnastu. Miał nadzieję na więcej. Jediną ludzką istotą, która przeżyła, było roczne niemowlę, znalezione w plątaniu zakrwawionych prześcieradeł. Osobiście wyniósł je z budynku, ku zadowoleniu fotoreporterów. A jutro kraj pozna jego imię. Wszystko to oczywiście nie byłoby możliwe bez udziału Deckera, dlatego z pobłażaniem traktował tego człowieka, aczkolwiek w tym stadium postępowania, w obecności dziennikarzy i fleszów, byłby głupi, gdyby zaczął szukać winowajcy wśród paru świrów uwielbiających

towarzystwo zwłok, a to właśnie sugerował mu Decker.

Wyciągnął grzebień i zaczął czesać swoją przerzedzoną fryzurę z

nadzieją, że oszuka aparaty fotograficzne. Nie był przystojny, wiedział o tym. A

gdyby czasem zapomniał, Annie zaraz mu przypomni. Lubiała robić uwagi w

stylu: „Wyglądasz jak locha”, zwykle przed snem w sobotni wieczór. Ale ludzie

zawsze widzą to, co chcą zobaczyć. A po dzisiejszym dniu będzie wyglądał jak

bohater.

- Czy pan słucha? - spytał Decker.

- Słyszę pana. Ludzie rabują groby. Słyszę.

- Nie rabują. I nie ludzie.

- Świry - powiedział Eigerman. - Widziałem już takich.

- Na pewno nie takich.

- Chyba nie twierdzi pan, że paru z nich było w Sweetgrass Inni

- Nie.

- Tutaj złapaliśmy człowieka winnego?

- Tak.

- Został zamknięty.

- Tak. Ale w Midian są inni.

- Mordercy?

- Prawdopodobnie.

- Nie jest pan pewien?

- Niech pan tam po prostu wyśle paru swoich ludzi.

- Po co ten pośpiech?

- Już raz mówiłem, po co się powtarzać?

- Niech pan powie jeszcze raz.

- Trzeba ich pogonić przy świetle dziennym.

- A kim oni są? Rodzajem pijawek? - zachichotał sam do siebie. - Tym są?

- Poniekąd.

- Cóż, poniekąd muszę panu powiedzieć, że to musi poczekać. Mają ze mną przeprowadzić wywiad różni ludzie, doktorze. Nie mogę odmówić prośbom, to byłoby niegrzeczne.

- Pieprzona grzeczność. Ma pan przecież swoich zastępców, prawda?

Czy w tym mieście jest tylko jeden policjant?

Eigerman wyraźnie się opanował.

- Mam zastępców.

- Czy mógłbym zatem zasugerować, żeby kilku z nich wysłać do Midian?

- I co tam mają robić?

- Kopać.

- To chyba poświęcona ziemia, proszę pana - odparł Eigerman. - To świętość.

- Ale to co jest pod spodem, nie - Decker odrzekł z powagą, która zgasła

Eigermana. - Raz mi pan zaufał, Irwin - stwierdził. - I złapał pan zabójcę. Niech mi pan znów zaufa. Musicie przenicować Midian.

Przeżyła straszne chwile, ale podstawowe potrzeby pozostały: ciało musi jeść, musi spać. Po wyjściu ze Sweetgrass Inn Lori zaspokoila to pierwsze.

Wędrowała ulicami, aż znalazła odpowiedni, ruchliwy sklep, gdzie mogła wejść nie zwracając niczyjej uwagi. Kupiła trochę żywności: pączki z kremem, pieczone jabłko, mleko czekoladowe, ser. Potem usiadła na słońcu i jadła, a jej zdrętwiały umysł niezdolny był do myślenia o czymkolwiek oprócz wykonywania prostych czynności: gryzienia, żucia, połykania. Pożywienie wprawilo ją w senność, tak że nie mogła się powstrzymać od zaśnięcia, chociaż próbowała. Kiedy się obudziła, strona ulicy, po której siedziała, przedtem skąpana w słońcu, teraz tonęła w cieniu. Kamienne schody były chłodne, a ciało bolało. Ale jedzenie i odpoczynek, cóż, że prymitywne, dobrze jej zrobiły. Zaczęła porządkować swoje myśli.

Niewiele miała powodów do optymizmu, to pewne, ale kiedy pierwszy raz znalazła się w tym mieście, w poszukiwaniu miejsca, gdzie padł Boone, sytuacja przedstawiała się równie niewesoło. Wtedy wierzyła, że człowiek, którego kochała nie żyje i podjęła pielgrzymkę wdowy. Teraz przynajmniej wiedziała, że on żyje, jakkolwiek jeden Bóg znał, jaki koszmar z grobowców w Midian nim zawładnął. Zważywszy ten fakt, może i dobrze się stało, że znalazł się bezpieczny w rękach prawa, a dalsze powolne postępowanie da jej czas na przemyślenie całej sprawy. Najpilniejsza rzecz - to w jakiś sposób zdemaskować Deckera. Nikt nie zdołałby zabić tylu ludzi bez pozostawienia jakichkolwiek śladów. Może trzeba wrócić do restauracji, gdzie zamordował

Sheryl. Wątpiła, czy zaprowadził tam policję, tak jak do hotelu. Wprowadziłoby to dodatkowe komplikacje z oskarżonym, gdyby ujawnić wszystkie miejsca zbrodni. Zaczeka więc na przypadkowe znalezienie innych zwłok, wiedząc, że zbrodnia zostanie przypisana Boone'owi. Co oznacza - być może - że to miejsce pozostało nietknięte, a ona mogłaby znaleźć tam jakiś trop obciążający go, albo przynajmniej rzucający cień na jego oficjalną twarz.

Powrót tam, gdzie zamordowano Sheryl i gdzie Lori przeżyła spotkanie z Deckerem, nie będzie po prostu piknikiem, ale to dla niej teraz jedyna możliwość.

Ruszyła szybko. Miała nadzieję, że przy świetle dziennym zdobędzie się na odwagę, by przekroczyć nadpalone drzwi. W nocy - o, to całkiem inna sprawa.

Decker przyglądał się, jak Eigerman robi odprawę swoich zastępców, czterech mężczyzn, którzy podobnie jak szef, wyglądali na zadowolonych z siebie byczków.

- Ufam naszemu źródłu informacji - powiedział wspaniałomyślnie, rzucając spojrzenie Deckerowi - a skoro ten pan mi mówi, że coś złego dzieje się w Midian, to sądzę, że warto go posłuchać. Chcę, żebyście tam trochę pokopali. Zobaczcie, ile się da.

- A czego właściwie szukamy? - chciał wiedzieć jeden z nich. Nazywał się Pettine. Czterdziestolatek o szerokiej, pustej twarzy jak maska aktora, zbyt hałaśliwym głosem i okazałym brzuszkiem.

- Wszystkiego, co dziwne - powiedział mu Eigerman.

- Jak ludzie żywiący się umarłymi? - pytał najmłodszy z całej czwórki.

- Możliwe, Tommy - stwierdził Eigerman.

- I jeszcze czegoś więcej - włączył się Decker. - Sądzę, że Boone ma przyjaciół na cmentarzu.

- Takie ścierwo ma przyjaciół? - odezwał się Pettine. - Cholernie chciałbym wiedzieć, jak oni wyglądają.

- Więc ich ze sobą przyprowadźcie, chłopcy.

- A jeśli nie zechcą przyjść?

- O co pytasz, Tommy?

- Użyć siły?

- Użyć, zanim oni użyją jej w stosunku do was, chłopcy!

- To dobrzy ludzie - Eigerman powiedział Deckerowi, kiedy wysłali tę czwórkę. - Jeśli jest tam cokolwiek do znalezienia, oni to znajdą.

- To wystarczy.

- Zamierzam zobaczyć więźnia. Chce pan iść ze mną?

- Widziałem już Boone'a tyle razy, że odechciało mi się raz na zawsze.

- Niema sprawy - stwierdził Eigerman i zostawił Deckera z jego myślami.

Już prawie się zdecydował jechać z komandosami do Midian, ale tutaj miał zbyt wiele pracy - musiał przygotować się na nadchodzące rewelacje. A będą rewelacje. Chociaż na razie Boone odmawiał odpowiedzi nawet na najprostsze pytania, kiedyś przerwie to milczenie, a kiedy to się stanie, Decker zada mu kilka pytań. Nie było możliwości, by podważyć w jakimkolwiek punkcie oskarżenie skierowane wobec Boone'a: znaleziono go z ludzkim mięsem w ustach, zakrwawionego od stóp do głów; zaistniały jednak ostatnio takie elementy, które nawet Deckera wprowadziły w zakłopotanie i dopóki każda zmiana scenariusza nie zostanie dokładnie zbadana, niepokój pozostanie.

Na przykład: co się stało z Boone'em? Jak ten koziół ofiarny, nafaszerowany kulami i opatrzony świadectwem zgonu nagle został żarłocznym potworem, przez którego Decker omal nie stracił życia poprzedniej nocy? Boone nawet podkreślał, że jest umarły, na litość boską, a przerażony sytuacją Decker o mały włos nie wpadł w psychozę. Teraz patrzył na sprawy trzeźwiej. Eigerman miał rację. To świry, tyle że inne niż zazwyczaj. Istoty żyjące wbrew naturze, które trzeba wyciągnąć spod ich kamieni i oblać benzyną. Z radością sam by zapalił zapalną...

- Decker?

Uspokoił myśli i zobaczył, że Eigerman zamyka drzwi przed zgrają dziennikarzy. Nie było śladu poprzedniej poufności. Pocił się obficie.

- Okay. Co się dzieje do cholery?

- Jakiś problem, Irwin?

- To żywe ścierwo, z nim jest problem.

- Z Boone'em?

- Oczywiście, z Boone'em.

- A co?

- Właśnie zbadali go lekarze. Rutynowe postępowanie.

- I?

- Ile razy pan go trafił? Trzy, cztery?

- Taaak, możliwe.

- Więc te kule wciąż w nim siedzą.

- To mnie nie dziwi - stwierdził Decker. - Mówilem, że mamy tu do czynienia nie z normalnymi ludźmi. Co mówią lekarze? Powinien nie żyć?

- On nie żyje.

- Kiedy zmarł?

- Nie chodzi mi o to, że leży nieżywy, ścierwo. Chodzi o to że siedzi w pieprzonej celi nieżywy. Jego serce nie bije.

- To niemożliwe.

- Dwóch gnojków twierdzi, że nieżywy człowiek chodzi po celi i zapraszają, żebym sarn to sobie obejrzał. Co pan mi na to powie, doktorze?

Rozdział XVII

MAJACZENIE

Lori stała po drugiej stronie ulicy przed spaloną restauracją, wypatrując jakichś oznak życia wewnątrz. Nie dostrzegła nic. Dopiero teraz, w pełnym świetle dnia, zdała sobie sprawę, jak opustoszała była okolica. Decker dobrze wybrał. Szansa, że ktokolwiek zauważy, jak wchodzi do lokalu, lub wychodzi stąd, była bliska zeru. Nawet teraz, po południu, żaden przechodzień nie pojawił się na chodniku, a parę pojazdów przemknęło jezdnią spiesząc się do bardziej przytulnych miejsc.

Coś w tej scenerii - może żar słoneczny, kontrastujący z nieoznaczonym grobem Sheryl - znów przywiodło jej na myśl niesamowitą przygodę w Midian, a zwłaszcza - spotkanie z Babette. Dziewczynka zaczarowała nie tylko jej oczy wewnętrzne. Wydawało się, że całe ciało Lori na nowo przeżywa ich pierwsze spotkanie. Czula na piersi ciężar bestii, którą podniosła pod drzewem. Słyszała ciężki oddech, a w nozdrzach czula gorzką słodycz.

Te wrażenia naszły ją z taką siłą, że rozumiała je niemal jak wezwanie: minione niebezpieczeństwo sygnalizowało to, które nastąpi. Chyba widziała dziecko patrzące na nią, gdy je trzymała w ramionach, chociaż nigdy nie trzymała przecież na rękach Babette w ludzkiej postaci. Usta dziecka otwierały się i zamykały, wołając do Lori coś, czego nie umiała odczytać z samego ruchu warg.

Potem, tak jak zaciemnienie obrazu między sekwencjami filmu, obrazy znikaly i pamiętała tylko jeden obraz: ulica, słońce i spalony budynek naprzeciwko.

Nie było powodu, by odkładać moment spotkania ze złem. Przeszła przez

jezdnię, pokonała chodnik i powstrzymując się od zwolnienia kroku, wkroczyła przez ramę zwęglonych drzwi w mrok wnętrza. Tak nagle ciemność! Tak nagle chłód! Jeden krok poza obręb światła słonecznego - i znalazła się w innym świecie. Teraz trochę zwolniła, jak gdyby badała labirynt rumowiska między drzwiami frontowymi a kuchnią. Starła się myśleć tylko ściśle o swoim zamiarze - znaleźć jakiś ślad, który doprowadziłby do skazania Deckera.

Musiała odsunąć od siebie wszelkie inne myśli: wstręt, żal, strach. Musiała być chłodna i spokojna. Grać grę Deckera.

Zebrała się w sobie i przeszła pod sklepieniem.

Ale nie do kuchni; do Midian.

Pamiętała chwilę, w której to się stało i gdzie - chłodu i ciemności grobowców nie można pomylić z czymkolwiek. Kuchnia po prostu zniknęła, co do kafelka.

Po przeciwnej stronie krypty stała Rachel, patrząc w górę na sufit z niepokojem na twarzy. Przez chwilę przyglądała się Lori, nie dziwiąc się jej obecności. Potem wróciła do obserwacji sufitu i nasłuchiwania.

- Coś nie tak? - spytała Lori.

- Cicho! - rzuciła ostro Rachel, a potem chyba pożałowała swojej szorstkości i otworzyła ramiona.

- Chodź do mnie, dziecko!

Dziecko. A więc tym była. Nie była w Midian, była w Babette i patrzyła oczami dziecka. Wspomnienia, które pojawiły się tak intensywnie na ulicy, stanowiły preludium do połączenia psychik.

- Czy to istnieje realnie? - spytała.

- Realnie? - wyszeptała Rachel. - Oczywiście, realnie...

Wymówiła te słowa z wahaniem i spojrzała na córkę pytająco.

- Babette?

- Nie... - odparła Lori.

- Babette. Co ty robisz?

Podeszła do dziecka, które było od niej odwrócone. Patrzenie przez ukradzione oczy dawało Lori posmak powrotu do przeszłości. Rachel wydawała się niewiarygodnie wysoka, jej ruchy - niezdarne.

- Co robisz? - spytała po raz drugi.

- Przeprowadziłam ją - powiedziała dziewczynka - żeby zobaczyła.

Na twarzy Rachel malował się gniew. Chciała chwycić córkę za ramię.

Ale dziecko było szybsze. Zanim jej dosięgła, córka znalazła się poza zasięgiem matki. Wewnętrzne oczy Lori towarzyszyły jej, a szybkość wydarzeń przyprawiała ją o zawrót głowy.

- Wracaj tutaj - wyszeptała Rachel.

Babette zignorowała polecenie i wbiegła w tunele, nurkując za każdym rogiem z łatwością kogoś, kto zna labirynt na wylot. Marszruta zaprowadziła biegnącą i jej „pasażerkę” poprzez główne przejścia do ciemniejszych, węższych korytarzy, aż Babette zyskała pewność, że nikt jej nie ściga. Doszły do otworu w ścianie, zbyt małego, by przecisnęła się przezeń osoba dorosła.

Babette przedostała się do pomieszczenia nie większego niż lodówka i równie zimnego, które służyło dziecku za kryjówkę. Tutaj dziewczynka usiadła, żeby odsapnąć, a jej czule oczy przenikały totalną ciemność. Zgromadziła tu swoje nieliczne skarby. Lalka zrobiona z trawy i ukoronowana wiosennymi kwiatami,

dwie ptasie czaszki, mały zbiór kamyków. Przy całej swojej odmienności

Babette była jak każde dziecko: wrażliwa, lubiła rytualne gesty. Tu miała swój

świat. To, że pozwoliła Lori go zobaczyć, stanowiło niemały komplement.

Przyprowadziła tu jednak Lori nie tylko po to, żeby obejrzała jej skarby.

Nad głową słychać było jakieś głosy, wyraźnie, a więc całkiem blisko.

- Hej wy! Widzicie to gówno? Można tu ukryć całą pieprzoną armię.

- Nie mów, Cas.

- Co, już srasz w gacie, Tommy?

- Nieee.

- A tak coś zajeżdża.

- Spieprzaj.

- Zaniknijcie się obaj. Mamy robotę do wykonania.

- Od czego zaczynamy? - Poszukamy wszelkich oznak niepokoju.

- Tu są ludzie. Czuję ich. Decker miał rację.

- Więc wykurzmy tych pojebańców, kiedy tylko ich zobaczymy.

- Chcesz...'iść na dół? Ja nie zejdem.

- Nie potrzeba.

- Więc jak, do kurwy nędzy, ich wyciągniemy, ty dupo?

W odpowiedzi padło nie słowo, lecz strzał, odlupujący kawał kamienia.

- Będziemy strzelać jak do ryb w beczce - odezwał się ktoś. - Jeśli nie

wyjdą, zostaną tam na dole na stałe.

- To nam oszczędzi rozkopywania grobów!

Kim są ci ludzie? - myślała Lori. Zanim zdążyła zadać pytanie, Babette

już wstała i pokonywała wąski wlot do pokoju zabaw. Jej małe ciało ledwie się

mieściło, a Lori poczuła przyływ klaustrofobii. Ale szybko znalazła

rekompensatę. Światłoienne nad głową i zapach świeżego powietrza ogrzały nie tylko skórę Babette, lecz i Lori.

Przejście stanowiło widocznie część jakiegoś systemu odwadniającego.

Dziecko wijąc się pokonywało rumowisko, a zatrzymało się tylko po to, żeby ominąć ciało jakiejś wiedźmy, która zmarła w tunelu. Głosy z powierzchni ziemi dobiegały niepokojąco wyraźnie.

- Mówię, żeby zacząć tutaj i otworzyć każdy przekłety grób, aż znajdziemy coś, co można zabrać ze sobą.

- A ja bym nie chciał niczego stąd zabierać ze sobą.

- Cholera, Pettine, chcę zakuwać w kajdanki! Ile się tylko da zgarnąć tych skurwysynów!

- Może powinniśmy najpierw zadzwonić? - spytał teraz czwarty z rozmówców. Tego głosu dotychczas nie słyszała. - Może szef ma dla nas jakieś świeże instrukcje.

- Pieprzę szefa - stwierdził Pettine.

- Tylko jeśli cię poprosi - odparował Cas. Poza śmiechem nastąpiło jeszcze kilka uwag, głównie obscenicznyc. Pettine uciszył ich wesolość.

- Okay. Zaczniemy wreszcie do cholery!

- Prędzej czy później - powiedział Cas. - Tommy gotowy?

- Zawsze jestem gotowy.

Nagle stało się widoczne źródło światła, ku któremu pełzła Babette: krata z boku tunelu.

Trzymaj się z dala od słońca - usłyszała swoje myśli Lori.

W porządku, odpowiedziały myśli Babette. Z pewnością to nie pierwszy raz, kiedy korzystała ze swego wewnętrznego judasza. Jak więzień, nie mający nadziei na poznanie hasła, czerpała przyjemność z podróży w czasie.

Obserwacja świata z tego miejsca stanowiła niezwykłą rozrywkę, a ona dobrze wybrała swój punkt widokowy. Krata otwierała widok na alejki, a tak została umieszczona w murze mauzoleum, że światło słoneczne nie padało na nią bezpośrednio. Babette przycisnęła twarz do prętów, aby lepiej uchwycić całą scenę na zewnątrz.

Lori widziała trzech z czterech rozmówców. Wszyscy w mundurach, wszyscy - pomimo śmiałości w głosie - wyglądali jak ludzie, którzy chcieliby stokroć bardziej znajdować się w tej chwili w innym miejscu. Nawet przy silnym świetle dziennym, uzbrojeni po zęby i bezpieczni w słońcu czuli się nieswojo.

Nietrudno zgadnąć dlaczego. Gdyby przyszli aresztować kogoś z jakiejś kamienicy czynszowej, nie rozglądaliby się wokół z takim niepokojem, nie okazywaliby tych nerwowych tików. Ale tu rozciągało się terytorium Śmierci, a oni czuli się na nim jak intruzi.

W innych okolicznościach ubawiłaby się patrząc, jak są zbici z tropu. Ale nie tutaj, nie teraz. Wiedziała, do jakiego strachu i strachu przed strachem zdolni są ludzie.

Znajdą nas - usłyszała myśli Babette.

Miejmy nadzieję, że nie - odparły jej myśli.

Ale znajdą - stwierdziło dziecko. - *Tak mówi Prorok.*

Kto?

Odpowiedź Babette była obrazem stwora, którego widziała przelotnie

podczas poszukiwania Boone'a w tunelach: bestii z ukrytymi ranami, leżącej na materacu w pustej celi. Teraz widziała ją w innych okolicznościach, uniesioną ponad głowami zgromadzenia przez dwóch członków Plemienia, po których spoconych ramionach spływała płonąca krew. Przemawiała, ale Lori nic nie słyszała. Jakieś proroctwa, jak przypuszczała, a między nimi ta scena.

Znajdą nas i spróbują nas wszystkich zabić - myślało dziecko.

I zabiją?

Dziecko milczało.

Zabiją, Babette?

Prorok tego nie widzi, bo należy do tych, którzy zginą. Może ja też zginę.

Ta bezgłośna myśl przyszła jak czyste uczucie, jak fala smutku, której

Lori nie mogła się oprzeć, której nie mogła uleczyć.

Jeden z mężczyzn, jak zauważyła teraz Lori, przemykał chyłkiem do kolegów i ukradkiem wskazywał grobowiec po prawej. Miał lekko uchylone drzwi. Wewnątrz trwał jakiś ruch. Lori widziała, co nadchodzi, tak jak i dziecko.

Poczuła dreszcz przebiegający przez plecy Babette, poczuła, jak jej palce zaciskają się na prętach, na zapowiedź grozy, która nastąpi. Nagle dwóch mężczyzn znalazło się przy drzwiach grobowca i otworzyło je na oścież

kopniakiem. Z wnętrza dobiegł krzyk, ktoś upadł. Pierwszy z gliniarzy był natychmiast w środku, za nim następny, a hałas zaalarmował trzeciego i czwartego, by przybiec do drzwi grobowca.

- Z drogi! - wrzasnął gliniarz we wnętrzu. Policjant zrobił krok wstecz i szczerząc zęby z zadowolenia wyciągnął swego aresztanta z kryjówki, a kolega dołożył kopniaka z tyłu.

Lori widziała ich ofiarę zaledwie w mgnieniu oka, ale szybko Babette nazwała go w myślach.

- Ohnaka.

- Na kolana, ty dupo - zawołał gliniarz z tyłu i kopnął aresztanta w nogi.

Człowiek upadł, pochylając głowę, aby słońce nie sforsowało runda jego kapelusza.

- Dobra robota, Gibbs - wyszczerzył zęby Pettine.

- Więc gdzie jest reszta? - dopytywał się najmłodszy z czwórki, chudy chłopak z fantazyjnym grzebieniem na głowie.

- W podziemiach, Tommy - obwieścił czwarty mężczyzna. - Tak właśnie mówił Eigerman. Gibbs zbliżył się do Ohnaki.

- Zabierzmy tego pierdolca, żeby nam pokazał - stwierdził. Spojrzał na towarzysza Tommy'ego, niskiego, krępego mężczyznę. - Ty jesteś niezły w przesłuchaniach, Cas.

- Jeszcze mi nikt nigdy nie powiedział nie - odparł mężczyzna. - Mówię prawdę czy nie?

- Prawdę mówisz - potwierdził Gibbs.

- Chcesz, żeby ten człowiek się tobą zajął? - Pettine zapytał Ohnakę.

Aresztant nie odezwał się.

- Nie myśl, że usłyszał - stwierdził Gibbs. - Ty go zapytaj, Cas.

- Tak, żeby wystarczyło.

- Spytaj go twardo.

Cas podszedł do Ohnaki, wyciągnął rękę i zdarł mu z głowy kapelusz.

Natychmiast Ohnaka zaczął krzyczeć.

- Zamknij się do cholery! - wrzasnął Cas, kopiąc go w brzuch.

Ohnaka krzyczał dalej, krzyżując ręce nad obnażoną głową, aby zasłonić się przed słońcem. Podniósł się i desperacko rzucił szukając pomocy w ciemności za otwartymi drzwiami, ale młody Tommy już tam był i blokował wejście.

- Dobry jesteś, Tommy! - zawołał Pettine. - Zabieraj go, Cas!

Zmuszony do powrotu na słońce, Ohnaka zaczął się trząść; chwyciło go na dobre.

- Co jest do cholery? - spytał Gibbs.

Ramiona aresztanta nie miały już siły chronić jego głowy. Opuścił je; dymił. Tommy mógł mu teraz spojrzeć prosto w twarz. Młody gliniarz nie wyrzekł ani słowa. Zrobił tylko dwa kroki w tył, potykając się i opuścił broń.

- Co robisz, ty ośle? - zawołał Pettine. Potem chwycił Ohnakę za ramię, aby nie sięgnął po porzuconą broń. W zamieszaniu Lori nie mogła dostrzec, co się stało potem, ale wydawało się, że ciało Ohnaki zamiera. Cas wydał z siebie okrzyk niesmaku, a Pettine - gniewu, kiedy cofnął swoją rękę i odrzucił garść materiału i pyłu.

- Co jest do cholery? - krzyczał Tommy. - Co jest do cholery? Co jest do cholery?

- Zamknij się! - kazał mu Gibbs, ale chłopiec nie panował nad sobą.

Wciąż, na okrągło to samo pytanie:

- Co jest do cholery?

Nie poruszony paniką Tommy'ego, Cas uderzył Ohnakę, żeby powalić go na kolana. Cios okazał się niszczycielski. Złamał ramię Ohnaki w łokciu i ręka

upadła u stóp Tommy'ego. Jego krzyk przeszedł w wymioty. Nawet Cas się cofnął, potrząsając głową z niedowierzaniem.

Ohnaka przekroczył już punkt, skąd nie ma powrotu. Nogi ugięły się pod nim, ciało słabło coraz bardziej pod wpływem zabójczego słońca. A jego twarz, teraz skierowana w stronę Pettine'a, wydawała najgłośniejsze krzyki, kiedy odpadało od niej ciało, a przez oczodoły wychodził dym, jak gdyby mózg płonął.

Już nie skowyczał. Nie miał siły. Po prostu osuwał się na ziemię, z odrzuconą do tyłu głową, jak gdyby zapraszając słońce do szybszego działania i zakończenia agonii. Zanim padł na bruk, jakiś ostatni fragment jego istoty trzasnął, co zabrzmiało jak strzał. Gnijące szczątki rozleciały się fontanną krwawego pyłu i kości.

Lori chciała, żeby Babette odwróciła wzrok, tak w swoim imieniu, jak i dla dobra dziecka. Ale ona odmówiła. Nawet gdy skończył się ten horror i ciało Ohnaki rozprysło się po alejce, Babette wciąż przyciskała twarz do kraty, jak gdyby chciała poznać śmierć od światła słonecznego ze wszystkimi szczegółami. Lori musiała gapić się na ten sam widok. Czula każde drzenie kończyn Babette, smak lez powstrzymywanych, by nie zasłaniały obrazu.

Ohnaka nie żył, lecz jego oprawcy nie skończyli działań. Było na co popatrzeć, więc dziecko obserwowało dalej.

Tommy usiłował zetrzeć rozbryzgane wymioty z munduru. Pettine kopał szczątki zwłok Ohnaki. Cas wyjmował papierosa z kieszeni na piersiach Gibbsa.

- Dawaj ognia! - Gibbs drżącymi rękoma szukał zapalek w kieszeni

spodni, ze wzrokiem utkwionym w dymiących szczątkach.

- Nigdy czegoś takiego nie widziałem - stwierdził Pettine, niemal obojętnym tonem.

- Tym razem się zesrałeś, Tommy? - powiedział Gibbs.

- Odpieprz się - padła odpowiedź. Jasna skóra Tommy'ego

poczerwieniała. - Cas mówił, że powinniśmy zadzwonić do szefa. I miał rację.

- A co do cholery robi teraz Eigerman? - spytał na to Pettine i splunął na czerwony pył u stóp.

- Widziałeś twarz, tego pierdolca? - odezwał się Tommy. - Widziałeś, jak na mnie patrzył? Prawie umarłem, powiadani wam. Mógł mnie zaprawić.

- O co tu chodzi? - włączył się Cas.

Gibbs udzielił niemal prawidłowej odpowiedzi.

- Światło słoneczne - odparł. - Słyszałem, że są takie choroby. To słońce go dorobiło.

- Człowieku, to niemożliwe - oponował Cas. - Nigdy nie widziałem czegoś takiego, ani nie słyszałem o podobnych rzeczach.

- No to teraz widzieliśmy i słyszeliśmy - Pettine mówił z niemalą satysfakcją. - To nie była halucynacja.

- Więc co robimy? - chciał wiedzieć Gibbs. Miał trudności z doniesieniem zapalanej zapalki w drżących dłoniach do papierosa w ustach.

- Szukamy dalej - odrzekł Pettine.

- Ja nie - stwierdził Tommy - dzwonię do tego pieprzonego szefa. Nie wiemy, ilu takich świrów tu jest. Może setki. Sam tak mówiłeś. Mówiłeś, że można tu schować całą armię.

- Czego się tak boisz? - odparł Gibbs. - Widziałeś, co robi z nimi słońce.

- Tak. A co będzie, kiedy zajdzie słońce, pieprzone mądrale? - padła riposta Tommy'ego.

Płomień zapalki przypalił palce Gibbsa. Rzucił ją, przeklinając.

- Widziałem to na filmach - powiedział Tom-my. - Nocą dzieją się dziwne rzeczy.

Sądząc z wyrazu twarzy, Gibbs oglądał te same filmy.

- Może powinniście zadzwonić po jakąś pomoc. Po prostu na wszelki wypadek.

Myśli Lori pospiesznie przemawiały do dziecka.

Musisz ostrzec Rachel. Opowiedz jej, co widziałyśmy.

Oni już wiedzą - brzmiała odpowiedź dziecka.

Powiedz im mimo wszystko. Zapomnij o mnie! Powiedz im, Babette zanim będzie za późno.

Nie chcę cię opuścić.

Nie mogę ci pomóc, Babette. Nie należę do was. Jestem...

Próbowała ustrzec się od myśli, która ją naszła, ale było za późno.

...jestem z normalnego świata. Sionce nie zabije mnie tak jak was.

Jestem żywa. Jestem człowiekiem. Nie należę do was.

Nie zdołała ocenić jej pospiesznej reakcji. Kontakt został przerwany natychmiast, a widok poprzez oczy Babette zniknął. Lori znalazła się na progu kuchni.

W głowie słyszała wyraźne odgłosy wydawane przez muchy. Ich

bzyczenie nie było echem Midian, lecz czymś realnym. Latały w kółko po

pomieszczeniu nad jej głową. Aż za dobrze wiedziała, jaka woń je tu przywiodła, jajczkujące i głodne; miała też całkowitą pewność, że po tym wszystkim, co zobaczyła w Midian, nie zdoła wykonać jeszcze jednego kroku w stronę zwłok na podłodze. To już za dużo śmierci ^ jej świecie, w jej głowie i dookoła. Jeśli nie ucieknie, oszaleje. Musiała wracać na świeże powietrze, gdzie mogłaby swobodnie odetchnąć. Może znaleźć jakiś niewielki sklep i pogadać ze sprzedawczynią, ot tak, o pogodzie, o cenach ręczników papierowych, o czymkolwiek, równie długo, co banalnie, nieciekawie.

Ale muchy chciały bzyzczeć w jej uszach. Próbowwała je odgonić. Wciąż przylatywały jednak do niej, do niej, ze skrzydełkami lepкими od śmierci, odnóżami czerwonymi od śmierci.

- Dajcie mi spokój - szlochała. Ale jej gwałtowne zachowanie przyciągało tylko coraz większe ich chmary, zrywające się na dźwięk jej głosu od swego stołu jadalnego, niewidocznego za plecami. Umysł Lori walczył, by zachować dystans do rzeczywistości, w którą znów została rzucona, ciało błagało by wyjść z kuchni.

I umysł, i ciało zawiodły. Nadleciała chmura much, tak wielka, że same siebie pograżyły w ciemności. Niejasno zdała sobie sprawę, że taka obfitość jest niemożliwa i że to jej psychika tworzy obrazy grozy w swoim pomieszczeniu.

Ale ta myśl była za słaba, by powstrzymać szaleństwo. Rozum sięgał po tę myśl, lecz chmura była coraz bliżej. Czula ich odnóża na swoich ramionach i twarzy, zostawiające smużki substancji, w której były unurzane: krwi Sheryl, zółci Sheryl, potu i lez Sheryl. Nadlatywało ich tak wiele, że nie wszystkie mogły znaleźć dla siebie miejsce na ciele Lori, więc szukały drogi do jej warg,

pelzły w nozdrza i oczy.

Raz we śnie o Midian, śmierć przyszła jak pył, ze wszystkich zakątków

świata, czy tak? I czyż nie stała pośrodku burzy, pieszczona i szczęśliwa

świadomością, że umarli składają się na ten wiatr? I oto druga część tamtego

snu:

horror

wobec

wspaniałości

części

pierwszej.

Świat

much

współzawodniczy z tamtym światem pyłu; świat niezrozumienia i ślepoty;

umarłych bez pogrzebu i bez wiatru, który by ich zabrał. Tylko muchy na nich

uczują i rozmnażają się.

W tym współzawodnictwie pyłu i much stała po jednej stronie; wiedziała,

nawet gdy całkiem traciła przytomność, że jeśli Midian umrze, a ona nic w tej

sprawie nie zrobi, jeśli Pettine, Gibbs i ich kumple rozkopią azyl Nocnego

Plemienia, wtedy ona, pewnego dnia obrócona w proch, dotknięta losem

Midian, nie będzie miała dokąd ulecieć i dostanie się w ręce much, ciałem i

duszą.

Uderzyła w kafelki.

Rozdział XVIII

GNIEW SPRAWIEDLIWOŚCI

Według Eigermana błyskotliwe pomysły i wydalanie to rzeczy nierozzerwalnie ze sobą związane. Uruchamiał wszystkie szare komórki siedząc ze spodniami spuszczoneymi do kostek w klozecie. Nieraz, podchmielony, wyjaśniał każdemu, kto chciał słuchać, że pokój światowy i lekarstwo na raka to zadania do rozwiązania z dnia na dzień, jeśli ludzie mądrzy i dobrzy po prostu usiedliby razem do wspólnej defekacji.

Na trzeźwo, myśl o kolektywnym załatwianiu najbardziej prywatnych potrzeb trwożyła go. Kibel jest miejscem samotnych wysiłków, gdzie ci wyniesieni na wysokie urzędy mogą wygospodarować trochę czasu, żeby medytować nad ciężarem swojej odpowiedzialności.

Oglądał napisy na drzwiach naprzeciwko. Nic nowego oprócz obscenicznych treści, co działało uspokajająco. Te same stare świństwa, wyskrobane przez kogoś, kogo świerzbila wyobraźnia. Dodały mu odwagi, by zmierzyć się z własnymi problemami.

Miały one w swej istocie dwoisty charakter. Po pierwsze, miał pod opieką nieżywego człowieka. To, jak graffiti, stara historia. Ale zombie to temat na kino nocne, tak jak sodomia - na ścianę w toalecie. Nie ma dla nich miejsca w realnym świecie. To prowadzi do następnego problemu: przerażony telefon od Tommy'ego Caana, meldującego, że coś złego dzieje się w Midian. Do tych dwóch problemów po namyśle dodał teraz trzeci: doktor Decker. Nosił eleganckie garnitury, pięknie się wysławiał, ale miał w sobie coś niezdrowego. Eigerman nie żywił wobec niego żadnych podejrzeń aż do teraz, gdy siedział na

kiblu. Nagle wydało mu się to proste, jak własny drut. Ten bękart wiedział więcej, niż mówił: nie tylko o umarłym człowieku Boon'ie, lecz o Midian i o tym, co się tam działo. Jeśli w ten sposób przygotowywał najpiękniejszy koniec kariery w Shere Neck - nadszedł właśnie czas rozrachunków, pewne jak gówno, i teraz pożałuje.

A jednocześnie szef musiał podjąć jakieś decyzje. Zaczął dzień jako bohater, aresztując zabójcę z Calgary, ale instynkt mówił mu, że wydarzenia mogą bardzo szybko wyniknąć mu się z rąk. W tym wszystkim było tyle rzeczy nieuchwytnych, tyle pytań bez odpowiedzi. Istniało oczywiście łatwe wyjście. Mógł zadzwonić do swoich przełożonych w Edmonton i przekazać im ten cały pasztet, żeby się nim zajęli. Ale jeśli rezygnuje z problemu - rezygnuje z chwały. Alternatywę stanowiło działanie, teraz, przed zapadnięciem nocy. Tak powtarzał Tommy, a ile czasu zostało? Trzy, cztery godziny, żeby wypłenić wszelkie obrzydliwości Midian. Jeśli mu się powiedzie, podwoi szeregi swoich pomocników. Pewnego dnia nie tylko przywiedzie ludzkie zło przed oblicze sprawiedliwości, lecz oczyści ohydną jamę, w której zło ma swoje zaplecze: litość i współczucie.

Znów kołatały w jego głowie pytania, na które niby już odpowiedział, a nie należały do łatwych. Jeśli wierzyć lekarzom, którzy badali Boone'a i meldunkom nadchodzącym z Midian, rzeczy zasłyszane tylko w bajkach okazywały się realne. Czy naprawdę miał się zmierzyć z umarłym człowiekiem, który chodził, i z bestiami, które zabija światło słoneczne?

Siedział, wydalał i rozważał różne możliwości. Zajęło mu to pół godziny, ale wreszcie podjął decyzję. Jak zwykle, kiedy przestał się pocić, wszystko

wydawało się proste. Może dziś świat nie był tym samym światem, co wczoraj.

Jutro, za sprawą Boga, świat wyglądać będzie po staremu: umarli będą umarli, a sodomia tylko na ścianach w pewnych miejscach. Jeśli nie wykorzysta swojej szansy, by stać się mężem opatrznościowym, nigdy nie dostanie drugiej, a przynajmniej nie szybciej niż się zestarzeje i zajmie wyłącznie swoimi hemoroidami. To Bóg zesłał mu możliwość wykazania się. Nie stać go na jej zmarnowanie.

Z nowym wewnętrznym przekonaniem wytarł tyłek, podciągnął spodnie, splukał kupę i wyszedł na spotkanie ze swoim wyzwaniem. Z podniesioną głową.

- Potrzebuję ochotników, Cormack, którzy pojedą ze mną do Midian i
zaczną kopać.

- Na kiedy ich potrzebujesz?

- Teraz. Mamy mało czasu. Zacznij od barów! Weź ze sobą Hollidaya!

- A co im mówić o celu tej wyprawy? Eigerman podumał nad tym przez
chwilę: co mówić?

- Powiedz, że szukamy rabusiów grobów. To zgromadzi tłum. Każdy ze
strzelbą i łopatą się nada. Chcę, żeby zebrali się za godzinę. A nawet szybciej,
jeśli zdołacie.

Decker uśmiechnął się, kiedy Cormack ruszył w drogę.

- Teraz jest pan szczęśliwy? - spytał Eigerman.

- Cieszę się, widząc, że posłuchał pan moich rad.

- Pańskich rad, gównu! Decker tylko się uśmiechnął.

- Spieprzaj stąd pan - odezwał się Eigerman. - Mam robotę. Niech pan
wróci, jeśli zorganizuje pan sobie pistolet.

- Zaraz to zrobię.

Eigerman patrzył, jak wychodzi, potem podniósł słuchawkę telefonu.

Myślał o wykręceniu tego numeru, odkąd zdecydował się pojechać do Midian;
numeru, pod który już dawno nie miał powodu dzwonić. Zadzwoił teraz. W
parę sekund na linii pojawił się ojciec Ashbery.

- Słyszę, że ojciec zdyszał się? Ashbery od razu wiedział, kto dzwoni.

- Eigerman.

- Za pierwszym razem trafione. Czym się ojciec teraz zajmował?

- Wszedłem pobiegać.

- Dobry pomysł. Wypocić brzydkie myśli.

- Czego pan chce?

- A jak ojciec myśli? Potrzebuję księdza.

- Nie popełniłem żadnego przestępstwa.

- Nic o tym nie słyszałem.

- Nie używam, Eigerman. Boże, przebacz mi moje grzechy.

- To nie ulega kwestii.

- Więc proszę mi dać spokój.

- Proszę się nie rozłączać!

Ashbery natychmiast wyczuł niepokój w głosie Eigermana.

- No cóż - odezwał się.

- Słucham?

- Ma pan problem?

- Może obaj mamy.

- O czym pan myśli?

- Chcę, żeby ojciec pojawił się tu jak najszybciej ze wszystkimi akcesoriami w rodzaju krucyfiksów i wody święconej.

- Po co?

- Proszę mi zaufać. Ashbery zaśmiał się.

- Nie jestem na pana usługi, Eigerman. Pilnuję swojej trzódki.

- Więc niech pan to zrobi dla wiernych.

- O czym pan mówi?

- Naucza ksiądz o Sądzie Ostatecznym, prawda? No więc w Midian

zanosi się na tę chwilę.

- Jak to?

- Nie wiem kto i nie wiem dlaczego. Wiem tylko, że potrzebujemy po naszej stronie trochę świętości, a ojciec jest tu jedynym księdzem, jakiego mamy.

- To pańska sprawa, Eigerman.

- Chyba ksiądz mnie nie słucha. Mówię tutaj rozsądne gówna.

- Nie wezmę udziału w żadnej pana przeklętej grze.

- Wyrażę się jasno. Jeśli ksiądz nie pójdzie dobrowolnie, zmuszę księdza.

- Spaliłem negatywy, Eigerman. Jestem wolnym człowiekiem.

- Zachowałem kopie.

Ojciec umilkł na chwilę. A potem:

- Pan przysięgał.

- Skłamałem - padła odpowiedź.

- Ty bękarcie.

- A ksiądz nosi koronkową bieliznę. Więc kiedy ksiądz tu będzie? Cisza.

- Ashbery. Zadałem pytanie.

- Dajcie mi godzinę.

- Ma ojciec czterdzieści pięć minut.

- Pieprzę to!

- I to mi się podoba: bogobojna paniusia!

Musi panować upał, pomyślał Eigerman, kiedy zobaczył, ilu ludzi zebrali Cormack i Holliday w ciągu sześćdziesięciu minut. Upał zawsze zacietrzewia ludzi, pobudzając do cudzołóstwa albo do zabijania. A Shere Neck to miejscina o ograniczonych możliwościach, nie tak łatwo tu o seks na zawołanie, a teraz nadarzała się okazja postrzelania. Na zewnątrz w słońcu zebrano się dwudziestu mężczyzn i trzy czy cztery kobiety, które przyszły z nimi, plus Ashbery z jego wodą święconą.

W ciągu minionej godziny były jeszcze dwa telefony z Midian. Jeden od Tommy'ego, któremu nakazał wrócić na cmentarz, by pomógł Pettine'owi w pilnowaniu nieprzyjaciela, dopóki nie przybędą posiłki. Drugi telefon od samego Pettine'a, który informował Eigermana, że jeden z mieszkańców Midian podjął próbę ucieczki. Wyśliznął się przez główną bramę, podczas gdy jego wspólnicy zorganizowali dywersję. Pettine krztusił się składając meldunek, a pogoń nie powiodła się. Dlaczego? Ktoś podpalił opony w samochodach.

Pożar szybko strawił pojazdy, włącznie z odbiornikiem radiowym, przez który nadawano meldunek. Pettine wyjaśniał właśnie, że nie będzie więcej raportów, kiedy radio umilkło.

Eigerman zachował tę informację dla siebie, bo obawiał się, że ostudzi zapał innych do przygody. Zabijanie jest w porządku, ale nie miał pewności, czy znajdzie się wielu gotowych do wyruszenia, jeśli dowiedzą się, że niektórzy z tych bękartów będą się bronić.

Kiedy konwój odjeżdżał, spojrział na zegarek. Zostało im może dwie i pół

godziny dobrego światła, zanim zaczniesz się zmierzchać. Trzy kwadransy drogi do Midian, więc została godzina i trzy kwadransy, żeby załatwić tych sukinsynów, zanim noc stanie po stronie nieprzyjaciela. To wystarczy, jeśli się dobrze zorganizują. Najlepiej potraktować ich jak zwierzęta w gnieździe. Tak przypuszczał Eigerman. Wypędzić na światło i patrzeć, co się stanie. Jeśli rozejdą się w szwach, jak opowiadał szczając po nogach Tommy, to wystarczy jako dowód dla sędziego, że te istoty były nieświęte jak piekło. Jeśli nie - jeśli Decker kłamał, jeśli Pettine był znów nabuzowany, a wszystko to jakaś głupia sprawa - znajdzie kogoś, kogo się zastrzeli, żeby to nie była zmarnowana podróż. Może się po prostu odwrócić i posłać kulę zombie w celi numer pięć, człowiekowi bez pulsu, za to z krwią na twarzy.

W każdym razie nie pozwoli, żeby dzień skończył się bez czyichś łez.

Część V

DOBRA NOC

Żaden miecz cię nie dotknie.

Chyba że mój.

ANONIM

Przysięga kochanków

Rozdział XIX

SAMOTNA TWARZ

Dlaczego musiała się obudzić? Dlaczego musiał nastąpić powrót? Czy nie mogła po prostu się zanurzać, zanurzać coraz głębiej w nicość - tam, gdzie znalazła azyl? Ale nicość jej nie chciała. Nie chcąc, podniosła się z niej i wstąpiła w dawny świat bólu życia i śmierci.

Muchy odleciały. Przynajmniej to. Podniosła swoje nieruchawe ciało, zdezorientowana. Kiedy usiłowała wyczyścić zakurzone ubranie, usłyszała jakiś głos wołający ją po imieniu. Przez upiorną chwilę myślała, że to głos Sheryl; że muchom udało się doprowadzić ją do szaleństwa. Ale gdy usłyszała głos po raz drugi, przypisała go komu innemu: - Babette. To dziecko ją wzywało. Stając plecami do kuchni, podniosła torbę i ruszyła przez rumowisko na ulicę. Odkąd przeszła pierwszy raz przez jezdnię minęło wiele czasu. Zegarek rozbity w czasie upadku, nie mógł jej powiedzieć, jak wiele.

Na ulicy panował wciąż błogi spokój, ale żar południa dawno się skończył. Popołudnie też miało się ku końcowi. Wkrótce zapadnie zmrok.

Zacząła iść, ani razu nie oglądając się na restaurację. Doznała w niej dziwnego uczucia, że świat przestał być realny, ale głos Babette nakazywał odejść stamtąd, a Lori czuła się dziwnie pogodnie, jak gdyby wyjaśniły się jakieś tajniki istnienia świata.

Nawet nie zastanawiając się zbyt, wiedziała, co się stało. Jakaś istotna część jej ciała, serce czy głowa, albo - i to, i to, zawarło pokój z Midian i wszystkim, co zawierało w sobie ducha Midian. W jego kryptach nic nie znajdowało się w takim stanie, jak to, co ją spotkało w tym wypalonym

budynku: samotność zwłok Sheryl, odór postępującej zgnilizny, nieuchronność tego procesu. A z drugiej strony: potwory Midian, ulegające transformacji, budujące na nowo swój organizm, ambasadorowie jutrzejszego ciała, przypominający o ciele wczorajszym, tak pełni różnych możliwości. Czy te stwory dysponowały zdolnościami, których im zazdrościła? Umieć latać, przepoczwarzać się, poznać życie bestii, pokonać śmierć?

To, czego pożądała lub zazdrościła innym istotom gatunku ludzkiego, teraz wydawało się bezwartościowe. Marzenia o idealnej anatomii (twarz jak z popularnego serialu, proporcjonalne ciało) - pociągały ją obietnicami prawdziwego szczęścia. Puste obietnice. Wspaniałość ciała nie trwa wiecznie, oczy nie zawsze błyszczą. Wkrótce zapadną się w nicość.

A potwory były wieczne. Część jej zakazanego, „ja”. Jej mroczne, zmieniające się nocą „ja”. Tęskniła, by zostać jednym z potworów.

Wiele rzeczy musi jeszcze przemyśleć, nie tylko kwestię ich apetytu na ludzkie mięso, co na własne oczy widziała w Sweetgrass Inn. Ale można się nauczyć rozumienia. W zasadzie nie miała wyboru. Została porażona wiedzą, która zmieniła jej pejzaż wewnętrzny, nie do poznania. Nie było powrotu na niewinne pastwiska wieku młodzieńczego i wczesnej kobiecości. Trzeba iść naprzód. A na dziś wieczór znaczyło to - iść tą pustą ulicą, aby zobaczyć, co trzyma w zanadrzu nadchodząca noc.

Silnik samochodu, pracujący na wolnych obrotach po drugiej stronie ulicy, przyciągnął jej uwagę. Zerknęła w tym kierunku. Samochód miał zamknięte wszystkie okna - pomimo ciepłej pogody - co ją od razu zdziwiło. Nie widziała kierowcy; okna boczne i przednią szybę pokrywała gruba warstwa

brudu. Zaczęła jednak nabierać niepokojących podejrzeń. Z pewnością ten człowiek czekał na kogoś. A skoro na ulicy nie było nikogo innego, to ten ktoś czekał na nią.

Jeśli tak, kierowcą mógł się okazać tylko jeden człowiek, jedyny, który miał według niej powód, żeby tu się znaleźć: Decker.

Zaczęła biec.

Silnik zawarczał. Obejrzała się. Samochód ruszył z miejsca parkowania, powoli. Nie musiał się spieszyć: na ulicy ani śladu życia. Bez wątpienia powinna biec po pomoc - ale dokąd? Samochód już zmniejszył dystans o połowę. Chociaż wiedziała, że nie zdoła mu uciec, biegła dalej, a silnik warczał coraz głośniej. Usłyszała pisk opon przy chodniku. Potem samochód pojawił się tuż przy niej i dotrzymywał jej kroku.

Drzwi otworzyły się. Biegła dalej. Samochód dotrzymywał jej towarzystwa, drzwi skrobały o beton.

Teraz z wnętrza przyszło zaproszenie.

- Wsiadaj!

Bękart, jaki uprzejmy - pomyślała.

- Wsiadaj wreszcie, zanim nas aresztują!

To nie Decker. Zdała sobie z tego sprawę w nagłym przebłysku zrozumienia: to nie Decker przemawiał z samochodu. Przestała biec, a ciało czyniło wysiłki, by złapać oddech.

Samochód też się zatrzymał.

- Wsiadaj - znów powiedział kierowca.

- Kto...? - próbowała zapytać, ale płuca zachłannie zabrały cały oddech

potrzebny do wypowiedzenia paru słów.

Odpowiedź padła i tak.

- Przyjaciół Boone'a.

Wciąż stroniła od otwartych drzwi.

- Babetta powiedziała mi, jak cię znaleźć - ciągnął mężczyzna.

- Babetta?

- Wsiądziesz wreszcie? Mamy sprawę do załatwienia.

Podeszła do drzwi. Wtedy mężczyzna odezwał się:

- Nie krzycz!

Nie miała tchu, by wydać jakiś dźwięk, ale z pewnością chciałaby to

zrobić, gdy jej wzrok padł na twarz w mroku samochodu. To był jeden ze

stworów Midian, bez wątplenia, lecz nie brat wspaniałych istot, które widziała w

tunelach. Przeróżający widok, twarz surowa, czerwona jak wątróbka przed

usmażeniem. Nie wzbudziła jej zaufania, wiedziała, że mogą istnieć udawacze.

Ten stwór nie udawał jednak niczego: rany służyły za żywe świadectwo.

- Na imię mam Narcyz - powiedział. - Zaniknij drzwi, proszę! Przed

światłem. I przed muchami.

Opowiadanie jego historii, a właściwie streszczenie, zajęło mu dwie i pół przecznicy. Jak się spotkał po raz pierwszy z Boone'em, jak obaj złamali prawo obowiązujące w Midian i wyszli na powierzchnię. Po tej przygodzie została mu pamiątka, jak opowiedział Lori, rana w brzuchu, tak straszna, że nie powinna jej oglądać żadna kobieta.

- A więc wygnali cię, jak Boone'a? - stwierdziła.

- Próbowali - odrzekł. - Ale kręciłem się tam dalej, z nadzieją, że może uzyskam przebaczenie. Potem, gdy przybyli komandosi, pomyślałem sobie: cóż, to my ich tu sprowadziliśmy. Powiniennem spróbować znaleźć Boone'a.

Spróbować przerwać to, co zaczęliśmy.

- Słońce cię nie zabija?

- Może nie jestem jeszcze wystarczająco długo martwy, ale niezbyt je toleruję.

- Wiesz, że Boone jest w więzieniu?

- Tak, wiem. Dlatego prosiłem to dziecko, żeby mi pomogło cię znaleźć.

Sądzę, że razem uda nam się go wyciągnąć.

- Jak to na Boga zrobimy?

- Nie wiem - wyznał Narcyz. - Ale do cholery, lepiej spróbować. I pospieszyć się. Sprowadzili już chyba ludzi do Midian, żeby kopali.

- Nawet jeśli zdołamy uwolnić Boone'a, nie rozumiem, co możemy zrobić.

- On poszedł do komnaty Chrzciciela - odparł Narcyz, unosząc palec do warg i serca. - Rozmawiał z Bafometem. Z tego, co słyszałem, nikt inny poza

Lylesburgiem tego nigdy nie dokonał, i nie przeżył. Przypuszczam, że Chrzyciel zna jakieś sposoby. Coś, co nam pozwoli powstrzymać zagładę. Lori przypomniwała sobie przerażoną twarz Boone'a, kiedy potykając się wyszedł z komnaty.

- Nie sądzę, że Bafomet mu cokolwiek powiedział - odezwała się. -

Ledwie uszedł z życiem. Narcyz zaśmiał się.

- Uszedł, prawda? Myślisz, że Chrzyciel pozwoliłby na to bez żadnego powodu?

- W porządku... więc jak się do niego dostaniemy? Czy nie sądzisz, że strażnicy nie odstępują go na krok? Narcyz uśmiechnął się.

- Co w tym śmiesznego?

- Zapominasz, kim on jest teraz. On ma moc,

- Nie zapominam - odrzekła Lori. - Po prostu nie wiem.

- Nie powiedział ci?

- Nie.

- Pojechał do Midian, bo uważał, że winien jest przelewu krwi...

- Tyle się domyślam.

- Oczywiście, nie był winien. I dlatego stał się mięsem.

- Chodzi ci o to, że go zaatakowano?

- Prawie zabito. Ale uciekł, przynajmniej do miasteczka.

- Gdzie czekał na niego Decker - zakończyła opowieść Lori. A może rozpoczęła? - Miał cholerne szczęście, że żaden ze strzałów go nie zabił.

Uśmiech Narcyza, błakający się na jego twarzy od czasu uwagi Lori na temat pilnowania Boone'a zniknął.

- Co masz na myśli... - powiedział - ... żaden ze strzałów go nie zabił? A

jak twoim zdaniem dostał się znów do Midian? Dlaczego za drugim razem otwarto przed nim grobowiec?

Lori gapiała się na niego z pustym wyrazem twarzy.

- Nie nadążam - stwierdziła szczerze. - O czym ty opowiadasz?

- Ugryzł go Peloquin - wyjaśnił Narcyz. - Ugryzł i zaraził. Balsam dostał się do jego krwi... - Przestał mówić. - ... Chcesz, żebym mówił dalej?

- Tak.

- Balsam dostał się do jego krwi. Dał mu moc. Dał mu głód. I pozwolił, żeby wstał po tej jatce i chodził...

Mówił coraz ciszej, reagując w ten sposób na szok, który wyrażała twarz

Lori.

- On jest martwy? - wymamrotała. Narcyz kiwnął głową.

- Myślałem, że to zrozumiesz - przyznał. - Myślałem, że sobie robisz żarty... o tym pilnowaniu... Po tej uwadze nastąpiła cisza.

- Tego już za wiele - stwierdziła Lori. Zaciśnęła rękę na klamce, ale zabrakło jej siły, by otworzyć. - ... za wiele.

- Śmierć nie jest zła - odezwał się Narcyz. - Nawet nie jest taka wyjątkowa. Po prostu jest... nieoczekiwana.

- Mówisz z własnego doświadczenia?

- tak.

Odsunęła rękę od drzwi. Uleciała z niej ostatnia porcja sił.

- Nie zostawiaj mnie teraz - poprosił. Martwy, cały martwy. W jej ramionach, w jej umyśle.

- Lori, odezwij się! Powiedz coś, nawet jeśli to pożegnanie.

- Jak... możesz... żartować z tego? - spytała.

- Jeśli tanie jest śmieszne, to jakie? Smutne. Nie chcę być smutny.

Uśmiechnij się, co? Jedziemy uratować twojego kochasia, ty i ja.

Nie odpowiedziała.

- Czy milczenie jest zgodą? Wciąż nie odpowiadała.

- A więc zgoda.

Rozdział XX

PODNIĘCONY

Eigerman był tylko raz w Midian, kiedy zabezpieczał działania ekipy z Calgary poszukującej Boone'a. To wtedy spotkał Deckera, bohatera dnia, ryzykującego życie, by wyciągnąć z kryjówki swojego pacjenta. Oczywiście nie udało mu się. Cała sprawa skończyła się doraźną egzekucją Boone'a, kiedy wyszedł. I jeśli jakikolwiek człowiek powinien upaść i umrzeć, to na pewno Boone. Eigerman nigdy nie widział tylu kul w jednym kawałku mięsa. A Boone nie padł. A raczej - nie leżał długo. I chodził sobie, a serce mu nie biło, zaś ciało miało koloru martwej ryby.

Śmierząca sprawa. Eigerman chciał się schować pod ziemię, kiedy o tym myślał. I nie dlatego, żeby musiał się z kimś dzielić tym faktem. Nawet nie z pasażerami na tylnym siedzeniu, księdzem i doktorem, którzy mieli własne tajemnice. Sekret Ashbery'ego znał. Ten człowiek lubił nosić damskie majtki, a Eigerman raz przyuważył ten fakt i wykorzystywał jako okoliczność łagodzącą, gdy sam potrzebował rozgrzeszenia. Z paru występków. Ale sekrety Deckera pozostawały niewiadomą. Jego twarz niczego nie zdradzała, nawet oku tak wyćwiczonemu w rozpoznawaniu winy, jak oko Eigermana.

Przestawiając lusterko wsteczne, szef spojrział na Ashbery'ego, a ten odpowiedział posępnym wzrokiem.

- Egzorcyzmował już ojciec kogoś? - spytał księdza.

- Nie.

- A patrzył ksiądz, jak to się robi? Znów: - Nie.

- Ale ksiądz w to chociaż wierzy?

- W co?
- A Niebo i Piekło, na rany Chrystusa.
- Proszę zdefiniować te terminy.
- Co?
- Co pan rozumie przez Niebo i Piekło?
- Jezu, nie chcę tu żadnych pieprzonych dyskusji. Pan jest księdzem, Ashbery. Ksiądz powinien wierzyć w Boga. Mam rację, Decker?
- Doktor chrząknął. Eigerman nastawał.
- Każdy widział coś - czego nie umie wyjaśnić. Zwłaszcza lekarze, prawda? Miał pan pacjentów, którzy odzyskiwali mowę...
- Nie mogę stwierdzić, że miałem - odparł Decker.
- Czy to prawidłowe? To ściśle naukowe?
- Tak bym to ujął.
- Ująłby pan. A co by pan powiedział o Boonie? - nalegał Eigerman. - Czy jeśli ktoś jest cholernym zombie, to też jest fakt naukowy?
- Nie wiem - wymamrotał Decker.
- Cóż, patrzcie tylko. Mamy księdza, który nie wierzy w diabła i lekarza, który nie odróżnia nauki od własnej dupy. Czuję się naprawdę podniesiony na duchu.
- Decker nie odpowiadał. Ashbery zabrał głos.
- Pan naprawdę sądzi, że tam się coś dzieje, tak? Strasznie się pan poci.
- To niech się ksiądz nie pcha, kochanie - odparował Eigerman. - Proszę sobie tylko wyciągnąć książeczkę na temat egzorcyzmów. Chcę odesłać te świry tam, skąd do cholery przybyły. A ksiądz powinien wiedzieć, jak to zrobić.

- Obecnie istnieją i inne wyjaśnienia - odpowiedział Ashbery. - To nie

Salem. Nie jedziemy do pożaru.

Eigerman okazał teraz swoje zainteresowanie Deckerowi, rzucając od niechcienia:

- Co pan sądzi, doktorku? Może powinniśmy położyć zombie na

tapczanie? Zapytać go, czy chciał kiedyś pieprzyć swoją siostrę? - Eigerman rzucił spojrzenie Ashbery'emu. - A może ubrać go w jej bieliznę?

- Uważam, że jednak jedziemy do Salem - odrzekł Decker. W jego głosie

brzmiała jakaś nuta, której Eigerman nie słyszał wcześniej. - I myślę także, że nie ma pan pieprzonego pojęcia o tym, w co ja wierzę czy nie wierzę. I tak chce ich pan wykurzyć.

- Natychmiast - powiedział Eigerman z gardłowym śmiechem.

- A ja sądzę, że Ashbery ma rację. Pan jest przerażony.

To uciszyło śmiech.

- W dupie! - cicho stwierdził Eigerman.

Resztę drogi przebyli w milczeniu. Eigerman wyznaczał nową trasę dla konwoju. Decker obserwował, jak z każdą chwilą światło słoneczne słabnie.

Ashbery po chwili zadumy kartkował stronice o barwie łupiny cebuli w poszukiwaniu „Rytów Wypędzania”.

Pettine czekał na nich pięćdziesiąt jardów od wrót nekropolii, z twarzą osmaloną przez płonące wciąż samochody.

- Jak wygląda sytuacja? - chciał wiedzieć Eigerman.

Pettine obejrzał się na cmentarz.

- Nie ma tam żadnych oznak ruchu od czasu tej ucieczki. Ale słyszeliśmy ich.

- I jak?

- To tak, jakby usiąść na kopcu termitów - stwierdził Pettine. Coś się rusza pod ziemią. Bez wątpienia. To się czuje, tak jak się słyszy.

Decker, który jechał jednym z następnych samochodów, podszedł i przyłączył się do dyskusji; przerywając w pół słowa Pettine'owi, zwrócił się do Eigermana:

- Mamy godzinę i dwadzieścia minut do zachodu słońca.

- Potrafię liczyć - odparł Eigerman.

- Więc zacznijmy kopać.

- Ja zadecyduję kiedy, Decker.

- Decker ma rację, szefie - powiedział Pettine. - To słońca boją się te bękarty. Mówię wam, nie sądzę, że będziemy chcieli tu jeszcze być, gdy zapadnie noc. Jest ich zbyt wielu pod ziemią.

- Będziemy tu tak długo, aż sprzątniemy to gówno - odezwał się

Eigerman. - Ile wejść tam prowadzi?

- Dwa. To duże i jeszcze jedno od strony północno-wschodniej.

- W porządku. Nietrudno więc będzie ich pozbierać. Postawcie jedną z ciężarówek przed główną bramą, a wtedy rozstawimy posterunki w pewnych odstępach wokół muru, aby mieć pewność, że nikt się nie wydostanie. A jak ich zapieczętujemy, podejźmiemy.

- Widzę, że przywiózł pan pewne zabezpieczenie - skomentował Pettine, zerkając na Ashbery'ego. Eigerman zwrócił się do księdza.

- Umie ojciec pobłogosławić wodę? Poświęcić ją? '- Tak.

- Więc proszę to zrobić. Wszelką wodę, którą znajdziemy. Proszę pobłogosławić. Pokropić nią ludzi. Może to w czymś pomoże, skoro kule nie skutkują. A pan, Decker, niech się trzyma z dala od tej pieprzonej imprezy. To teraz sprawa policji.

Po wydaniu rozkazów, Eigerman ruszył w stronę wrót cmentarza. Idąc przez unoszący się kurz pojął nagle, co Pettine rozumiał przez kopiec termitów.

Pod ziemią coś się działo. Wydawało mu się nawet, że słyszy głosy, przemawiające do umysłu myślami o przedwczesnym pogrzebie. Widział już

kiedyś coś takiego, czy raczej skutki takiego faktu. Pracował łopatą przy

ekshumacji kobiety, której krzyk dobiegał spod ziemi. Miała ku temu powód:

urodziła dziecko i zmarła w trumnie. Niedorozwinięte dziecko przeżyło.

Skończyło w wariatkowie prawdopodobnie. A może tutaj, w ziemi, z całą resztą tych sukinsynów.

Jeśli tak, mógł policzyć na palcach jednej ręki minuty, które im zostały z

nędznego życia. Kiedy tylko pokażą głowy spod ziemi. Eigerman przykopie im

tak, że od razu wrócą tam, skąd się wzięli. Kulka w mózg. No, niech tylko wyjdą.

Niech spróbują się wydobyć.

Jego obcas czekał.

Decker obserwował, jak organizują się oddziały, dopóki nie zaczął się czuć nieswojo. Wtedy wycofał się na stok wzgórza. Czuł wstręt, kiedy patrzył na cudzą pracę; czuł się jak impotent. Rwał się wtedy, by pokazać, co sam potrafi. A to zawsze niebezpieczna pokusa. Bo tylko on mógł patrzeć bezpiecznie na stwardniałego do morderstwa członka, a nawet wtedy musiał zamykać oczy ze strachu, że opowiedzą, co widziały.

Odwrócił się plecami do cmentarza i rozkoszował planami na przyszłość.

Po zakończeniu procesu Boone'a będzie wolny i na nowo zacznie dzieło Maski.

Oczekiwał tego namiętnie. Znajdzie terytoria gdzieś dalej. Urządzi rzeźnię w

Manitobie i Saskatchewan, a może i w Vancouver. Robiło mu się przyjemnie

gorąco na samą myśl o tym. Prawie słyszał, jak w walizeczce, którą niósł

wzdycha przez swoje srebrzyste zęby *Stara Twarz z Guzikami*.

- Cicho. - rzekł do siebie, gdy zauważył, że odezwał się do Maski.

- Co tam?

Decker odwrócił się. O jard od niego stał Pettine.

- Mówił pan coś? - chciał wiedzieć gliniarz. *On pójdzie do muru* -

stwierdziła Maska.

- Tak - odparł Decker.

- Nie dosłyszałem.

- Tylko mówilem do siebie. Pettine wzruszył ramionami.

- Słówko od szefa. Mówił, że wkraczamy. Chce pan nam towarzyszyć?

Jestem gotowa - powiedziała Maska.

- Nie - powiedział Decker.

- Nie mamy pretensji. Pan jest tylko lekarzem od głowy?

- Tak. A o co chodzi?

- Sądzę, że wkrótce będziemy potrzebować lekarzy. Oni się nie poddadzą bez walki.

- Nie mogę pomóc. Ja nawet nie lubię widoku krwi.

Z walizeczki dobiegł śmiech, tak głośny, że Decker miał pewność, że

Pettine usłyszy. Ale nie.

- Więc proszę się trzymać w bezpiecznej odległości - zalecił i udał się na teren akcji.

Decker podniósł walizeczkę na wysokość piersi i mocno trzymał w ramionach. Słyszał, jak wewnątrz otwiera się i zamyka suwak; otwiera i zamyka.

- Zamknij się do cholery - szepnął.

Nie trzymaj mnie w zamknięciu - piszczała Maska. - Nie dzisiaj, spośród wszystkich nocy nie dzisiaj. Jeśli nie lubisz widoku krwi, pozwól mi patrzeć za ciebie.

- Nie mogę.

Jesteś moim właścicielem. Zaparłeś się mnie w Midian, pamiętasz?

- Nie miałem wyboru.

Teraz masz. Możesz wypuścić mnie trochę na powietrze. Wiesz, że ci się to spodoba.

- Zobaczą mnie.

Więc wkrótce.

Decker nie odpowiadał.

Wkrótce! - wrzasnęła Maska.

- ***Cicho. Tylko powiedz.***

- ... proszę... ***Powiedz.***

- **Tak. Wkrótce.**

Rozdział XXI

POŻĄDANIE

Na posterunku postawiono dwóch mężczyzn, aby pilnowali więźnia w celi numer pięć. Eigerman dał im jednoznaczne instrukcje. Pod żadnym pozorem nie wolno im było otwierać celi, nawet jeśli usłyszą stamtąd nie wiadomo jakie odgłosy. Żadna osoba z zewnątrz - sędzia, lekarz czy sam dobry Bóg - także nie miała dostępu do niego. A żeby wyegzekwować te polecenia i w razie potrzeby użyć siły, policjanci Cormack i Koestenbaum otrzymali klucze od zbrojowni i *carte blanche* na zastosowanie szczególnych środków, gdyby posterunek znalazł się w niebezpieczeństwie. Nie dziwiło ich to. Shere Neck prawdopodobnie nigdy już nie ujrzy więźnia, który miałby taką szansę na znalezienie się w annałach okropieństwa, jak Boone. Gdyby wymknął się spod opieki Eigermana, jego dobre imię zostałoby zhańbione od Zachodniego do Wschodniego Wybrzeża.

Była też jeszcze jedna kwestia i obaj o tym wiedzieli. Chociaż szef nie wyraził się jasno na temat kondycji więźnia, szerzyły się liczne plotki. Ten człowiek miał w sobie coś osobliwego; zawładnęły nim moce, które uczyniły zeń jednostkę niebezpieczną, nawet za zamkniętymi na klucz, zaryglowanymi drzwiami.

Cormack był zatem wdzięczny, że przypadło mu pilnowanie posterunku od frontu, podczas gdy Koestenbaumowi - samej celi. Całe to miejsce wyglądało jak forteca. Wszystkie okna i drzwi zaplombowane. Teraz pozostawało po prostu siedzieć z bronią gotową do strzału, dopóki oddział nie powróci z Midian.

To nie powinno potrwać długo. Ten rodzaj ludzkiego śmiecia, który
znajdą zapewne w Midian - ćpuny, zboczeńcy, awanturnicy - można załatwić w
parę godzin, a konwój po powrocie zmieni strażników na posterunku. Jutro
przyjedzie ekipa z Calgary, aby przejąć więźnia i wszystko wróci do
normalnego trybu. Cormack nie po to służył w policji, żeby siedzieć i się pocić.
Był w policji, bo lubił to uczucie pojawiające się w letnią noc, gdy wyjeżdżał z za-
rogu ulic South i Emmett i zmuszał jedną z zawodowych dziwek, żeby
przytknęła twarz do jego podbrzusza na pół godziny. To lubił, po to jest prawo.
A nie jakaś forteca czekająca na gówniane oblężenie.

- Na pomoc - powiedział ktoś. Usłyszał te słowa całkiem wyraźnie. Jakaś
kobieta stała pod frontowymi drzwiami.

- Proszę mi pomóc.

Takiego błagalnego apelu nie mógł zignorować. Z odbezpieczoną
strzelbą podszedł do drzwi. Nie było w nich żadnej szybki, nawet judasza, więc
nie widział osoby na schodach. Ale znów ją usłyszał. Najpierw szloch, potem
ciche stukanie, które równie szybko się skończyło.

- Musi pani iść gdzie indziej - powiedział. - Teraz nie mogę pani pomóc.

- Jestem ranna - nie był pewien, czy akurat to mówiła. Przyłożył ucho do
drzwi.

- Słyszysz mnie pani? - spytał. - Nie mogę pomóc. Proszę iść dalej, do
apteki.

Nie odpowiedział nawet szloch. Tylko słabiutki oddech.

Cormack lubił kobiety, lubił odgrywać pana i żywiciela. A nawet
bohatera, dopóki nie kosztowało go to zbyt wiele wysiłku. Wbrew zdrowemu

rozsądkowi byłoby nie otworzyć drzwi kobiecie błagającej o pomoc. Jej głos brzmiał młodo i rozpaczliwie. Serce mu zmiękło, gdy pomyślał o jej bezbronności. Sprawdził najpierw, czy Koestenbaum nie jest świadkiem łamania rozkazów Eigermana i szepnął:

- Niech się pani trzyma.

Odryglował górę i dół drzwi.

Gdy tylko otworzył je na cal, wcisnęła się przez nie ręka, a kciuk rozharatał mu twarz. O centymetr od oka, ale tryskająca krew przysłoniła mu świat. Na wpół oślepiony, rzucił się w tył, gdy na drzwi zadziałała siła od zewnątrz. Nie wypuścił jednak broni z ręki. Wystrzelił, najpierw do kobiety (chybił), potem do jej towarzysza, który biegł w stronę Cormacka skulony, aby uniknąć kul. Drugi strzał, chybiony jak pierwszy, przyniósł jednak krew. Nie osoby, do której celował, lecz jego własną. Krew, ciało i kość rozprysnęły się po podłodze.

- Jezu Chryste, cholera!

Ze zgrozą wypuścił strzelbę z ręki. Wiedząc, że nie zdoła się schylić i schwycić jej, nie tracąc równowagi, odwrócił się i zaczął podskakiwać do biurka, gdzie leżał pistolet.

Srebrny Kciuk "był już tam i połykał naboje jak pigułki.

Ponieważ obrony i wiedząc, że nie uda mu się utrzymać równowagi dłużej niż parę sekund, zaczął wyć.

Koestenbaum trwał na posterunku przed celą numer pięć. Trzymał się rozkazów. Cokolwiek działo się za drzwiami, we frontowej części budynku, miał stać i pilnować celi, broniąc jej przed atakiem. I zamierzał to wykonać, chociażby Cormack wrzeszczał wniebogłosy.

Przygryzając papierosa, odsunął zasłonkę na judaszu i przyłożył oko.

Morderca poruszył się w ciągu ostatnich paru minut, stopniowo przemieszczając się do kąta, jak gdyby ścigany przez smugę słabego światła słonecznego padającego przez malutkie okienko wysoko ponad nim. Teraz nie miał już dokąd się przesunąć. Zaklinowany w kącie, zwinięty w kłębek.

Nieruchomy, wyglądał jakby było mu wszystko jedno - jak wrak. Nie stanowił dla nikogo niebezpieczeństwa.

Pozory mylą, oczywiście. Zbyt długo Koestenbaum nosił mundur, by być naiwny. Ale umiał rozpoznać człowieka pokonanego. Boone nawet nie podniósł wzroku, kiedy Cormack wrzasnął raz jeszcze. Patrzył tylko kątem oka na sunący promień i trząsł się.

Koestenbaum zasłonił judasza i odwrócił się, aby obserwować drzwi, przez które mieli nadejść napastnicy. Zastaną go gotowego, czekającego z błyszczącym pistoletem.

Nie miał wiele czasu na kontemplowanie swego ostatniego zadania, bo wybuch wyrwał zamek i połowę drzwi, a powietrze wypełniło się odłamkami i dymem. Wypalił w to kłębowisko, widząc, że ktoś idzie w jego stronę. Ten człowiek odrzucił strzelbę, której użył do odstrzelenia drzwi i podniósł dłonie.

Błysnęły, kiedy zamachnęły się na oczy Koestenbauma. Policjant wahał się na tyle długo, by uchwycić widok twarzy swego napastnika - podobnej do czegoś, co powinno się znaleźć albo pod warstwą bandaży, albo sześć stóp pod ziemią. Potem wypalił. Kula trafiła w cel, ale nie zatrzymała mężczyzny ani o krok, a zanim mógł wypalić po raz trzeci, został przyciśnięty do ściany i zobaczył surową twarz o kilka cali od swojej. Teraz zrozumiał aż za dobrze, co błysnęło w dłoniach tego człowieka. Hak mignął o cal od jego oka. Drugi znalazł się w okolicach krocza.

- Bez czego wolisz żyć? - spytał mężczyzna.

- Nie trzeba - powiedział kobiecie głos, zanim Koestenbaum zdołał wybrać między wzrokiem a seksem.

- Pozwól mi - prosił Narcyz.

- Nie pozwalaj - wymamrotał Koestenbaum. - Proszę... nie pozwalaj!

Teraz pojawiła się kobieta. To, co było widać, wydawało się całkiem normalne, ale nie założylby się, jak wyglądała pod bluzką. Miała chyba więcej cycków niż suka. Dostał się w ręce odmieńców.

- Gdzie jest Boone? - dopytywała się.

Nie było .potrzeby ryzykowania jajami, okiem czy czymkolwiek. I tak znajdą aresztanta, z jego pomocą, czy też bez.

- Tutaj - odpowiedział, spoglądając na celę numer pięć.

- A klucze?

- Przy moim pasku.

Kobieta sięgnęła i zabrała klucze.

- Który to?

- Z niebieską tasiemką -- odrzekł.

- Dziękuję. Przeszła obok drzwi.

- Zaczekaj - odezwał się Koestenbaum.

- Co?

- ... powiedz, żeby mnie zostawił w spokoju.

- Narcyz - upomniała.

Hak odsunął się od jego oka, ale ten przy kroczu pozostał *i* uwierał.

- Musimy się pospieszyć - powiedział Narcyz.

- Wiem - odparła kobieta.

Koestenbaum usłyszał, jak otwierają się drzwi. Obejrzał się i zobaczył, że kobieta wkracza do celi. Kiedy odwrócił głowę, na jego twarzy wylądowała pięść i upadł na podłogę ze szczęką złamaną w trzech miejscach.

Cormack przeżył ten błyskawiczny atak. Kiedy nastąpił, leżał już na podłodze, więc uniknął pobicia do nieprzytomności. Znalazł się tylko w stanie oszołomienia, z którego szybko się otrząsnął. Doczołgał się do drzwi i podźwignął wolniutko na nogi. Potem pokuśtykał na ulicę. Godzina szczytu minęła, ale wciąż przejeżdżały jakieś pojazdy w obu kierunkach, a widok policjanta bez palców u stopy, który utykając wszedł na środek jezdni z uniesionymi ramionami wystarczył, by samochody zaczęły się z piskiem zatrzymywać. Ale gdy kierowcy i pasażerowie wysiadali z ciężarówek i samochodów osobowych, aby przyjść mu z pomocą, Cormack odczuł nagle spóźniony szok spowodowany wcześniejszymi wydarzeniami i jego system nerwowy uległ zablokowaniu. Wypowiadane doń słowa jawiły się w jego zamroczonej psychice jako nonsens.

Myślał (i miał nadzieję), że ktoś powiedział:

- Wezmę pistolet.

Ale nie mógł być pewny.

Miał nadzieję (modlił się), że jego wywieszony język powie im, gdzie szukać zbrodniarzy, lecz tego był jeszcze mniej pewny.

Kiedy wianuszek twarzy wokół niego zanikał, zdał sobie jednak sprawę, że krwawiąca stopa zostawiła ślad, który zaprowadzi ich do napastników.

Uspokojony, odpłynął.

- Boone - powiedziała.

Jego sine ciało, obnażone do pasa - pokryte bliznami, bez jednej brodawki - zadrżało, kiedy wymówiła jego imię. Ale nie podniósł wzroku.

- Niech się podniesie i zabieraj go, dobra?

Narczyz stał w drzwiach, gapiąc się na aresztanta.

- Nie wrzeszcz, bo nie posłucham - stwierdziła. - Zostaw nas na chwilę, co?

- Nie ma czasu na bara-bara.

- Już, wylaź!

- Okay.- Podniósł ramiona w żartobliwym geście poddania się. -- Idę.

Zamknął drzwi. Teraz była tylko ona i Boone. Żywa i umarły.

- Wstawaj - kazała. Drżał tylko.

- Wstaniesz wreszcie? Mamy mało czasu.

- Więc mnie zostawcie - odezwał się. Wzruszyło ją to; liczył się fakt, że przełamał milczenie.

- Mów do mnie - prosiła.

- Nie powinnaś wracać - w jego głosie słychać było echo klęski. -

Ryzykujesz całkiem bez sensu.

Nie tego oczekiwała. Gniewu - tak, że zostawiła go w Sweetgrass Inu.

Podejrzeń nawet - tak, że wróciła tu z kimś z Midian. Ale nie tego, że pokonany stwór będzie mamrotał, przycupnięty w kącie, jak bokser, co stoczył o tuzin rund za wiele. Czy to ten sam człowiek, którego widziała w hotelu, zmieniający

swe ciało na jej oczach? Czyjego moc i apetyt były przypadkowe? Wydawało się, że z trudem udaje mu się podnieść głowę, a gdzież dopiero mięso do ust?

Otóż i przyczyna, nagle zrozumiała. Zakazane mięso.

- Wciąż czuję ten smak - powiedział. W jego głosie dał się słyszeć wstyd:

oto człowiek, który czuł wstręt do tego, czym się stał.

- Nie odpowiadałeś za siebie - zauważyła. - Nie panowałeś nad sobą.

- Ale teraz tak - odparł. Zagłębiając paznokcie we własnych

przedramionach, jak gdyby chciał się powściągnąć. - Nie zamierzam stąd iść.

Zaczekam tu, aż przyjdą mnie powiesić.

- To na nic się nie zda, Boone - przypomniła mu.

- Jezu... - słowa przeszły w łzy. - Wiesz wszystko?

- Tak, Narcyz mi powiedział. Jesteś umarły. Więc czemu życzysz sobie,

żeby cię powiesili? I tak cię nie mogą zabić.

- Znajdą jakiś sposób - stwierdził. - Utną mi głowę. Odstrzelą mózg.

- Nie mów tak!

- Muszą ze mną skończyć, Lori. Uwolnić mnie od mojego nieszczęścia.

- Nie chcę, żebyś skończył ze swoim nieszczęściem - sprzeciwiła się.

- Ale ja chcę! - odrzekł, podnosząc na nią wzrok pierwszy raz. Widząc tę

twarz, przypomniła sobie, jak wiele dziewcząt kochało go do szaleństwa

Zrozumiała dlaczego. Można go wielbić nie tylko za cierpienie, lecz i za kości, za oczy.

- Chcę skończyć z tym - powiedział. - Z tym ciałem. Z tym życiem.

- Nie możesz. Midian cię potrzebuje. Grozi mu zniszczenie, Boone.

- Chodźmy! Chodźmy wszyscy. Midian to tylko dziura w ziemi, pełna

rzeczy, które powinny tam leżeć i umrzeć. Oni to dobrze wiedzą, wszyscy. Po prostu mają cykora, żeby zrobić to, co trzeba.

- Nic nie trzeba - powiedziała, zanim zdążyła pomyśleć (jakże długą drogę przebyła do tego ponurego relatywizmu moralnego) - poza tym, co czujesz i wiesz.

Jego wybuch gniewu powoli słabł. Zastąpił go smutek, głębszy niż kiedykolwiek.

- Czuję się umarły - odezwa[^] się. - Nic nie wiem.

- To nieprawda - odparła, czyniąc w jego stronę kilka kroków, pierwszych od wejścia do celi. Wysunął ręce, jakby się obawiał, że Lori go uderzy.

- Znasz mnie. Czujesz mnie - mówiła. Wzięła go za ramię i przyciągnęła do siebie. Nie zdążył zacisnąć pięści. Położyła jego dłoń na swoim brzuchu.

- Sądzisz, że mnie odpychasz, Boone? Sądzisz, że mnie przerażasz? Nie.

Przyciągnęła jego rękę do swojej piersi.

- Ja wciąż cię chcę, Boone. Midian także ciebie chce, ale ja chcę bardziej.

Chcę ciebie zimnego, jeśli taki jesteś. Chcę ciebie umarłego, jeśli taki jesteś. I przyjdę do ciebie, jeśli ty nie przyjdiesz do mnie. Niech mnie zastrzelą. -

- Nie - powiedział.

Uścisk na jego ręce zelżał teraz. Mógł ją wysunąć. Ale zostawił dłoń na jej ciele, okrytym tylko przez cienki materiał bluzki. Chciałaby, żeby mógł rozpuścić ten materiał na zawołanie, żeby głaskał jej skórę między piersiami.

- Prędzej czy później przyjdą po nas - stwierdziła.

I nie blefowała. Z zewnątrz dobiegały głosy. Zbierał się motłoch żądny linczu. Może i potwory żyją wiecznie. Ale ich prześladowcy również.

- Załatwią nas oboje, Boone. Ciebie za to, kim jesteś. Mnie za to, że cię kocham. I już nigdy cię nie przytulę. A ja tak nie chcę, Boone. Nie chcę, byśmy stali się pyłem unoszonym przez ten sam wiatr. Chcę, byśmy mieli ciało.

Jej język wyprzedził intencje. Nie zamierzała tego powiedzieć tak otwarcie. Ale zostało powiedziane. Prawda. Nie wstydziła się jej.

- Nie pozwolę, żebyś się mnie wyparł, Boone - powiedziała. Słowa kierowały jej gestami. Ręka powędrowała do zimnej czupryny Boone'a, ściskając garść gęstych włosów.

Nie mógł się jej oprzeć. Ręka na jej piersi zacisnęła się na bluzce, a on osunął się na kolana i przycisnął twarz do krocza Lori. Lizął je, jak gdyby język mógł zmyć ubranie i wejść w nią aż do zapomnienia, aż do stopienia się w jedno.

Pod materiałem była wilgotna, Wąchał żar, który płonął dla niego.

Wiedział, że nie kłamała. Całował jej szparę, czy też raczej materiał kryjący szparę, wciąż, i jeszcze raz, i jeszcze.

- Przebacz sam sobie, Boone - prosiła. Skinął głową.

Chwyciła go mocniej za włosy i odciągnęła od rozkosznej woni kobiety.

- Powiedz to - nalegała. - Powiedz, że przebaczasz sobie.

Podniósł wzrok, odrywając się od swojej przyjemności. Zauważyła, zanim przemówił, że ciężar hańby zniknął z jego twarzy. Pod uśmiechem Boone'a widziała oczy potwora, ciemniejące, gdy sięgał do rozkoszy.

To spojrzenie zabolowało ją.

- Proszę - wymamrotała - ... kochaj mnie!

Pociągnął ją za bluzkę. Rozdarła się. Jednym gładkim ruchem znalazł się

wewnątrz, za stanikiem, przy piersiach. To już było czyste szaleństwo. Jeśli nie wyjdą stąd szybko, pojawi się motłoch. Ale przecież szaleństwo wciągnęło ją w ten krąg pyłu i much. Czemuż dziwić się, że podróż przywiodła ją znowu do kolejnego szaleństwa? Lepsze to niż życie bez niego. Lepsze to niż właściwie wszystko.

Podnosił się na nogi, pieszczotą wydobywając pierś z ukrycia, przyciskając zimne usta do jej gorącej brodawki, szczypiąc ją, liżąc we wspaniałej grze języka i zębów. Śmierć zrobiła z niego kochanka. Dała mu wiedzę o ciele i o tym, jak je polubić; zaznajomiła go z tajemnicami ciała. Zawładnął teraz całą Lori, tarł swoimi biodrami ojej, zataczając powolne koła; sunął językiem od jej piersi do zagłębienia pomiędzy obojczykami i w górę po grani gardła aż do podbródka, a stamtąd do ust.

Tylko raz w całym swoim życiu czuła takie pożądanie. W Nowym Jorku, parę lat wcześniej, spotkała i pieprzyła się z człowiekiem, którego imienia nigdy nie poznała, ale którego ręce i wargi wydawały się znać ją lepiej, niż ona sama. - Napijemy się? - spytała, kiedy odkleili się od siebie.

Powiedział - *nie* - niemal z żalem, jak gdyby litował się nad kimś, kto nie przestrzega reguł gry. Patrzyła więc, jak się ubiera i wychodzi, zła na siebie, że go o to pytała i zła na niego za tak bezduszne odejście. Ale śniła o nim z tuzin razy w ciągu następnych tygodni, na nowo przeżywając ich bezwstydną chwilę, tęskniąc do nich jak do jedzenia.

Teraz przeżywała je znów. Boone okazał się kochankiem z mrocznego zaułka, jeszcze nawet wspanialszym. Chłodny i namiętny, szybki i wyrachowany. Tym razem знаła jego imię, ale on wciąż był dla niej obcy. W

ferworze jego opętania i jej podniecenia czuła, jak ten inny kochanek i wszyscy kochankowie, którzy przychodzili i odchodzili przed Boone'em, wypalili się teraz. Pozostał w niej tylko popiół, tam, gdzie bywały ich języki i członki. Miała nad nimi władzę absolutną.

Boone rozpiął suwak. Wzięła jego męskość do ręki. Teraz przyszła kolej na jego westchnienia, gdy przebiegała palcami po dolnej powierzchni napiętej skóry, od jąder do pierścienia blizny po obrzezaniu, z którego wylaniała się bryłka czulego ciała. Gładziła go tam delikatnymi ruchami, aby jego język nie przestał się przesuwac w przód i wstecz wewnątrz jej ust. Popchnęła go plecami do ściany, ściągnęła mu dzinsy do wysokości ud. Potem, objawszy go jednym ramieniem za szyję, drugą ręką pieściła jedwabistego członka, aż wprowadziła go w siebie. Opierał się tej szybkości; cudowna wojna żądź, która trzymała ją przez sekundy na granicy krzyku. Nigdy nie była tak otwarta, ani nawet nie potrzebowała tego. Wypełnił ją po brzegi.

A potem naprawdę się zaczęło. Po wszystkich obietnicach, dowód.

Przyciskając plecy do ściany, wygiął się, jak gdyby wrzucał w nią członka, a jej ciężar napierał z góry. Lizala mu twarz. Wyszczrzył zęby w uśmiechu. Splunęła między nie. Zaśmiał się i odplunął.

- Tak - mówiła. - Tak. Dalej. Tak.

Mogła tylko potwierdzać. Tak - na ślinę, tak - na członka, tak - na życie w śmierci i radość w życiu - w śmierci na zawsze.

Odpowiedział słodką grą bioder, działaniem bez słów, z zaciśniętymi zębami i zmarszczonymi brwiami. Wyraz jego twarzy sprawił, że szpara Lori wpadła w spazmy. Widzieć, jak zamyka oczy wobec jej rozkoszy; wiedzieć, że

widok jej rozkoszy nie pozwalała mu panować nad sobą. Mieli nad sobą taką władzę, jedno nad drugim. Swoim ruchem wymuszała jego ruch. Jedną ręką chwyciła się cegły za jego głowę, tak by mogła unieść się nad jego męskością i znów nadzieć się na pal. Nie знаła wspanialszego bólu. Chciała, żeby nigdy się nie skończył. Ale od drzwi dobiegł jakiś głos. Słyszała go jak przez mgłę.

- Szybko! To Narcyz.

- Szybko! - Boone też go usłyszał, i hałas z zewnątrz, gdzie zbierali się zwolennicy linczu. Złapał jej nowy rytm, prowadzący do szczytu.

- Otwórz oczy - kazała.

Posłuchał, uśmiechając się na to polecenie. To już za wiele dla niego - spotkać jej wzrok. Za wiele dla niej - spotkać jego wzrok. Ich pakt został zerwany, rozdzielili się, aż szpara Lori obejmowała samą główkę członka - tak śliską, że mógł z niej wypaść - a potem połączyli się w ostatnim uścisku.

Rozkosz kazała jej krzyczeć, ale zdusił ten wrzask swoim językiem, zamykając wspólną erupcją wewnątrz ich ust. Niżej było inaczej. Po tylu miesiącach postu wypuścił potop, który spłynął po jej udach, zimniejszy niż jego czoło czy pocałunki.

Narcyz wyprowadził ich ze świata kochanków. Otworzył drzwi. Patrzył bez zażenowania.

- Skończyliście? - chciał powiedzieć. Boone wytarł swoje wargi o usta

Lori, rozprowadzając ich ślinę po policzkach.

- Na razie - powiedział, wpatrując się w nią.

- Możemy zatem iść? - spytał.

- Zaraz. Wszędzie.

- Do Midian - padła natychmiast odpowiedź.

- A więc do Midian.

Kochankowie oderwali się od siebie. Lori poprawiła bieliznę. Boone usiłował schować członka, wciąż napiętego, do rozporka.

- Tam się zebrał cały tłum - powiedział Narcyz. - Jak do diabła mamy przez to przejść?

- Oni są wszyscy tacy sami - stwierdził Boone - wszyscy się boją.

Lori, odwrócona plecami do Boone'a poczuła, jak zmienia się powietrze wokół niej. Jakiś cień wpełzał na ściany z lewej i prawej, kładł się na jej plecach, całował jej kark, grzbiet, pośladki i ciało pomiędzy nimi. To była ciemność Boone'a. Był w niej powierzchnią i oddechem tej ciemności.

Nawet Narcyz okazywał napięcie.

- Święte gównu - wymamrotał, a potem szeroko otworzył drzwi, aby wpuścić noc.

Motłoch chciał igrzysk. Jedni przynieśli z samochodów pistolety i strzelby; inni, podróżujący z linami w ciężarówkach, ćwiczyli pętanie; ci bez sznurów i broni podnosili kamienie. Aby znaleźć potwierdzenie dla swych działań, nie musieli patrzeć dalej niż na rozbryzgane szczątki stopy Cormacka na podłodze posterunku. Przywódcy grupy - samozwańcy z naturalnej selekcji (mieli donośniejsze głosy i skuteczniejszą broń) - deptali właśnie po czerwonym podłożu, gdy ich uwagę przyciągnęły odgłosy z sąsiedztwa cel.

Ktoś z tyłu tłumu zaczął krzyczeć:

- Zastrzelić tych bękartów!

To nie na cieniu Boone'a skupiły się oczy zgłodniałych celu przywódców. To Narcyz. Jego zmasakrowana twarz wywołała okrzyk niesmaku gawiedzi i żądania, by z nim skończyć.

- Zastrzelić skurwysyna!

- Prosto w serce!

Przywódcy nie wahali się. Trzech z nich wystrzeliło. Jeden trafił, a kula dosięgła ramienia Narcyza i przeszła ją na wylot. Tłum zakrzyknął radośnie. Ośmieleni tą pierwszą raną, napływali na posterunek coraz liczniej. Ci z tyłu chcieli zobaczyć, jak leci krew, ci z przodu zdawali się niemal ślepi na fakt, że ich cel nie broczył ani kroplą. I nie upadł, to już zauważyli. I teraz jeden czy drugi chciał to naprawić, wypalając w Narcyza z woleja. Większość strzałów chybiła, ale nie wszystkie.

Gdy trzecia kula osiągnęła cel, wstrząsnął jednak pokojem ryk furii

bestii; rozbił lampę na biurku, a z sufitu posypał się pył.

Słyszając go, jeden czy dwóch z tych, co właśnie przekraczali próg

zmieniło zamiar. Nagle nie dbali o to, co mogą pomyśleć inni i rzucili się z

powrotem na dwór. Na ulicach było jeszcze jasno i ciepło, więc osłabiło to

trochę wrażenie straszego chłodu, jaki przebiegł po grzbietach wszystkich

tych, co słyszeli ten wrzask. Ale dla tych na czele motłochu nie było odwrotu.

Drzwi zamknęły się. Mogli tylko stać w miejscu i wymierzyć broń, kiedy z

ciemności na zapleczu posterunku wyłonił się ten, który krzyczał.

Ktoś był świadkiem zajść w Sweetgrass Inn tego ranka i poznał

mężczyznę zbliżającego się teraz do nich. To zabójca, widział, jak go

aresztowano. Znał też jego nazwisko.

- To on! - zaczął wołać. - To Boone!

Człowiek, który jako pierwszy oddał strzał do Narcyza, wycelował

strzelbę.

- Skończyć z nimi! - wrzasnął ktoś.

Człowiek wystrzelił.

Do Boone'a strzelano już wcześniej, nie tylko raz. Ta mała kulka, która

przeszyła mu pierś i zawadziła o serce, to nic. Zaśmiał się tylko i szedł dalej,

czując, że zaczyna się zmieniać, gdy wydycha powietrze. Zmieniał się w ciecz.

Rozpadał się na kropelki i stawał się czymś nowym: częściowo bestią, której

kształt odziedziczył po Peloquinie; częściowo wojownikiem cienia, jak

Lylesburg; częściowo Boone'em-szaleńcem, wreszcie zadowolonym ze swoich

wizji. A jaką rozkosz mu to dawało; uczucie, że jego moc wyzwala i przebacza;

rozkosz panowania nad ludzkim stadem; obserwowanie, jak łamie się przed

nim ten motloch.

Czuł ich podniecenie. Wywoływali w nim głód. Widział ich przerażenie i czerpał z niego siłę. Przywłaszczyli sobie władzę, samozwańcy. Arbitrzy dobra i zła, tego co naturalne i nieludzkie, usprawiedliwiający swe okrucieństwo fałszywymi prawami. A teraz zobaczą, jak działa prostsze prawo, a ich flaki zapamiętają najpierwotniejszy strach. Strach przed stanieniem się zdobyczą.

Wiali przed nim; panika wybuchła w ich niezbornych szeregach. W chaosie zapomnieli o strzelbach i kamieniach, a zew krwi przeszedł w zew ucieczki. Tratując się w pośpiechu, szarpali się i walczyli o wyjście na ulicę. Jeden ze strzelców został na miejscu, może sparaliżowany szokiem.

Obrzmiała ręka Boone'a wyrwała mu broń, a człowiek rzucił się w tłum, aby uniknąć dalszej konfrontacji.

Słońce wciąż świeciło, toteż Boone z niechęcią wyszedł na ulicę, lecz Narcyz przejawiał obojętność wobec takich drobiazgów. Szedł śmiało w świetle dnia, przemykając pośród czmychającego tłumu, aż dotarł do samochodu. Boone zauważył przegrupowanie sił. Część ludzi na odległym chodniku, uspokojona światłem słonecznym i odległością od bestii, z podnieceniem dyskutowała, czy zaatakować. Podniesiono z ziemi porzuconą broń. Tylko kwestią czasu mógł być kolejny atak, kiedy opadnie fala szoku spowodowana widokiem przeistoczenia Boone'a.

Ale Narcyz działał szybko. Był w samochodzie i zapuścił silnik, zanim Lori dotarła do drzwi. Boone ubezpieczał ją od tyłu, a dotyk jego cienia (ciągnący się jak dym) odsuwał strach, który mogłaby odczuwać przed przekształconym ciałem. Lori zauważyła, że wyobraża sobie, jak to by było:

pieprzyć się z nim w tej postaci; oddać się cieniowi i bestii.

Samochód już podjechał do drzwi z piskiem hamulców, w chmurze spalin.

- Idź! - kazał Boone, wpychając ją przez drzwi, a jego cień pokrył chodnik, aby odpędzić "wzrok nieprzyjaciela. I nie bez powodu. Strzał roztrzaskał tylną szybę, gdy tylko wskoczyła do samochodu. Potem posypał się grad kamieni.

Boone siedział już przy niej i zamykał drzwi.

- Oni zamierzają jechać za nami! - powiedział Narcyz.

- Niech jadą - odparł Boone.

- Do Midian?

- To już nie sekret.

- Racja.

Narcyz nacisnął gaz i odjechali.

- Zaprowadzimy ich do Piekła - stwierdził Boone, gdy cztery samochody wyruszyły w pogoń - jeśli tam chcą jechać.

Jego gardłowy śmiech wydobywał się z krtani potwora, którym się stał, ale wkrótce brzmiał jak typowy śmiech Boone'a, jak gdyby zawsze należał do tej bestii. W jego ludzkiej postaci nie było miejsca na tak spontaniczne poczucie humoru. Wreszcie znalazło swój cel i wyraz.

Rozdział XXII

TRIUMF MASKI

Jeśli już nigdy nie miałbym przeżyć takiego dnia - pomyślał Eigerman - nie skarżyłbym się zbytnio Bogu, gdyby ten powołał mnie już do siebie.

Najpierw widok, Boone'a w kajdankach. Potem wyniesienie niemowlęcia na oczach fotoreporterów i świadomość, że jego twarz znajdzie się na okładkach wszystkich gazet w kraju jutro rano. A teraz: wspaniały widok Midian w płomieniach.

Był to pomysł, cholernie sprytny, Pettine'a. Nalać płonącej benzyny do gardzieli grobów, aby wykurzyć na światło cokolwiek kryło się pod ziemią. Poskutkowało to lepiej niż obaj oczekiwali. Kiedy dym gęstniał a pożar się rozprzestrzenił, nieprzyjaciel nie miał wyboru, tylko musiał wyjść ze swoich nor na świeże powietrze, gdzie dobre Boże słoneczko unicestwiło błyskawicznie wielu z nich.

Jednakże nie wszystkich. Niektórzy mieli czas, by przygotować się na wyjście i chronili się przed światłem wszelkimi rozpaczliwymi sposobami. Daremny wysiłek. Przed stosem nie było ucieczki: bramy strzeżone, mury obsadzone ludźmi. Niezdolni, by uciekać w niebo, na skrzydłach, z głowami chronionymi przed słońcem, wciągnięci zostali w wir pożogi.

W innych okolicznościach Eigerman nie pozwoliłby sobie na tak otwarte rozkoszowanie się spektaklem. Te stworzenia nie były jednak ludźmi, tyle zdołał dostrzec nawet z bezpiecznej odległości. Poronione skurwiele, każdy inny; był pewien, że nawet święci pękaliby ze śmiechu, widząc jak ich wyprowadzono w pole. Sąd Diabła w tej kwestii to już osobista sprawa Pana

Boga.

To nie będzie trwać wiecznie. Wkrótce zapadnie noc. Wtedy działania przeciwko nieprzyjacielowi staną się niewidoczne i sytuacja może się odwrócić. Będą musieli zostawić płonące całą noc ognisko, a o świcie powrócić, aby wykopać tych, co przeżyli z ich zakamarków i skończyć z nimi. Przed świtem nie mają większych szans na ucieczkę w obecności krzyży i wody święconej na murach i bramach. Eigerman nie miał pewności co do tego, jaka moc może pokonać potwory: ogień, woda, światło dzienne, wiara, wszystkie te moce, czy jakieś ich połączenie. Nieważne. Najważniejsze, że posiadał moc, która roztrzaska ich głowy.

U stóp wzgórza rozległ się jakiś okrzyk, który przerwał tok myśli Eigermana.

- Musicie to przerwać!

To Ashbery. Wyglądał, jakby stał za blisko płomieni. Twarz jak na wpół ugotowana, złana potem.

- Co przerwać? - odkrzyknął Eigerman.

- Tę masakrę.

- Nie widzę żadnej masakry.

Ashbery znajdował się parę jardów od Eigermana, ale wciąż musiał przekrzykiwać hałasy dobiegające spod ziemi: odgłosy wydawane przez odmieńców i pożar przeplatały się, narastając w miarę jak żar kruszył płyty kamienne, a mauzolea waliły się.

- Nie daliście im szansy! - wrzeszczał Ashbery.

- Nie braliśmy tego pod uwagę - odparł Eigerman.

- Ale wy nie wiecie, kto tam jest pod spodem! Eigerman!... Nie wiecie, kogo zabijacie! SzeF wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Cholernie dobrze wiem - stwierdził z takim wyrazem oczu, jaki Ashbery widział tylko u wściekłych psów. - Zabijam umarłych, i co w tym złego? Co? Niech ksiądz odpowie, Ashbery. Co złego w tym, że zmuszam umarłych do tego, by pozostali w ziemi i byli umarłymi?

- Tam są dzieci, Eigerman - odpowiedział Ashbery, wskazując palcem na Midian.

- O tak. Z oczami jak przednie światła w samochodzie! I zębami! Widział ksiądz zęby tych pierdolców? To dzieci Diabła, Ashbery.

- Pan postradał zmysły.

- A ksiądz nie ma jaj i nie wierzy w to, prawda? W ogóle bez jaj!

Zrobił krok w stronę księdza i chwycił go za sutannę.

- A może wolisz ich niż nas, tak, Ashbery? Czujesz zew dzikości, prawda?

Ashbery wyrwał szatę z uchwytu Eigermana. Rozdarła się.

- W porządku - powiedział. - Próbowałem dyskutować z panem. Jeśli macie takich bojących się Boga oprawców, to może człowiek Boga ich zatrzyma.

- Zostaw w spokoju moich ludzi! - odezwał się Eigerman.

Ashbery znajdował się już jednak w połowie drogi od wzgórza, a jego głos unosił się ponad tunelem.

- Przestańcie! - krzyczał. - Odlóżcie broń!

Dokładnie naprzeciwko głównych wrót, widoczny był dla sporej liczby

ludzi Eigermana, i chociaż niewielu z nich odwiedziło kościół od czasu ślubu czy chrztu, teraz usłuchali go. Chcieli jakiegoś wytłumaczenia faktów, które obserwowali przez ostatnią godzinę. Mieli szczęście, że nie musieli w tym bezpośrednio uczestniczyć, ale intuicyjnie czuli, że to ich własne głęboko skrywane wizje i trzymali się z daleka, pod murami, szepcząc modlitwy z dzieciństwa.

Eigerman wiedział, że tylko w jego obecności ludzie zachowają dyscyplinę. Nie słuchali go dlatego, że kochali prawo. Byli posłuszni Eigermanowi, bo bardziej bali się wycofać na oczach towarzyszy, niż wykonywać zadania. Byli posłuszni, bo nie mogli oprzeć się pokusie patrzenia przez szkło powiększające na mrówki, bezbronne, zdane całkowicie na ich łaskę. Byli posłuszni, bo tak w ogóle jest prościej.

Ashbery mógł zmienić ich nastawienie. Nosił sutannę, umiał głosić kazania. Jeśli mu nie przeszkodzi, gotów zepsuć wszystko.

Eigerman wyjął pistolet z kabury i ruszył w dół wzgórza za księdzem.

Ashbery zobaczył, że nadchodzi, zobaczył pistolet w jego ręce.

Podniósł jeszcze głos.

- Nie tego chce Bóg! - krzyczał. - Ani wy tego nie chcecie, nie chcecie niewinnej krwi na swoich rękach.

Ksiądz od siedmiu boleści, pomyślał Eigerman, rozgrzeszając się z winy.

- Zamknij gębę, palancie! - wrzasnął. Ashbery nie miał takiego zamiaru, nie teraz, kiedy widział swoją publiczność jak na dłoni.

- Tam nie ma zwierząt! - stwierdził. - To ludzie. A zabijacie ich tylko dlatego, że każe wam ten szaleniec.

Słowa księdza potraktowano poważnie, nawet wśród ateistów. Wyrażał wątpliwości, które nosili w sobie, ale nikt nie ośmielił się z nimi zdradzić. Pół tuzina nie umundurowanych ludzi zaczęło się wycofywać do swoich samochodów, a cały entuzjazm towarzyszący eksterminacji wyparował. Jeden z ludzi Eigermana także opuścił posterunek przy bramie, najpierw idąc powoli, a potem biegnąc, kiedy dowódca oddał strzał w jego kierunku.

- Zostań na miejscu! - ryknął. Ale człowiek już zniknął w tumanie dymu.

Eigerman znów skierował swój gniew na Ashbery'ego.

- Mam złe nowiny - powiedział, zbliżając się do księdza.

Ashbery spojrział na prawo i lewo, czy ktoś go obroni, ale nikt się nie poruszył.

- Zamierzacie tak patrzeć, jak on mnie zabije? - zawołał. - Na litość boską niech mi ktoś pomoże.

Eigerman wycelował pistolet. Ashbery nie miał zamiaru uciekać przed kulą. Padł na kolana.

- Ojcze nasz... - zaczął.

- Mów za siebie, minciarzu - mruknął Eigerman. - Nikt cię nie słucha.

- Nieprawda - powiedział ktoś.

- Co?

Modlitwa umilkła.

- Ja słucham.

Eigerman obrócił się plecami do księdza. Jakaś postać wylonila się z dymu o dziesięć jardów od niego. Wymierzył pistolet w kierunku przybysza.

- Kim jesteś?

- Słońce prawie zaszło - odparł tamten.

- Jeszcze jeden krok, a cię zastrzelę.

- Więc strzelaj - stwierdził mężczyzna i postąpił w stronę pistoletu.

Strzępy spalenizny, które przywarły do niego, teraz uleciały i oczom Eigermana

ukazał się więzień z celi numer pięć. Jasna skóra, jeszcze jaśniejsze oczy.

Zupełnie nagi. Pośrodku klatki piersiowej widniała dziura po kuli, a inne rany

wokoło zdobiły jego ciało.

- Umarły - powiedział Eigerman.

- A załóż się!

- Panie Jezu!

Cofnął się o krok, potem drugi.

- Może dziesięć minut do zachodu słońca - odezwał się Boone. - Potem

świat należy do nas. Eigerman potrząsnął głową.

- Nie weźmiesz mnie. Nie pozwolę ci się wziąć!

Cofał się coraz szybciej i nagle rzucił się do ucieczki, nie oglądając się.

Gdyby obejrzał się, zobaczyłby, że Boone nie zamierza go ścigać. Zamiast tego

podążał do obleżonych wrót Midian. Ashbery tam klęczał.

- Wstawaj - kazał mu Boone.

- Jeśli zamierzasz mnie zabić, zrób to, dobrze? - odezwał się Ashbery. -

Skończ już z tym.

- Czemu mam cię zabić? - spytał Boone.

- Jestem księdzem.

- No i?

- Ty jesteś potworem.

- A ty nie?

Ashbery podniósł wzrok na Boone'a.

- Ja?

- Nosisz koronki pod sutanną, Ashbery zakrył rozdarte poły szaty.

- Czemu to ukrywasz?

- Daj mi spokój.

- Przebacz sam sobie - stwierdził Boone. - Ja to zrobiłem.

Poszedł za Ashberym do bramy.

- Zaczekaj! - powiedział ksiądz.

- Na twoim miejscu poszedłbym stąd jak najszybciej. Nie lubią tu widoku sutanny. Złe wspomnienia.

- Chcę patrzeć - zdecydował Ashbery.

- Dlaczego?

- Proszę, weź mnie ze sobą!

- Na twoje ryzyko.

- Podejmę je.

Z oddali trudno było się zorientować, co się dzieje przy bramie cmentarza, ale co do dwóch faktów doktor miał pewność: Boone wrócił i w jakiś sposób pokonał Eigermana. Dostrzegłszy jego przybycie, Decker schronił się w jednym z samochodów policyjnych. Siedział tam teraz, z walizeczką w ręce, próbując ułożyć plan następnej akcji.

Było to trudne - dwa głosy radziły zupełnie co innego. Jego oficjalne „ja” nakazywało mu, by się wycofał, zanim wypadki potoczą się jeszcze niebezpieczniej.

Odejdź teraz - mówiło. Po prostu odejdź. Niech wszyscy razem zginą.

Tkwiała w tym jakaś mądrość. Kiedy zapadnie noc, a Boone poprowadzi mieszkańców Midian, mogą zwyciężyć. A jeśli im się uda, znajdą Deckera i wyrwą mu serce z piersi.

Drugi głos jednakże prosił o uwagę.

Zostań - mówił.

Głos Maski, dobiegający z walizeczki na kolanach.

Już raz się mnie wyparłeś - powiedział głos. Tak było - przyznał, wiedząc, że nadejdzie czas na spłatę długów.

- Nie teraz - szepnął.

Teraz - mówiło drugie „ja”.

Wiedział, że racjonalne argumenty nie znaczą nic dla tego głosu, błaganiem też nic nie działa.

Użyję twoich oczu. Mam coś do zrobienia - stwierdził głos.

Cóż widział głos, czego Decker nie dostrzegł? Wyjrzał przez okno.

Nie widzisz jej?

Teraz zobaczył. Zafascynowany Boonem, nagim u bramy, przeoczył innego przybysza na pole bitwy: kobietę Boone'a.

Widzisz tę sukę? - spytała Maska.

- Widzę ją.

Świetnie się składa, co? W tym chaosie ktoś spostrzeże, jak ją wykończę? Nikt. A kiedy ona zginie, nie zostanie nikt, kto zna nasz sekret.

- Jest jeszcze Boone.

On nigdy nie złoży zeznania - zaśmiała się Maska. Jest umarłym człowiekiem, na litość boską. Co warte słowo zombie, powiedz tylko?

- Nic - stwierdził Decker.

Właśnie. On nie stanowi dla nas niebezpieczeństwa. Ale kobieta - tak.

Uciszmy ją.

- Przypuśćmy, że ktoś cię zobaczy, co wtedy? *No to przypuśćmy -*

odparła Maska. - *Pomyślą, że jestem jednym z członków klanu Midian.*

- Ty nie - zaproponował Decker.

Myśl, że jego wartościowe Drugie Istnienie może być policzone między tych degeneratów z Midian, przyprawiła go o mdłości.

- Ty jesteś czysta - oznajmił.

Pozwól mi to udowodnić - domagała się Maska.

- Ale tylko kobieta? Tylko kobieta. *Potem odjeżdżamy.* Wiedział, że ta rada ma sens. Nigdy nie znajdą lepszej sposobności, by zabić tę sukę.

Zaczął otwierać zamek walizeczki. Rosło podniecenie Maski ukrytej w

środku.

Szybciej, bo nam umknie!

Palce ślizgały się po przyciskach, gdy wybierał szyfr.

Szybciej, cholera!

Ostatni przycisk zaskoczył. Zamek otworzył się.

Stara Twarz z Guzikami nigdy nie wyglądała pięknie.

Chociaż Boone radził Lori zostać z Narcyzem, widok płonącego Midian wystarczył, by jej towarzysz zapomniał o bezpieczeństwie i zszedł ze wzgórza do bramy cmentarza. Szła przez pewien czas za nim, ale jej obecność wydawała się zakłócać jego smutne myśli, więc została kilka kroków z tyłu, a dym i gęstniejący mrok rozdzielił ich wkrótce.

Przed nią roztaczał się obraz totalnego zamieszania. Odkąd Boone przegonił Eigermana nie udawał się żaden atak na nekropolię. I jego ludzie, i cywile wycofali się spod murów. Niektórzy już odjechali. Większość bojąc się tego, co nastąpi wraz ze zniknięciem słońca za horyzontem. Ci, którzy zostali przygotowywali się wprawdzie do odparcia ataku, ale hipnotyzował ich ten spektakl zniszczenia. Wodzili wzrokiem po sobie, szukając jakiegoś znaku swoich uczuć, ale ich twarze były puste. Wyglądają jak maski śmierci pomyślała Lori - niezdolni, by zareagować. Ale Lori знаła teraz śmierć i umarłych. Chodziła z nimi, rozmawiała z nimi. Widziała, jak czują i płaczą. Kimże zatem byli prawdziwi umarli? Istotami o nie bijącym sercu, wciąż wrażliwymi na ból, czy też ich szklistookimi prześladowcami?

Prześwit wśród kłębow dymu odsłonił słońce, zmierzające na skraj świata. Czerwone światło oślepiło ją. Zamknęła przed nim oczy.

W ciemności usłyszała jakiś oddech niedaleko za sobą. Otworzyła oczy i zaczęła się odwracać, przeczuwając, że nadchodzą kłopoty. Zbyt późno, by ich umknąć. Maską znajdowała się o jard od niej i wciąż się przybliżała.

Sekundy minęły, zanim dosięgną! ją nóż, ale to wystarczyło, by

zobaczyła Maskę tak dokładnie, jak nigdy przedtem. Oto i pustka twarzy wprost idealna; ludzki diabeł przekuty w mit. Nie trzeba go nazywać Deckerem. To nie był Decker. Nie trzeba nazywać go czymkolwiek. Był tak bezimienny, jak ona bezbronna, by go powstrzymać.

Ciachnął jej ramię. Jeszcze raz, i jeszcze raz.

Tym razem nie miał czasu na szyderstwa. Przyszedł tylko, żeby ją zgładzić.

Rany bolały. Instynktownie przyłożyła do nich rękę, a ten ruch dał mu sposobność, by kopniakiem zbić ją z nóg. Nie miała czasu, by zamortyzować upadek. Straciła oddech. Łapiąc powietrze, obróciła twarz do ziemi, aby uchronić ją przed nożem. Ziemia pod nią jakby zadrżała. Złudzenie, zapewne. A jednak to się powtórzyło.

Zerknęła na Maskę. Ona także poczuła drzenie i spoglądała w stronę cmentarza. To osłabienie uwagi było jedyną szansą dla Lori i musiała ją wykorzystać. Wytoczyła się z cienia rzucanego przez Maskę i podniosła na nogi. Nie widziała ani śladu Narcyza, ani Rachel, ani nadziei na pomoc ze strony policjantów o zamarłych twarzach, którzy zapomnieli o czujności i uciekali od dymu, gdy nasiliły się wstrząsy. Z oczami utkwionymi w bramie, którą przechodził Boone, schodziła potykając się ze wzgórze, a stopy jej wzbijały kurz.

Midian było źródłem tego całego poruszenia. Jego odpowiedź, zniknięcie słońca, a co za tym idzie - światła, które trzymało Plemię pod ziemią. To odgłosy przez nich wydawane zatrzęsły ziemią. Niszczyli swój azyl. To, co znajdowało się pod ziemią, nie mogło dłużej tam pozostać.

Nocne Plemię powstało.

Ta świadomość nie powstrzymała Lori od dalszego marszu. Już dawno zawarła pokój z tym wszystkim, co istniało za bramą. Mogła liczyć na miłosierdzie. A po zgrozie za plecami, pelznącej krok za krokiem, nie mogła się spodziewać niczego dobrego.

Jej drogę oświetlały teraz tylko ognie wydobywające się z grobowców; drogę usłaną śmieciami oblężenia. Puszki po ropie, łopaty, porzucona broń.

Była już prawie u bramy, gdy ujrzała nagle Babette stojącą tuż pod murem z twarzą ściętą grozą.

- Biegnij! - krzyknęła, bojąc się, że Maska zrani dziecko.

Babette zrobiła, jak jej kazano. Jej ciało wydawało się topić, zmieniać w bestię, gdy odwróciła się i uciekała przez bramę. Lori szła kilka kroków za nią, lecz zanim przekroczyła próg, dziecko już zniknęło w dymie wypełniającym alejki. Tutaj wstrząsy miały taką siłę, że przemieszczały płyty kamienne i wywracały mauzolea, jak gdyby jakaś siła podziemia - może Bafomet, Który Stworzył Midian - trzęsła fundamentami, aby całe miejsce zamienić w ruinę. Nie przewidywała tak gwałtownego obrotu sprawy. Miała nikle szansę przetrwania tego kataklizmu.

Lepiej jednak dać się pogrzebać pod rumowiskiem niż ulec Masce. W końcu lepiej zginąć w chwale, a Los dawał jej wybór drogi zagłady.

Rozdział XXIII

MĘCZARNIA

Kiedy siedział w celi w Shere Neck, męczyły go wspomnienia o labiryncie Midian. Gdy zamykał oczy przed słońcem, sądził, że nie zdoła ich znów otworzyć, by dostrzec płataninę labiryntu w liniach papilarnych palców i w żyłach na ramionach. Żyłach nie przewodzących ciepła. Wszystko to przypominało mu, jak Midian, o jego hańbie.

Lori przerwała ten zakłęty krąg rozpacz. Przyszła, nie żeby błagać, lecz żeby żądać, aby sam sobie przebaczył.

Teraz, znalazłszy się z powrotem w alejkach, gdzie narodził się jako potwór, czuł, że miłość Lori tchnęła weń życie, a sądził, że życie się już dla niego skończyło.

W tym pandemonium Boone potrzebował pocieszenia. Nocne Plemię nie niszczyło, ot tak, po prostu, Midian. Członkowie Plemienia niszczyli każdy trop wiodący do nich. Widział, jak wszędzie uwijali się, aby skończyć to, co zaczął bicz Eigermana. Zbierali szczątki fragmenty swoich umarłych i rzucali je w płomień, palili ich łóżka, ubranie, wszystko, co mogliby ze sobą zabrać.

Były to nie tylko przygotowania do ucieczki. Obserwował członków Plemienia przybierających kształty, jakich nigdy przedtem nie dane mu było widzieć: rozwijali skrzydła, rozprostowywali kończyny. Jednostki stawały się mnogością (człowiek - gromadą); mnogość zmieniała się w jednostkę (trzech kochanków - w chmurę). Wszędzie wokół - ryty odejścia.

Ashbery, napięty, wciąż trzymał się boku Boone'a.

- Dokąd oni idą?

- Spóźniłem się - powiedział Boone. - Opuszczają Midian.

Pokrywa grobowca przed nimi odpadła i jakieś widmo uleciało w nocne niebo jak rakieta.

- Pięknie - stwierdził Ashbery. - Czym oni są? Dlaczego nigdy ich nie poznałem?

Boone potrząsnął głową. Jakże miał opisywać Plemię takim, jakie było w dawnej postaci. Nie należało do Piekła, ani do Nieba. Stanowiło gatunek, do którego należał teraz Boone, a ten związek stawał się nie do zniesienia. Nie-ludzie, anty-szczep, ludzki worek rozwiązany i zszyty na powrót z księżycem w środku.

A teraz, zanim zdołał ich poznać, i kiedy poznał właściwie z własnego doświadczenia - tracił ich. W swoich komórkach znajdowali siłę do odlotu i wznosili się w noc.

- Za późno - powiedział znów, a ból rozstania sprawił, że w jego oczach pojawiły się łzy.

Ucieczka członków Plemienia nabierała rozpędu. Wszędzie otwierały się drzwi, przewracały płyty kamienne, a duchy pojawiały się w niezliczonych kształtach. Nie wszystkie ulatywały. Niektóre wychodziły jako koziół czy tygrys i biegły przez płomienie do bramy. Większość występowała samotnie, lecz część (ani śmierć, ani Midian nie osłabiły ich płodności) szła z rodzinami liczącymi sześć i więcej osób, niosąc najmłodsze dzieci na rękach. Boone był świadkiem mijania pewnej epoki; końca, który zaczął się w chwili, gdy po raz pierwszy postawił stopę na terytorium Midian. Boone miał świadomość tego. To on stał się sprawcą zniszczenia, chociaż nie podpalił ani nie przewrócił

żadnego grobowca. Ale on przyprowadził do Midian ludzi. Dokonując tego, zniszczył miasto. Nawet Lori nie mogła go nakłonić, by rozgrzeszył się z tego. I ta myśl kusila, by rzucić się w płomienie. Ale usłyszał dziecko wołające jego imię.

Dziewczynka zachowała ludzką postać w stopniu pozwalającym używać słów.

- Lori - powiedziała.

- Co z nią?

- Złapała ją Maska.

Maska? To mógł być tylko Decker.

- Gdzie?

Blisko, coraz bliżej.

Wiedząc, że nie może go wyprzedzić, spróbowała go uniknąć i iść tam, gdzie, jak miała nadzieję, on nie pójdzie. Ale on zbyt się napalił na jej życie, aby dać się wykiwać. Podążył za nią na obszar, gdzie ziemia eksplodowała pod stopami, a wokół padał deszcz dymiących kamieni.

Ale to nie jego głos zawołał:

- Lori! Tędy!

Rzuciła rozpaczliwe spojrzenie, a tam - Boże, błogosław go! - stał Narcyz.

Skinął na nią. Zeszła ze ścieżki, a właściwie czegoś, co kiedyś nazywało się ścieżką, w jego stronę, nurkując między mauzoleami, kiedy rozlatywały się witraże, a w smudze cienia znajdowały schronienie gwiazdy. Podziwiała ten skrawek nocnego nieba. Należał do Pana Niebios.

Zapatrzona, zwolniła krok i to okazało się fatalne w skutkach. Maska zmniejszyła odstęp między nimi i chwyciła ją za bluzkę. Rzuciła się do przodu, aby uniknąć pchnięcia, które powinno nastąpić, upadła, rozdzierając materiał.

Tym razem człowiek-Maska miał ją. Gdy złapała się muru, aby podźwignąć ciało na nogi, poczuła dłoń w rękawiczce na karku.

- To ten skurwysyn? - krzyknął ktoś.

Podniosła wzrok i ujrzała Narcyza na drugim końcu przejścia między mauzoleami. Sprytnie zwrócił na siebie uwagę Deckera. Uchwyt na jej szyi zelżał. Nie wystarczyło to, aby wyśliznęła się na wolność, ale gdyby Narcyz zdołał skupić na sobie uwagę, sztuczka mogła się udać.

- Mam coś dla ciebie - powiedział i wyjął ręce z kieszeni, aby pokazać srebrzyste haki na kciukach.

Uderzył hakami o siebie. Posypały się iskry.

Decker pozwolił szyi Lori wysliznąć się z jego palców. Poza zasięgiem

Deckera, zaczęła z trudem iść do Narcyza. On kroczył przejściem w jej stronę, a raczej w stronę Deckera, w którym utkwiał wzrok.

- Nie - wysapała. - On jest niebezpieczny.

Narczyz usłyszał, wyszczerzył zęby na to ostrzeżenie, ale nie

odpowiedział. Sunął tylko dalej do niej, żeby zastąpić drogę zabójcy.

Lori obejrzała się. Kiedy parę mężczyzn dzielił jard, Maska wyciągnęła z

kieszeni drugi nóż, o ostrzu szerokim jak maczeta. Zanim Narczyz zaczął się

bronić, rzeźnik wykonał szybkie cięcie w dół, które za jednym zamachem

oddzieliło lewą rękę Narcyza w nadgarstku od reszty ciała. Potrząsając głową,

Narczyz zrobił krok wstecz, lecz człowiek-Maska zdążył, podniósł maczetę po

raz drugi i zagłębił w czaszce ofiary. Cięcie rozplatało głowę Narcyza od skalpu

po kark. Takiej rany nie przeżyłby nawet żywy człowiek. Ciało Narcyza zaczęło

się trząść, a potem, jak Ohnaka w potrzasku światła słonecznego, z trzaskiem

rozpadło się, wydając przy tym cały chór skowytów i jęków i uleciało.

Lori wydała jeden jęk, ale stłumiła następne. Nie było czasu na

oplakiwanie. Jeśli będzie czekała i uрони choćby łzę, Maska dopadnie ją, a całe

poświęcenie Narcyza pójdzie na marne. Zaczęła się cofać. Po obu jej stronach

drżały mury. Wiedziała, że powinna biec, ale nie mogła się oderwać od widoku

Maski. Tkwiąc wśród owoców swej rzezi, Decker nadział połówkę głowy Nar-

czyza na ostrze wspanialszego ze swych noży, potem oparł nóż na ramieniu, jak

trofeum, zanim podjął pogoń.

Teraz wybiegła z cienia mauzoleów na główną aleję. Nawet jeśli pamięć mogła jej dać jakieś wskazówki, wszystkie pomniki wyglądały już tak samo: jedno rumowisko. Nie odróżniłaby północy od południa. Gdziekolwiek by się nie odwróciła - te same ruiny i ten sam prześladowca. Jeśli miał za nią iść wiecznie (a zamierzał), po cóż żyć w strachu? Niech skończy z tym w swoim stylu, na ostro. Jej serce nie zdoła już bić szybciej.

Gdy tak przygotowywała się, by pójść pod nóż, wybrukowany odcinek alejki między nią a jej rzeźnikiem otworzył się z trzaskiem i kłęb dymu oddzielił ją od Maski. Chwilę później rozstała się cała alejka. Upadła. Nie na ziemię. Nie było już ziemi. Upadła w ziemię.

- ...upada! - powiedziało dziecko. Szok niemal wytrącił ją z ramion

Boone'a. Podtrzymał ją. Gwałtownie schwycił go za włosy.

- Już dobrze? - spytał.

- Tak.

Dziecko sądziło, że towarzystwo Ashbery'ego nie było im potrzebne.

Zostawili go więc samemu sobie w wirze wydarzeń, a oni poszli szukać Lori.

- Naprzód - powiedziała swojemu oddziałowi. - To niedaleko.

Ogień dogasał, pożarłszy wszystko, czego mógł dotknąć swoim

językiem. Zimną cegłę mógł tylko wylizać na czarno, potem wyźłobić. Ale

podziemne wstrząsy nie ustały. Wciąż drżał kamień na kamieniu. A poprzez

odbite dźwięki przedzierał się inny odgłos. Boone nie tyle słyszał go, co czuł:

wnętrzościami, jądrami, zębami.

Dziecko siłą woli odwróciło jego głowę.

- Tędy - odezwało się.

Pożar wygasał, więc było łatwiej iść, ale jasność źle wpływała na oczy

Boone'a. Przyspieszył, chociaż alejki zostały zatarasowane przez zwały ziemi.

- Daleko to? - spytał.

- Cicho - odparła.

- Co?

- Bądź cicho.

- Ty też to słyszysz? - upewniał się.

- Tak.

- Co to?

Nie odpowiedziała od razu, lecz jeszcze nasłuchiwała.

Potem odezwała się:

- Bafomet.

W areszcie nieraz myślał o komnacie Chrzyciela, o czasie chłodu, który spędził jako świadek podzielonego Boga. Czyż nie wyjawił mu prorocत्व? Czyż nie szeptał do jego głowy i żądał, by słuchał? Widział tę ruinę. Powiedział, że nadciąga ostatnia godzina Midian. Ale nie rzucał oskarżeń, chociaż musiał wiedzieć, że rozmawia z człowiekiem odpowiedzialnym za wszystko. Zamiast tego wydawał się niemal przyjazny, co przeraziło go bardziej niż jakikolwiek atak. Nie mógł być powiernikiem tego, co boskie. Przyszedł zwrócić się do Bafometa jako jeden z nowych umarłych, żądający miejsca pod ziemią. Został jednak powitany jak aktor w jakimś przyszłym dramacie. Nazwany nawet innym imieniem. Nie chciał tego. Ani przepowiedni, ani imienia. Przeciwstawiał się, odwrócił plecami do Chrzyciela, wyszedł potykając się i wytrząsając z głowy owe szepty.

Nie powiodło mu się. Na myśl o obecności Bafometa, jego słowa i nowe imię powróciły jak Furie.

- Jesteś Cabal - powiedziano mu.

Wtedy wyparł się tego; wyparł się tego i teraz. Litował się nad tragedią Bafometa, zdając sobie sprawę, że nie może uciec przed zniszczeniem, lecz pilniejsze sprawy domagały się jego współczucia.

Nie mógł ocalić Chrzyciela. Ale mógł ocalić Lori.

- Ona jest tam! - powiedziało dziecko.

- Którędy?

- Naprzód! Patrz!

Widać było tylko chaos. Alejka przed nimi rozstąpiła się; światło i dym wydobyły się przez pękniętą ziemię. Żadnych oznak życia.

- Nie widzę jej -- stwierdził.

- Jest pod ziemią - odparło dziecko. - W jamie.

- Prowadź mnie tam.

- Nie mogę iść dalej.

- Dlaczego nie?

- Postaw mnie! Doprowadziłam cię tak daleko, jak mogłam. -Ledwie

skrywana panika dała się słyszeć w jej głosie. - Postaw mnie! - nalegała.

Boone przykucnął, a dziecko wysliznęło się z jego ramion.

- Coś nie tak? - spytał.

- Nie wolno mi iść z tobą. To niedozwolone. Po całej zgrozie, przez którą przebrnęli, jej przerażenie mogło dziwić.

- Czego się boisz? - wypytywał.

- Nie mogę patrzeć - odrzekła. - Nie na Bafometa.

- To tutaj?

Kiwnęła głową, odstępując od niego, gdy następny wstrząs poszerzył szczelinę przed nimi.

- Idź do Lori - powiedziała. - Zabierz ją. Jesteś wszystkim, co ona ma.

Potem odeszła. Z dwóch nóg zrobiły się cztery, kiedy uciekała, zostawiając Boone'a przed jamą.

Lori straciła świadomość podczas upadku. Gdy doszła do siebie parę sekund później, leżała w połowie wysokości urwiska. Strop ponad nią wciąż był nienaruszony, ale strasznie popękany. Na jej oczach ukazywały się pęknięcia, zapowiadając całkowite zawalenie się. Jeśli nie ruszy stąd szybko, zostanie pochowana żywcem. Spojrzała ku szczytowi stromizny. Tunel poprzeczny otwierał się na niebo. Zaczęła czołgać się w jego stronę, a ziemia sypała się jej na głowę i ściany trzeszczały, jak gdyby coś zmuszało je do poddania się.

- Jeszcze nie... - mamrotała. - Proszę, jeszcze nie...

Gdy znalazła się już o sześć stóp od szczytu, jej przytępione zmysły rozpoznały tę stromiznę. To, po tej pochyłości odciągała Boone'a od siły mieszkającej w komnacie na dnie. Czy wciąż jeszcze patrzyła na gramolącą się Lori? A może cały kataklizm stanowił dowód jej odejścia, coś w rodzaju pożegnania architekta? Nie czuła istnienia tej siły, ale w ogóle niewiele odczuwała. Jej ciało i umysł działały zgodnie z instynktem. Na szczycie stromizny było życie. Cał za całem pełzła na jego spotkanie.

Jeszcze minuta - i dotarła do tunelu, a właściwie ścian bez dachu. Przez chwilę leżała na plecach, gapiąc się w niebo. Odetchnąwszy, podniosła się i zbadła zranione ramię. Rany oblepiły się brudem, ale przynajmniej krew przestała płynąć.

Gdy starała się poruszyć nogami, coś mokrego padło w pył przed nią. To Narcyz; spojrzał na nią połową swojej twarzy. Wyszlochała jego imię i odwróciła wzrok. Dostrzegła Maskę. Decker siedział okrakiem nad tunelem, jak

grabarz, potem rzucił się w dół za nią.

Wymierzył ostrze w jej serce. Jeśli miałby więcej sił, wcelowałby bezbłędnie, ale ziemia u szczytu urwiska ustąpiła jej spod nóg, gdy zrobiła krok wstecz, tak, że nic nie powstrzymało jej przed upadkiem i pokoziołkowała w dół zbocza...

Jej krzyk wskazał Boone'owi kierunek. Przedostał się przez zwalone płyty kamienne do otwartych tuneli, potem przez labirynt przewróconych murów i gasnącego ognia - w jej stronę. Ale to nie jej postać ujrzał w przejściu przed sobą, lecz kogoś z nożami gotowymi do ciosu.

To wreszcie był doktor.

Ze stromizny, z miejsca mało bezpiecznego, Lori zobaczyła, jak Maska odwraca się od niej, jakby inny cel przykuł jego uwagę. Udało jej się zahamować upadek wczepiając się w szczelinę w murze zdrową ręką, która wytrzymała na tyle długo, by Lori ujrzała w przejściu na górze Boone'a.

Widziała, co maczeta zrobiła z Narcyzem. Nawet umarli są śmiertelni. Zanim jednak zdołała wydusić z siebie jakieś ostrzeżenie dla Boone'a, fala zimnej mocy ruszyła za nią po zboczu. Bafomet nie opuścił swojego płomienia. Wciąż w nim mieszkał, a jego moc odrywała palce Lori od ściany.

Niezdolna, by się oprzeć, ześlizgnęła się niżej do eksplodującej komnaty.

Wniebowzięcie Plemienia nie zrobiło na Deckerze wrażenia. Podszedł do Boone'a jak pracownik rzeźni, mający skończyć ubój, od którego coś go odciągnęło: bez fanfar, bez namiętności.

To go czyniło niebezpiecznym. Uderzył szybko, nie sygnalizując swego zamiaru. Cienkie ostrze wbiło się prosto w szyję Boone'a.

Aby rozbroić nieprzyjaciela, Boone po prostu cofnął się. Nóż wyslizgnął się z palców Deckera, wciąż tkwiąc w ciele Boone'a. Doktor nie starał się go wyciągnąć. W zamian, chwycił oburącz nóż, który służył już raz do rozplątania czaszki. Teraz wydał z siebie dźwięk: niski jęk przechodzący w sapanie, kiedy rzucił się naprzód, by rozrąbać ofiarę.

Boone uchylił się przed rozcinającym ciosem i ostrze wbiło się w ścianę tunelu. Grudki ziemi obsypały ich obu, kiedy Decker wyciągał nóż. Potem znów się zamachnął, tym razem mijając twarz Boone'a o palec.

Tracąc równowagę, Boone prawie upadł. Mimo spuszczonej oczu dojrzał trofeum Deckera. Nie mógł nie rozpoznać tej okaleczonej twarzy.

Narczyz, rozplątany i martwy, pokryty brudem.

- Ty bękarcie! - ryknął.

Decker zatrzymał się na moment i patrzył na Boone'a. Potem przemówił.

Nie własnym głosem, lecz głosem kogoś innego, głosem szyderczo pojękującym.

- Ty też możesz umrzeć!

Kiedy mówił, machał ostrzem w tył i w przód, nie próbując dosięgnąć Boone'a, lecz tylko demonstrując swoją władzę. Ostrze świszczalo jak ludzki głos; muzyka muchy w trumnie, tam i z powrotem od ściany do ściany.

Boone cofnął się przed tym pokazem, śmiertelnie przerażony. Decker miał rację. Umarły może umrzeć.

Wciągnął powietrze przez usta i przedziurawił sobie gardło. Zrobił fatalny błąd, zachowując ludzką postać w obecności Maski. I po co? Dla jakiejś absurdalnej idei, że ta ostateczna konfrontacja musi postawić człowieka

przeciwko człowiekowi, że będą rozmawiać podczas walki i że on zniszczy

„ego” doktora, zanim zniszczy jego życie.

To nie tak. To nie była zemsta pacjenta na zboczonym uzdrowicielu; tu

walczyli bestia i rzeźnik, zęby z nożem.

Wypuścił powietrze i prawda, którą krył w komórkach swego ciała

ujawniła się jak nektar. Nerwy odczuwały rozkosz, ciało pulsowało wzbierając.

W życiu nigdy nie czuł się tak żywy jak w tej chwili, pozbywając się ludzkiej

postaci i zakładając „nocny kostium”.

- Nigdy więcej... - stwierdził i pozwolił, by wyszła z niego bestia.

Decker podniósł maczetę, aby skończyć z nieprzyjacielem, zanim dopełni

się jego przemiana. Boone nie chciał tego. Wciąż przechodząc transformację,

złapał rzeźnika za twarz, zrywając maskę - guziki, suwak i wszystko - aby

odkryć słabość pod spodem.

Decker zaskowyczał. Zdemaskowany, podniósł ręce do twarzy, żeby

choć częściowo zasłonić ją przed spojrzeniem bestii.

Boone podniósł maskę z ziemi i zaczął ją drzeć. Pazury rozrywały płótno.

Decker zaskowyczał głośniejszym głosem. Odsuwając rękę od twarzy, uderzył w Boone’a z

szaleńczą odwagą. Ostrze dosięgło piersi Boone’a, rozcięło ją; ale gdy

powróciło, by zadać drugi cios, Boone odrzucił strzępy maski i powstrzymał

cięcie. Przyparł ramię Deckera do ściany z taką siłą, że połamał mu kości.

Maczeta upadła na ziemię, a Boone sięgnął do twarzy Deckera.

Niesamowity skowyt skończył się, gdy dopadły go pazury. Usta

zamknęły się, rysy rozluźniły. Przez chwilę Boone patrzył na twarz, którą

studiował całymi godzinami, chłonąc jej każde słowo. Na tę myśl ręka powęd-

rowała od twarzy do szyi. Sięgnął do tchawicy Deckera, źródła tyłu kłamstw.

Zacisnął pięść. Pazury zagłębiły się w mięsie gardła Deckera. Potem pociągnął.

Cała maszyna została wydobyta, skąpana we krwi. Oczy Deckera rozszerzyły się, utkwione w tym, który go uciszył. Boone pociągnął jeszcze raz, i jeszcze raz. Oczy patrzyły. Ciało drżało, potem zaczęło wiotczeć.

Boone nie dał mu upaść. Trzymał je jak w tańcu i niszczył ciało i kości tak, jak niszczył maskę. Strzępy zwłok Deckera lądowały na ścianach. Teraz ledwie pamiętał o zbrodniach Deckera. Darł ciało z gorliwością członka Plemienia. Czerpał potworną satysfakcję z czynu potwora. Gdy zrobił już najgorsze, cisnął wrak na ziemię i zakończył taniec z partnerem pod stopami.

Dla tego ciała nie będzie zmartwychwstania. Żadnej nadziei. Nawet skąpany we krwi swego doktora Boone powstrzymał się od ugryzienia, które mogło tchnąć życie pośmiertne w organizm Deckera. Teraz jego zwłoki należały tylko do much i ich potomstwa, a reputacja lekarza - zależała od fantazji tych, którzy będą opowiadać jego dzieje. Nie obchodziło to Boone'a. Jeśli nawet nigdy nie strząsnąłby z siebie zbrodni, które przypisał mu Decker, teraz nie miało to i tak znaczenia. Już nie był niewinny. Dokonując tej rzezi, stał się zabójcą, tak jak wmawiał mu Decker. Mordując proroka, wypełnił proroctwo.

Zostawił leżące ciało i poszedł szukać Lori. Mogła iść tylko w jedno miejsce: po stromiznie do komnaty Bafometa. Widział w tym pewien sens.

Chrzciciel sprowadził ją tutaj, otworzył ziemię pod jej stopami, aby jej śladem sprowadzić Boone'a.

Płomień, w którym mieszkało jego podzielone ciało, rzucił zimny blask na twarz Boone'a. Ruszył w dół urwiska w tamtą stronę, odziany w krew swego

nieprzyjaciela.

Rozdział XXIV

CABAL

Zagubionego na spustoszonej terenie Ashbery'ego odnalazło światło, dochodzące pomiędzy popękanych płyt chodnika. Było niezwykle lodowate i lepkie. Przywierało do jego rękawa i ręki, potem zniknęło. Zaintrygowany, poszedł do jego źródła, od jednego świecącego punktu do następnego, coraz jaśniejszego.

W młodości pracował naukowo, a więc powinien znać imię Bafomet, które ktoś mu kiedyś szepnął, i rozumieć, dlaczego światło, tryskające z płomienia boskości, próbowało go schwytać. Powinien znać tę boskość - boga i boginię w jednym ciele. Powinien także wiedzieć, że czciciele tej boskości cierpieli za swojego idola, płonęli jako heretycy; cierpieli za zbrodnie przeciwko naturze. Powinien bać się mocy, która żądała takiego hołdu. Powinien. Ale tego wszystkiego nikt mu nie powiedział. I było tylko światło, które go przyciągało.

Chrzyciel nie był sam w swojej komnacie, jak zauważył Boone. Naliczył 11 jedenastu członków Plemienia pod ścianami, klęczących z zasłoniętymi oczami tyłem do płomienia. Wśród nich - Pan Lylesburg i Rachel.

Na ziemi po prawej stronie drzwi leżała Lori. Miała krew na ramieniu i na twarzy, zamknięte oczy. Ale kiedy tylko podszedł, by jej pomóc, istota w płomieniach utkwiała w nim wzrok i lodowatym dotykiem odwróciła go. Miała do niego sprawę i nie zamierzała jej odkładać.

- Zbliź się - powiedziała. - Z własnej wolnej woli.

Bał się. Płomień bijący z ziemi był teraz dwa razy większy niż kiedy wszedł tu ostatnio, uderzał o dach komnaty. Kawalki ziemi, zamienionej w lód lub popiół, padały jak błyszczący deszcz i zaśmiecały podłogę. W odległości dwunastu jardów od płomienia jego energia atakowała brutalnie. A jednocześnie Chrzyciel zapraszał go bliżej.

- Jesteś bezpieczny - mówił. - Przyszedłeś we krwi twego nieprzyjaciela.

Ona cię ogrzeje.

Zrobił krok w stronę ognia. Chociaż od czasu swej śmierci doświadczył już kul i ostrza, nie czuł ich. Chłód płomienia Bafometa czuł natomiast wyraźnie. Poruszał jego nagość, mroził oczy. Ale słowa Bafometa nie zawierały czezej obietnicy. Krew, którą na sobie nosił, rozgrzewała się, podczas gdy powietrze wokół stawało się chłodniejsze. Czerpał z tego pocieszenie i odwagę, by uczynić ostatnie kilka kroków.

- Broń - rzekł Bafomet. - Rzuć ją. Zapomniał o nożu tkwiącym w szyi.

Wyciągnął go z ciała i odrzucił.

- Jeszcze bliżej - nakazał Chrzyciel.

Erupcja płomienia zasłaniała, nie licząc chwil jak mgnienie oka,

wszystko, co płomień w sobie zawierał. Przebłyski wystarczyły jednak, by

Boone utwierdził się w swoich wrażeniach z pierwszego spotkania z

Bafometem: jeśli to bóstwo tworzyło inne istoty na swój obraz i podobieństwo,

nigdy nie chciałby ich oglądać. Nawet w snach, niczego, co byłoby podobne do

Bafometa. On był jedyny, niepowtarzalny.

Nagle jakaś część bóstwa sięgnęła po niego z płomienia. Czy to któraś z

kończyn, czy któryś narząd - Boone nie zdążył zauważyć. To coś chwyciło go

za szyję i włosy i pociągnęło do ognia. Krew Deckera nie chroniła go teraz; lód

ściął mu skórę twarzy. To nie była walka wręcz. Bóstwo zanurzyło głowę

Boone'a w płomieniu, mocno trzymając. Wiedział, co znaczy chwila, gdy pło-

mień otacza głowę: Chrzest.

Na potwierdzenie tej myśli usłyszał w myślach głos Bafometa:

Jesteś Cabal!

Ból rósł. Boone otworzył usta, by odetchnąć, a ogień wdarł się przez

gardło do brzucha i płuc, a potem do całego organizmu. Niósł ze sobą nowe

imię i chrzcil Boone'a od środka.

Nie był już Boone. Nazywał się Cabal. Połączenie wielu.

Po tym oczyszczeniu będzie zdolny do namiętności i krwi, i płodzenia

dzieci: oto dar Bafometa, który ów sam posiadał. Cabal będzie też słaby, a

nawet słabszy niż on. Nie dlatego, że krwawi, lecz dlatego, że ma do wykonania

misję.

- Dziś wieczorem muszę się ukryć - stwierdził Bafomet. - Wszyscy mamy wrogów, ale mój żyje dłużej i nauczył się większego okrucieństwa niż większość z nich. Zostanę stąd zabrany i ukryty przed nim.

Teraz obecność Plemienia nabierała sensu. Jego członkowie pozostali tu, aby zabrać cząstkę Chrzciciela i ukryć przed mocami, które go ścigały.

- To twoja sprawka, Cabal - powiedział Bafomet. - Nie oskarżam cię. To miało się wydarzyć. Żaden azyl nie trwa wiecznie. Ale daję ci zadanie...

- Tak? Powiedz.

- Odbuduj to, co zniszczyłeś.

- Nowe Midian?

- Nie.

- Cóż zatem?

- Musisz odkryć dla nas świat ludzi.

- Pomóż mi.

- Nie mogę. Odtąd, to ty musisz mi pomóc. Zniszczyłeś świat. Teraz musisz go stworzyć na nowo.

Płomień zadrżał. Ryty Chrztu miały się ku końcowi.

- Od czego zacząć? - spytał Cabal.

- Ulecz mnie - odparł Bafomet. - Odszukaj mnie i ulecz! Ocal mnie przed wrogami!

Głos, który się do niego zwracał, teraz zmienił nagle swój ton. Zniknęła nuta rozkazująca. Już tylko prosił, by go uleczyć i nie pozwolić, by wyrządzono mu krzywdę. Cichy szept do ucha. Nawet „smycz”, która unieruchomiła głowę Cabala zniknęła i mógł teraz swobodnie patrzeć w lewo i prawo. Zawołanie,

którego nie usłyszał, wezwało wyznawców Bafometa spod ścian. Pomimo zasłoniętych oczu kroczyli pewnie do skraju płomienia, już teraz nie tak dzikiego. Podnieśli ramiona spowite kirem i słup płomienia rozproszył się, a fragmenty ciała Bafometa wpadły w oczekujące ręce podróżników. Natychmiast je zawinięto i ukryto przed niepowołanymi oczyma.

To już była agonia. Cabal czuł ten ból jak własny, wypełniający jego wnętrze - aż nie do zniesienia. Aby go uniknąć, zaczął odstępować od ognia.

I wtedy jeden z fragmentów ciała Chrzciciela pojawił się przed nim.

Głowa Bafometa. Obrócona w jego stronę, ogromna, biała, o niewiarygodnej symetrii. Wokół niej uniosło się całe jego ciało: oczy, ślina i członek. Serce zaczęło bić. Zakrzepła krew wzburzyła się jak relikwie świętych. Zaczęła płynąć.

Jądra nabrzmiały, sperma popłynęła przez członek. Wytrysnął w płomień, a perelki nasienia dosięgły twarzy Chrzciciela.

Spotkanie skończone. Potykając się, odszedł od ognia, kiedy Lylesburg, ostatni z obecnych w komnacie wyznawców, wyjął z płomieni głowę i spakował ją.

Wszyscy członkowie Plemienia odeszli, a płomień wybuchnął ze zdwojoną energią. Cabal cofnął się, gdy rozszalał się ten straszny żywioł.

Na ziemi nad sobą Ashbery poczuł, jak wybucha moc i usiłował odejść od niej, ale umysł wypełniały mu sprawy, które wyszpiegował, a ich waga sprawiła, że ociągał się. Złapał go ogień, który wystrzelił w niebo. Wrzaskiem zareagował na dotyk płomienia i posmak Bafometa, rozplywający się w jego organizmie. Liczne maski Ashbery'ego zostały spalone. Najpierw sutanna, potem koronki pod spodem, bez których nie przeżył ani jednego dnia w

dorosłym życiu. Potem szczegóły anatomii płciowej, które nigdy nie sprawiały mu szczególnej radości. A wreszcie - ciało. Był oczyszczony. Padł na ziemię bardziej nagi niż w łonie matki. I ślepy. Wstrząs nieodwracalnie pozbawił go rąk i nóg.

A pod ziemią Cabal trząsał się, oszołomiony objawieniem. Ogień wypalił dziurę w stropie komnaty i rozprzestrzenił się na wszystkie strony. Mógł pochłonąć ciało, a równie łatwo ziemię czy kamień. Muszą wyjść stąd, zanim ogień ich znajdzie. Lori ocknęła się. Podejrzliwe spojrzenie jej oczu, kiedy się zbliżał, mówiło jasno, że widziała Chrzest i bała się go.

- To ja - odezwał się. - To wciąż ja. Podał jej rękę. Wzięła ją, a on pociągnął i pomógł jej wstać.

- Wyprowadzę cię - powiedział.

Potrząsnęła głową. Jej oczy powędrowały od niego do czegoś na podłodze za nim. Pospieszył za jej wzrokiem. Przy szczelinie leżał nóż Deckera, tam, gdzie rzucił go człowiek, którym Cabal był przed Chrztem.

- Chcesz to?

- Tak.

Chroniąc głowę przed rumowiskiem, cofnął się po własnych śladach i podniósł nóż.

- On nie żyje? - spytała, gdy wrócił do niej.

- Nie żyje.

Nie było śladu po zwłokach, aby mógł to jej udowodnić. Tunel zapadł się i pogrzebał ciało, tak jak pogrzebał wszystko w Midian. Grób grobowców.

Na tak wyrównanej powierzchni bez trudu znaleźli drogę do bramy

główniej. Nie spotkali śladu żadnego z mieszkańców Midian. Albo ogień

pochłonął ich szczątki, albo ruiny i ziemia je pokryły.

Już za bramą została pamiątka dla Lori po kimś, o kogo szczęśliwą

ucieczkę modliła się. W miejscu, gdzie nie mogli jej przeoczyć, leżała lalka

Babette - upleciona z trawy i ukoronowana wiosennymi kwiatami, w kółku

ułożonym z kamyków. Gdy palce Lori dotknęły zabawki, wydało się jej, że

jeszcze jeden ostatni raz patrzy oczami dziecka - na ruchomy krajobraz,

widziany przez kogoś, kto szuka bezpiecznego schronienia. Wizja krótka jak

mgnienie oka. Nie miała czasu, by zmówić modlitwę za pomyślność dziecka, bo

jakiś hałas za plecami oderwał ją od rozmyślań. Odwróciła się i ujrzała, że filary

podtrzymujące wrota Midian zaczynają się walić. Cabal chwycił ją za ramię, gdy

dwa kamienne słupy uderzyły o siebie, głowa o głowę, jak zapaśnicy, a potem

padły obok i uderzyły w miejsce, gdzie przed chwilą stali Lori i Cabal.

Chociaż nie miał zegarka, aby odczytać dokładną godzinę, Cabal kierował się intuicyjnym poczuciem czasu - może to dar Bafometa? - i wiedział, ile pozostało do świtu. Wewnętrznyimi oczami widział planetę, jak tarczę zegara ozdobioną morzami, a po jej powierzchni pełzła granica dnia i nocy.

Nie obawiał się pojawienia słońca na horyzoncie. Chrzest dał mu siłę, której nie posiadali jego bracia i siostry. Słońce nie zabije go. To nie ulegało kwestii. Bez wątplenia oznaczało to dla niego niewygodę. Wschód księżyca będzie zawsze witał radośniej niż świt. Ale jego działalność nie ograniczy się do godzin nocnych. Nie potrzebował już chować głowy przed słońcem, jak czynić musieli jego współplemieńcy. Teraz pewnie szukają jakiegoś azylu przed nastaniem poranka.

Wyobraził ich sobie na niebie nad Ameryką, jako grupy podążające wzdłuż autostrad, dzielące się, gdy ktoś spośród nich odczuwa zmęczenie, szukające schronienia; wtedy reszta wędruje dalej, jeszcze bardziej zdesperowana chwilą. W duchu życzył im bezpiecznej podróży i przystani. I więcej: obiecywał, że z czasem ich odnajdzie. Zbierze ich i połączy, tak jak tego dokonało Midian. Mimo woli uczynił im krzywdę. Teraz musiał ją naprawić, ile by to nie miało zająć czasu.

- Muszę zacząć dziś wieczór - powiedział Lori.- Inaczej zgubię trop i nigdy już ich nie odnajdę.

- Nie idziesz ze mną, Boone?

- Nie jestem już Boone - stwierdził.

- Dlaczego?

Usiedli na wzgórzu patrząc na-nekropolię i Cabal wyrecytował wszystko, czego nauczył się poprzez Chrzest. Trudne to były lekcje, a jemu brakowało słów, aby przekazać ich treść. Czula się zmęczona, drżała, lecz nie pozwalała mu przerwać.

- Mów dalej... - powtarzała, kiedy milknął. - Powiedz mi wszystko.

Większość z tego знаła. Była instrumentem Bafometa jak on, a może i w większym stopniu. Była częścią proroctwa. Bez niej nigdy nie powróciłby do Midian, aby je ocalić - i ponieść klęskę. Konsekwencją tego powrotu i klęski stało się zadanie, które przed nim stało.

Jednocześnie - buntowała się.

- Nie możesz mnie opuścić - powiedziała. - Nie po tym wszystkim, co się stało. Położyła rękę na jego nodze.

- Pamiętasz w celi... - wymamrotała. Spojrzał na nią.

- Kazalaś wtedy, żebym przebaczył sam sobie. To była dobra rada. Ale to nie znaczy, że mogę odwrócić się plecami do tego, co się wydarzyło tutaj.

Bafomet, Lylesburg, oni wszyscy... Zniszczyłem jedyny dom, jaki mieli.

- Nie ty go zniszczyłeś.

- Gdybym tam nie przybył, ten dom wciąż by stał - odparł. - Muszę naprawić szkodę.

- Zabierz mnie więc ze sobą - prosiła. - Pójdziemy razem.

- Tak nie można. Ty jesteś żywa, Lori. Ja - nie. Wciąż jesteś istotą ludzką.

A ja nie.

- Możesz to zmienić.

- Co ty mówisz?

- Możesz sprawić, że stanę się taka jak ty. To nietrudne. Jedno ugryzienie i Peloquin zmienił cię na zawsze. Więc zmień mnie.

- Nie mogę.

- Zmienisz zdanie.

Obracała czubek noża Deckera w błocie.

- Nie chcesz być ze mną. Po prostu, prawda? - uśmiechnęła się z

zaciśniętymi ustami. - Boisz się to powiedzieć? .

- Kiedy skończę moje dzieło... - odpowiedział. - Może wtedy.

- Och, za sto lat? - wymamrotała, zaczynając płakać. - Wtedy przyjdiesz po mnie, tak? Odkopiesz mnie. Wycalujesz. Powiesz, że wróciłbyś wcześniej, ale dni tak szybko przemijały...

- Lori.

- Zamknij się! Nie wynajduj więcej wymówek! To mnie tylko obraża - patrzyła na ostrze, nie na niego. - Masz swoje powody. Myślę, że śmierdzące, ale trzymaj się ich. Musisz mieć coś, przy czym mógłbyś trwać.

Nie poruszył się.

- Na co czekasz? Nie zamierzam stwierdzić, że to w porządku. Po prostu idź! Nie chcę cię więcej widzieć.

Wstał. Jej gniew bolał, ale łatwiej go znieść niż łzy. Cofnął się trzy czy cztery kroki i rozumiejąc, że nie zaszczyci go uśmiechem, a nawet spojrzeniem, odwrócił się.

Dopiero wtedy podniosła wzrok. Nie patrzył na nią. Teraz albo nigdy.

Przyłożyła czubek noża Deckera do brzucha. Wiedziała, że nic nie zdziała jedną

ręką, więc przyklęła, oparła trzonek o ziemię i opuściła cały ciężar ciała na ostrze. Zabolalo strasznie. Krzyknęła z bólu.

Odwrócił się i ujrzał, jak się skręca, a krew kapie na ziemię. Podbiegł, położył na plecach. Ogarniał ją już śmiertelny spazm.

- Skłamałam - wymamrotała. - Boone... Skłamałam. Tylko ciebie chcę oglądać.

- Nie umieraj - proszę. - O Boże na Niebiosach, nie umieraj!

- Więc zatrzymaj mnie.

- Nie wiem jak.

- Zabij mnie! Ugryź mnie... daj mi swój balsam! Ból wykręcił jej twarz.

Sapała.

- Albo pozwól mi umrzeć, jeśli nie możesz mnie zabrać ze sobą. To lepsze niż życie bez ciebie.

Kołysał ją, jego łzy kapaly na twarz Lori. Oczy Lori wywracały się pod powiekami, język wypełził na wargi. Za parę sekund odejdzie, wiedział to. Raz umarła, wymknie się jego władzy wskrzeszania.

- Czy... to... Nie? - odezwała się. I już go nie widziała.

Otworzył usta i odpowiedział: podniósł jej szyję, aby ugryźć. Skóra Lori wydzielala kwaśną woń. Ugryzł głęboko i poczuł krew na języku, a balsam przez gardło przedostał się do jej krwiobiegu. Ale drgawki jej ciała właśnie ustały. Opadła w ramionach Cabala.

Podniósł głowę znad ugryzionej szyi i połknął to, co miał w ustach. Za długo czekał. Cholera! Była jego nauczycielem i powiernikiem, a pozwolił, by od niego odeszła. Śmierć znalazła się przy niej, zanim zaczął działać.

Zatrwożony swoją ostatnią, najboleśniejszą porażką położył ją przed sobą na ziemi.

Gdy wyciągnął ręce spod ciała Lori, otworzyła oczy.

- Nigdy cię nie opuszczę - powiedziała.

Rozdział XXV

WYTRWAJ ZE MNĄ

To Pettine znalazł Ashbery'ego, choć dopiero Eigerman rozpoznał w resztkach człowieka, którym one kiedyś były. W księdzu wciąż kołatało się życie, co biorąc pod uwagę straszliwość obrażeń - graniczyło z cudem. W następnych dniach amputowano mu obie nogi i jedno z ramion w połowie bicepsa. Pozostawał w stanie śpiączki pooperacyjnej, ale nie umierał, chociaż każdy chirurg twierdził, że szansę są zerowe. Ten sam ogień, który go okaleczył, dał mu jednak nadnaturalny hart ducha. Wbrew wszystkiemu - przeżył.

Nie sam spędzał swoje dni i noce w nieświadomości. Eigerman trwał przy nim dwadzieścia cztery godziny na dobę, czekając jak pies na skrawki z pańskiego stołu i przekonany, że ksiądz zaprowadzi go do zła, które zniszczyło życie im obu.

Otrzymał więcej, niż zabiegał. Gdy Ashbery wreszcie powstał z otchłani, po dwóch miesiącach zagrażającej śmierci, okazał się bardzo elokwentny.

Szalony, lecz elokwentny. Nazywał się Bafomet. Nazywał się Cabal. Opowiadał językiem hieroglifów swego nieprawdopodobnego szaleństwa, jak Plemię zabrało szczątki ciała swego bóstwa i ukryło je. I więcej. Twierdził, że potrafi znów znaleźć członków Plemienia. Dotknięty ogniem Chrzciciela i jego zbawicieli, pragnął by znów go dotknięto.

- Czuję woń Boga - mówił na okrągło.

- Możesz nas do niego zaprowadzić? - pytał Eigerman.

Odpowiedź zawsze brzmiała: *tak*.

- Będę zatem twoimi oczami - zgłosił się na ochotnika Eigerman. -

Pójdziemy razem.

Nikt inny nie potrzebował zeznań Ashbery'ego, bo zawierały zbyt wiele nonsensów, jeśli odnieść je do twardej rzeczywistości. Władze chętnie zleciły opiekę nad księdzem Eigermanowi. Zasłużyli na siebie nawzajem - oto powszechna opinia. Nie łączyło ich ani jedno ogniwo normalności.

Ashbery był całkowicie uzależniony od Eigermana: niezdolny, przynajmniej na początku, by samemu jeść, wydalać czy myć się. Odpychający, niemal imbecyl, według Eigermana stanowił dar od Boga. Poprzez niego mógł zemścić się za upokorzenia ostatnich godzin Midian. W gadaniu Ashbery'ego zakodowane zostały ślady prowadzące do nieprzyjaciela. Z czasem uda się je odszyfrować.

A kiedy już tego dokona (och, kiedy on tego dokona), nadejdzie taki dzień obrachunku, że Ostatni Atut przy nim zblednie.

Goście przychodzili nocą, ukradkiem i zajmowali jakiś azyl, gdziekolwiek go znaleźli.

Niektórzy odwiedzili ponownie miejsca kiedyś ulubione przez ich przodków, miasteczka w szczerym polu, gdzie wierni wciąż śpiewają w niedzielę, a płoty z kolków malowane są każdej wiosny. Inni podążyli do dużych miast: do Toronto, Waszyngtonu, Chicago, z nadzieją, że łatwiej unikną wytropienia tam, gdzie ulice są przepelnione, a to co wczoraj nazywano korupcją, dziś mieni się handlem. W takich miejscach ich obecności można nie zauważyć przez rok, dwa, nawet trzy. Ale nie wiecznie. Czy znajdowali azyl w kanionie wielkiego miasta, w jakiejś zatoce czy na pustyni, nikt nie udawał, że to już miejsce stałego pobytu. Z czasem ktoś ich wykryje i wykurzy. Szerzyło się nowe szaleństwo, zwłaszcza wśród ich starych nieprzyjaciół Chrześcijan, którzy codziennie odprawiali swój spektakl, opowiadali o swoim męczenniku i wołali o czystki w jego imieniu.

Z takiej wolności można się uśmieć. Będą zdobywać mięso, gdy głód stanie się aż paraliżujący. Będą starannie szukać ofiary, której zniknięcie nikogo nie zaalarmuje. Nie będą zarażać innych, aby nie zdradzić się ze swoją obecnością. Jeśli ktoś z nich zostanie odkryty, nikt nie zaryzykuje bezpieczeństwa innych, by przyjść mu z pomocą. Twarde prawa, ale nie tak ciężkie, jak konsekwencje ich złamania.

Reszta zależy od ich cierpliwości, a do tego przyzwyczaili się. Może kiedyś nadejdzie oswobodziciel, o ile tylko przetrwają czas oczekiwania.

Niewielu wiedziało o znakach, po których go rozpoznają. Wszyscy jednak znali jego imię.

Nazwano go Cabal Który Zniszczył Midian.

On wypełniał ich modlitwy. Niech przybędzie z następnym wiatrem. Jeśli nie teraz, to jutro.

Może nie modliliby się z taką żarliwością, gdyby wiedzieli, jaką zmianę oceanów przyniesie jego nadejście. Może wcale by się nie modlili, gdyby wiedzieli, że modlą się do samych siebie. Te objawienia należą jednak do późniejszych dni. Na dziś mieli zwyczajne troski. Pilnować dzieci, żeby nocą nie chodziły po dachach, żeby nie płakały zbyt głośno. Pilnować, żeby podrostki nie zakochały się w jakiś ludzkich istotach.

Oto życie.